ROK XXXV. Nr. 2, 3 i 4

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO



WYDAWNICTWO I NAKŁAD XX. MISJONARZY
KRAKÓW, STRADOM 4
1932.

Prenumerata r o c z n a 10 złote (2 dol.) — Pojedynczy numer 3 złote.

Opłata na konto czekowe Nr. 150.142 ks. K r ó l, Kraków.

Bardzo prosimy o łaskawe nadesłanie w jak najkrótszym czasie sprawozdań i kronik do Redakcji „Roczników O. Zgromadzeń“, Kraków, Stradom 4.

Redagował: X. Pius Pawellek, ze Zgromadzenia XX. Misjonarzy.
Drukarnia Związkowa w Krakowie.



Chiny Czengting-fu: Ochrona SS. Miłosierdzia.



Z podróży do Polskiej Misji w Chinach.

Listy Polskich Sióstr Miłosierdzia.

Drogie Siostry!

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech zawsze będzie z nami!

Droga z Warszawy do Zbąszynia minęła jak sen, mimo, że dalekim był on od naszych powiek. Nadszedł czas ostatniego pożegnania na granicy niemieckiej z Czcigodną Siostrą Wizytatorką i ukochaną naszą Ojczyzną. Była to chwila do głębi przejmująca — bez słów prawie: milczenie tym razem wymowniejsze było. Załzawionemi oczyma ścigałyśmy usuwającą się w dal ziemię ojczystą, pozostając w głębokiej zadumie czas dłuższy. Żegnałyśmy w myśli jeszcze raz wszystkich i wszystko, z czem zrosło serce nasze.

Dnieć zaczęło, a wraz z powstającą zorzą idea misyjna rozciągnęła swe panowanie; wszak nie na banicję, lecz na głos samego Stwórcy idziemy w dalekie kraje.

Myśli nasze biegną w przyszłość, śląc wzrok duszy na drugą półkulę, ku której unosi nas pędzący pociąg.

Korzystamy z doświadczenia S. Wiktorji, która przed rokiem wraz z delegatkami Stow. Dzieci Marji była na Kongresie w Paryżu i dzięki temu doskonale orjentujemy się w okolicy. Wogóle mamy bardzo spokojną drogę, gdyż dostałyśmy przedział osobny w wagonie, zajętym przez grupę studentów z Warszawy, jadących na studja do Paryża. Oprócz personelu kolejowego i władz granicznych nikt nam nie mąci spokoju.

14/X rano stanęłyśmy w Paryżu. Na dworcu oczekiwały dwie Siostry Polki, ułatwiając nam pośpieszne dostanie się do Domu Macierzystego, aby zdążyć jeszcze na Mszę św.

Właśnie w rzęsiście oświetlonej kaplicy X. biskup z Ameryki był przy ołtarzu.

Choć w Domu Macierzystym wyjazd Sióstr na misje zagraniczne jest rzeczą zwykłą (istnieje specjalny lokal do pakowania bagaży na misje), to jednak czcig. S. Katarzyna, sekretarka prowincyj polskich Zgromadzenia, była do głębi przejęta naszą wyprawą i przyjęła nas bardzo serdecznie, naprzód obmyślając wszystko i ułatwiając na każdym kroku. Przywitawszy przełożonych i odpocząwszy nieco, zaczęłyśmy zwiedzać Dom Macierzysty. Najpierw kaplica: presbiterjum z białego marmuru jest bardzo piękne, choć proste bez nadzwyczajnych upiększeń, w miarę złocone, niejako mówi samo o rzeczywistej obecności Pana Jezusa. Boczny ołtarz z figurą Matki Boskiej, trzymającej glob w ręku (Virgo Potens) wprost przykuwa do siebie. Część kaplicy, przeznaczona dla Sióstr, jest bardzo uboga: podłoga z białych desek, ławki zupełnie proste, olejno malowane.

Trudno jest opisać wrażenie, jakiego się doznaje w kaplicy objawień; czuje się, że tu jest miejsce, gdzie Matka Niepokalana wsłuchuje się w prośby swych dzieci. Modliłyśmy się, rozszerzając swe intencje na obie półkule. O gdyby to uprosić łaskę nawrócenia tym wszystkim, których Opatrzność nam powierzy. O, niechby choć jeden kamień zabłysnął w pierścieniach Matki Najświętszej, któryby oświecił umysły i serca pogan hen aż w Shuntehfu!

Jesteśmy bardzo wdzięczne Panu Bogu, że droga do Chin wypadła nam przez Paryż, że możemy na miejscu objawień wzmocnić własną duszę i czerpać u samego źródła z krynicy łask.

Dalej ołtarz błogosławionej naszej Założycielki i znów gorące modły.

W Domu Macierzystym spotkałyśmy Siostry z różnych krajów, ale najbardziej nas zainteresowała obecność jednej Siostry Francuzki, która po 17 latach pobytu w Pekinie przed kilku miesiącami przyjechała na rekolekcje do Paryża (z racji stuletniej rocznicy objawienia cudownego medalika) i razem z nami wraca do Chin. Obiecujemy sobie wiele różnych rzeczy dowiedzieć się od niej o stosunkach i zwyczajach chińskich, a nawet zaczniemy naukę chińskiego już na okręcie.

21/X ruszymy w dalszą drogę, korzystamy więc z tych kilku dni pobytu w Paryżu, aby nietylko załatwić wizy chińskie, ale aby zobaczyć drogie dla nas pamiątki Zgromadzenia oraz zwiedzić wystawę misyjną. Matka Generalna specjalnie poleciła jednej z Sióstr, aby służyła nam za przewodniczkę, bo coprawda trudno byłoby się zorjentować samym.

W niedzielę byłyśmy na Mszy św. u św. Łazarza, którą N. O. Generał odprawił na naszą intencję, z jego rąk przyjęłyśmy Pana Jezusa, a po Mszy św. wręczył nam krzyże misyjne: skromniutkie, czarne, oprawne w biały metal, ale pełne głębokiego znaczenia: „nikt i nic — wszystkiemu umrzeć trzeba, aby mieć prawo i łaskę nieść Chrystusa ludom pogańskim".

W poniedziałek rano miałyśmy szczęście być przy trumnie św. Wincentego. Pamiętałyśmy w tej chwili o całem Zgromadzeniu. Na jedną rzecz zwróciłyśmy uwagę w kościele św. Łazarza — prawie wszyscy obecni na Mszy św. przystąpili do Komunji św.

W niedzielę po południu byłyśmy u Matki Generalnej, która kilkanaście lat była w Chinach, zna doskonale teren naszej pracy, opowiadała nam, że w Shuntehfu jest miejsce na założenie ogrodu, szkoda, że nie wieziemy z sobą nasion,

które możnaby zasiać i mieć wrażenie polskich zagonów. Podobno Siostry nauczyły jedną dziewczynę piec chleb na sposób europejski; tubylcy nie znają się na takich przysmakach — dla nich ryż i proso wystarcza. Może następna partja Sióstr będzie pamiętała o nasionach.

Wiele praktycznych rad na tle miejscowych warunków udzieliła nam Matka Generalna. Prawdopodobnie zatrzymamy się czas jakiś w Shanghaju lub Pekinie, aby choć trochę nauczyć się jezyka.

Grono powiększa się; z Paryża jadą z nami do Chin 4 Siostry Francuzki i jedna postulantka do seminarjum w Shanghaju. Jedzie również trzech Księży Misjonarzy od św. Łazarza (Francuzów), będzie więc Msza św. na okręcie.

Byłyśmy na wystawie kolonjalnej, która zajmuje przestrzeń naszej Pragi; są tam całe miasteczka wschodnie z dokładnem zachowaniem architektury, jest wiele świątyń naturalnej wielkości, zbudowanych z masy papierowej, ale to trzeba podpatrzeć, bo mur i wszystkie ozdoby łudzą oko rzeczywistością.

Szczegółowo zwiedziłyśmy pawilon misyjny: były tam całe osiedla różnych narodów, ilustrujące ich sposób życia, szkoły, zabawy, pogrzeby. Podziwiałyśmy prześliczne roboty z misji: hafty, koronki, jakieś specjalne roboty z drzewa, kości słoniowej, kory drzewnej i skóry.

Ciekawe były dane statystyczne, ale zbyt mało miałyśmy czasu, aby zagłębiać się w te wszystkie wyliczenia. Zwróciłyśmy uwagę, że nasze Zgromadzenie zajmuje drugie miejsce w świecie w pracy misyjnej i ma obecnie dwieście punktów wśród pogan. W trzech punktach Siostry nasze pracują wśród trędowatych: Madagaskar, Ameryka Południowa i w Azji Indje.

Cały dzień poświęciłyśmy na zwiedzanie tego pawilonu, wreszcie byłyśmy tak zmęczone, że dosłownie nie mogłyśmy zupełnie myśleć.

Naturalnie, byłyśmy w polskim Domu św. Kazimierza, w Clichy, uświęconem pracą duszpasterską św. Wincentego, gdzie zwiedziłyśmy kościół i ogród, w którym widziałyśmy

drzewo, sadzone ręką św. Wincentego, a które niedawno uschło; ścięto je i przybito napis „nie dotykać“, a szkoda, bo miałyśmy ochotę urwać choć kawałeczek. Pamiętałyśmy również o grobie Siostry Katarzyny Labouré oraz zwiedziłyśmy dom, w którym pracowała i umarła i gdzie przechowują różne po niej pozostałe rzeczy: łóżko, stolik, ubranie, jakieś pudełko od robót i t. p.

Kończę, bo niewiele już mamy czasu, dziś wieczorem wyjeżdżamy do Marsylji, a tu jeszcze trzeba wszystkich pożegnać, no i pomodlić się po raz ostatni w kaplicy objawień, prosząc o łaski na całe życie.

Jeszcze raz wszystkich żegnamy za wszystko dziękując, pozostajemy...

Morze Śródziemne, dnia 27 października 1931 r.

Drogie Siostry!

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech zawsze będzie z nami!

Ostatnie chwile pobytu w Paryżu upłynęły szybko: wspólne pożegnanie w Zgromadzeniu pieśnią: „Ave Maris stella“, ostatnia modlitwa u stóp Pana Jezusa i Matki Najświętszej w kaplicy Objawień i wreszcie chwila wsiadania do karet. Matka Generalna, której szczególnie drogie są misje w Chinach, okazywała nam wiele serdeczności, odprowadziła do stopni pojazdu, życząc szczęśliwej podróży. Ostatni krzyżyk i w drogę.

Teraz mamy mniej paczek do wagonu, gdyż trzeba było dla ochrony przed szczurami na okręcie przepakować część rzeczy do pak drewnianych i oddać na bagaż. W Marsylji Siostry miejscowe zajęły się przewiezieniem rzeczy naszych

ze stacji kolejowej na okręt, a nam uprzejmie pokazały swe zakłady i miasto. Okręt nasz „Géneral Metzinger“, stał dość daleko od lądu; trzeba więc było dopłynąć doń łódkami, a przy wsiadaniu na statek przyszłyśmy do przekonania, że przydałoby się każdej jeszcze po dwie ręce; deszcz padał ulewny, na schodach ślisko, nawet przy pomocy poręczy trudno się utrzymać, a tu jeszcze paczki i suknia w ręku. Wreszcie dostałyśmy się do kabiny szczęśliwe, że już mamy jakie takie miejsce, aż tu trzeba było zbierać paczki i przenosić się gdzieindziej.

Na okręcie oddano nam listy z Polski — miła niespodzianka. Przed odjazdem z Marsylji otrzymałyśmy depeszę od Matki Generalnej z życzeniami szczęśliwej podróży.

22 października o 5 po południu okręt nasz przy rzęsistym deszczu i silnym wichrze podniósł kotwicę.

Siostry nasze długo stały w porcie, żegnając oddalający się okręt; wkrótce coraz mniej wyraźną stawała się panorama miasta, najdłużej zarysowywała się figura Matki Boskiej na la Garde.

Żegnałyśmy Europę i drogie dla nas osoby przez Serce Matki Niepokalanej: Matko łaski Bożej, Panno można czuwaj nad tymi, którzy zostają w ojczyźnie!

Gwiazdo morska, Wspomożenie wiernych prowadź nas szczęśliwie do winnicy Syna Twego!

Pod Twą obronę...

Po ulokowaniu bagażu i częściowem rozpakowaniu rzeczy zadzwoniono na kolację. Przy stole spotkałyśmy z różnych zakonów i Zgromadzeń około 50 osób: jadą XX. Misjonarze, OO. Jezuici, SS. Franciszkanki, SS. Służebniczki, SS. Sercanki, no i nas 8.

Początkowo wszystkie miejsca były zajęte, ale wkrótce zaczęły się opróżniać: co chwila ktoś przesunął się przez jadalnię i nie wracał więcej. To samo było na pierwszej Mszy św., na początek stawili się wszyscy (z liczby 50), a pod koniec zostało zaledwie 6 osób. Nie pomagają „cudowne krople“ łaskawie ofiarowane przez doświadczonych podróżników, ani różne proszki, które kolejno łykamy: silniej niż medykamenty działa lada wiatr, a z nim wzmożony ruch okrętu, przypominając brak stałego gruntu pod

nogami. Jedyna nadzieja w przysłowiu: „przyzwyczajenie jest drugą naturą". Zobaczymy.

Pierwsza noc i dzień następny były okropne dla nowicjuszów morskiej podróży. Z naszych Sióstr tylko Siostra Helena trzyma się dobrze i dowcipkuje, że chuderlaka nawet i morska choroba nie weźmie.

Zarząd okrętu, korzystając z dużej liczby osób zakonnych, podzielił życie na statku na dwa obozy: zakonny i świecki; oddano nam do dyspozycji jedną stronę pokładu, posiłki podają o półtorej godziny wcześniej, co dopomaga do łatwiejszego rozplanowania dnia. Okręt nasz posiada trzy klasy, korzystamy z drugiej, gdyż trzecia ma wspólne sypialnie. Mamy więc kabiny o piętro nad poziomem morza, w kabinie są cztery łóżka na dwóch kondygnacjach, do wyższych wdrapujemy się po drabince, jest małe okrągłe okienko, przez które dostaje się trochę świeżego powietrza i widać piękne widoki. Rano jednak jest tak duszno, że z upragnieniem oczekujemy 4-tej i za szczęśliwą uważa się ta z nas, która pierwsza wstaje, gdyż jest tak ciasno, że tylko jedna osoba może zmieścić się między łóżkami.

Od 5½ odprawiają księża Msze św. w salonach I. klasy, podzieliwszy się na grupy, aby na 7-mą oddać użyczone sale do użytku podróżnych.

Ołtarz okrętowy składa się ze stołu, przyśrubowanego do podłogi, z podnoszonym wierzchem, który postawiony pionowo tworzy nastawę ołtarza. Jest nawet maleńkie cyborjum z krzyżykiem i dwie latarki, przymocowane do nastawy. Zwykle bywamy na dwóch Mszach św., a następnie na pokładzie kończymy rozmyślanie. Korzystamy również niepodzielnie z całego pokładu w czasie obiadu dla świeckich, odbywając przy względnej ciszy ćwiczenia duchowne i ciesząc się widokiem tylu dusz, spieszących na żniwo Boże. Niekiedy tylko głośniejszy akord orkiestry, przygrywającej przy obiedzie świeckich, doleci do naszych uszu.

Na okręcie mamy towarzystwo różnokolorowe: są murzyni, są dwie stare Chinki, rozmawiające dość biegle po francusku, jest jedna młoda Chineczka ubrana po chińsku, ale porządnie; jest kilku młodych Chińczyków, należących do służby okrętowej oraz

dwóch Polaków, którzy od 1908 roku pracują na okręcie; mówią dość dobrze po polsku i chętnie śpieszą nam z pomocą w różnych trudnościach.

24 października. Minęliśmy faliste brzegi Sardynji i Korsyki Rodzinne strony Napoleona nie odznaczają się nadzwyczajną pięknością.

Była wspaniała atrakcja — spotkanie dwóch okrętów; podróżni odpoczywali, drzemiąc na leżakach, przeto mało kto spostrzegł zbliżający się okręt. Nagle przeraźliwe głosy syren z obu okrętów obiły się o uszy drzemiących, powstał popłoch i przerażenie. Wkrótce zorjentowali się wszyscy, kończąc śmiechem całą sprawę i radośnie powiewając czapkami i chusteczkami na powitanie nadpływających.

25 października. Dziś piękna pogoda i morze spokojne — prawdziwie niedzielny nastrój. Pierwsza Msza św. o 6-tej, ostatnia o 8-mej dla personelu i podróżnych, stawili się prawie wszyscy.

Przejeżdżamy obok Stromboli — bardzo ciekawy wulkan: wierzchołek góry rozdzielony tworzy niejako paszczę, która kopci.

Mijamy Sycylję, nasycając się widokiem włoskiego nieba, włoskiego wybrzeża, włoskich drzew, które doskonale widać z pokładu. Niema już śladu strasznego trzęsienia ziemi, jakie tu było przed kilkunastu laty — wszędzie piękne domy i pałace.

26 października. Od wczesnego ranka wicher silny, fale się piętrzą, okręt się kołysze, w głowach zawrót, znowu morska choroba dręczy ludzi. Wieczorem wszyscy przyglądali się Krecie, choć nic nie było widać, bo wyspa dość daleko, a zmrok zapadł.

27 października. Morze cichutkie, stalowe — cokolwiek na horyzoncie ciemniejsze, szczególniej pięknym był wschód słońca, trudno było oczu oderwać.

Była próba, jak się zachować w razie niebezpieczeństwa: czterech kapitanów stało przy łodziach i tłómaczyło, co robić na dany znak grozy, gdzie stać, jak zakładać pasy ratunkowe (każdy ma taki pas przy swojem łóżku), po ile ludzi siadać do łodzi itp. W razie niebezpieczeństwa okręt alarmuje stację radjową i inne statki spieszą mu z pomocą.

28 października. Od rana podziwiałyśmy, rysujący się na horyzoncie wspaniały Port-Said, piękne jakby koronkami wykończone białe budowle o płaskich dachach, różnorodne palmy, drzewa cytrynowe i t. p. Do okrętu podpłynęło moc łodzi motorowych i żaglowych; wielu handlarzy wdarło się na okręt, zachwalając swe towary. Między innymi wdrapał się na pokład stary Turek, demonstrując zręcznie różne sztuczki.

Zaledwie okręt stanął, przypłynęła motorówką jedna z naszych Sióstr ze szpitala w Port Saidzie i zabrała nas na kilka godzin do miasta. Upał straszny, ani śladu wiatru, niebo bez chmur, ma się wrażenie, że cała atmosfera to jedno wnętrze rozpalonego pieca. Orzeźwiła nas nieco przejażdżka po morzu motorówką, mknącą jak strzała wśród piętrzących się fal. Ulice miasta czyste, gładkie, jezdnie asfaltowane służą do ruchu kołowego i pieszego, gdyż chodniki wysypane żwirem nie są zupełnie używane. Ruch uliczny niezbyt duży, widać samochody, omnibusy i dorożki zaprzęgnięte w piękne arabskie konie. Wozy ciężarowe ciągną osły, znacznie większe od spotykanych u nas. Wśród obfitości pięknych owoców szczególniejszą uwagę zwróciłyśmy na daktyle w porównaniu z którymi sprzedawane u nas są rzeczywiście ostatniego gatunku. Siostry starały się uprzyjemnić nam czas, pokazując szpital i miasto wprawdzie tylko z balkonów, bo rzeczywiście przy tak wysokiej temperaturze trudno było myśleć o zwiedzaniu. Wśród ludności przeważają Turcy, choć ludność jest różnokolorowa. Turcy naturalnie różnią się od innych swym strojem; mężczyźni noszą kolorowe suknie, a kobiety, których bardzo mało się spotyka, noszą czarne suknie i czarne welony, spięte pierścieniem na twarzy w ten sposób, że tworzą się dwa otwory na oczy tylko, osłaniając szczelnie całe oblicze.

Siostry obdarzyły nas różańcami z Jerozolimy i na godzinę przed odejściem okrętu odwiozły motorówką na statek. Korzystamy jeszcze z chwili czasu, aby skończyć listy i oddać na pocztę. Pozdrawiamy wszystkie Siostry i Dzieci Marji, prosząc o modlitwę, pozostajemy...



Więcej Katechistów dla Polskiej Misji w Chinach.

Napisał X. Dr med. W. Szuniewicz C. M.

Cały szereg pytań stwierdza, że zdaleka trudno sobie przedstawić warunki życia w naszym zapadłym kącie. Ja również nie miałem pojęcia o nich, aż do chwili przybycia na miejsce. Tak, trzeba tu być, ażeby wytworzyć sobie to pojęcie o Szuntehfu i jego Misji.

Trzeba zobaczyć na własne oczy ten kurz lessowy, te lepianki gliniane, te skośne oczy, co umieją patrzeć pogodnie i zdobywać serca, to niebo o przejrzystości i barwie nieznanej w Polsce, to ciepło, co tamuje życie na godziny popołudniowe, ale co tak wcześnie powołuje do życia bujną roślinność, jeżeli ręka ludzka dopomogła przyrodzie i sprowadziła wodę i zaopiekowała się pędami młodemi...

Tak! Dawno, dawno już temu, ta sama ręka ludzka zniszczyła tu lasy i gaje, pozbawiła rzeki stałych dopływów, wyrwała najmniejsze źdźiebełko na opał, zamieniając w pustynie całe połacie ziemi... Ale ta sama ręka czarodziejską siłą, bo siłą przyrody rozporządzać może, i ona to ciężką pracą, prymitywną motyką, drewnianym młotem do rozbijania kloców gleby powoduje i dziś wspaniałe plony, podwójne zbiory, hoduje brzoskwinie i morele tam, gdzie zdawałoby się, że żadne źdźiebełko nie ma warunków do życia...

Tak! Tu widzimy i przekonujemy się raz jeszcze, jakich cudów jest w stanie dokonać pracowita dłoń.

Ale nie mniej pracowitej dłoni, jeszcze gorętszego serca trzeba na inną niwę, zatwardziałych serc chińskich.

Dlaczego zatwardziałych?

Warunki tak się złożyły, że niezliczone masy, miljony i miljony, całą swoją istotą, pełnią wysiłku, muszą się starać o chleb powszedni. Zadowalniają się odrobiną zysku, wobec czego ich konkurencji nikt nie wytrzymuje, pracują wytrwale, rzemiosło swoje lub gospodarkę znają lepiej od innych. I dzięki temu trwają na swych stanowiskach i nie wypuszczają z rąk gleby ojczystej. Ale stąd wypływa inna cecha: pochłonięci są swem zadaniem utrzymania się przy życiu i na inne kwestje nie stać już ich, zagadnienia duszy i życia zagrobowego zostawiają specjalistom: swym bonzom i czarownikom. Trzeba olbrzymiej fali gorącego ducha, zaparcia się siebie i stalowej wytrwałości ze strony misjonarzy, by przebić ten pancerz materjalizmu i wznieść Chińczyka ponad poziomy.

Tak mówią starzy. Własnych obserwacyj mieć jeszcze nie możemy, raczej wyczuwamy, że się w tej opinji kryje duża doza prawdy.

Nie zniechęca to jednak nowoprzybyłych. Stanęli do pługa nasi pionierzy z przed roku: stajemy i my, przykładając swe słabe siły do Bożego pługa.

I tu dopiero stwierdzamy, że mianowicie Polska dała nam oręż, by od pierwszej już chwili cokolwiek dla Misji, dla Chińczyków robić. Możemy pomagać, gdyż otworzyły się skrzynie z polskiemi lekarstwami, wydostaliśmy flaszeczki, undinki, kroplomierze, sterylizatory i puszki... i robota już jest we wielkim rozpędzie. Szkiełka zachowały się znakomicie, a jeżeli na cle w Szanghaju nadbili mi parę miseczek szklanych, to dało się je łatwo naprawić, dzięki wyjątkowej umiejętności Chińczyków wiązania metalowemi ligaturami rozbitego szkła.

Ładnie się przedstawia stół w przychodni SS. Miłosierdzia, ustawiony niemal na wzór klinik ojczystych: niczego mi narazie nie brakuje. Tak mi z tem dobrze, iż w lipcu rozpoczynam operacje oczne: plastykę, irydektomje i inne na początek łatwiejsze. Bóg zapłać stokroć! I na przyszłość się pod tym względem polecam pamięci i opiece, bo tu na miejscu nic się potrzebnego nie dostanie.

Na pytanie o Szuntehfu trudno mi jeszcze odpowiedzieć, gdyż miasta jeszcze nie znam, odkładając wszystkie wizyty i zwiedzania na czas, kiedy będziemy szwargotać po chińsku. Sama Misja obejmuje skromny kościół na 200 osób, rezydencje na 10—15 księży i braci, trochę zabudowań gospodarskich i ogródek mikroskopijny, ale z własną winnicą i grządkami.



Zebrani na poświęceniu kościoła XX. Misjonarze w Orleansie w stanie Parana. W środku X. Wicewizytator Bronny i X. Superjor Kandora.

Pracę tu rozpoczęto przed 20 laty, przed dwoma laty przyszły SS. Miłosierdzia. Są też Siostry Józefitki, miejscowe katechistki-Chinki.

Jeżeli więc Najdobrotliwszy Ojciec nie odmówi nam swych łask, a pobudzi ku temu polskie społeczeństwo do zorganizowanej ofiarności, dalszy ciąg pracy nie będzie ponad siły polskich misjonarzy.

Co do Sióstr Miłosierdzia, tylko jedna Francuzka, inne Chinki (7). W przychodni Chinka pomaga mi w pracy, a po-

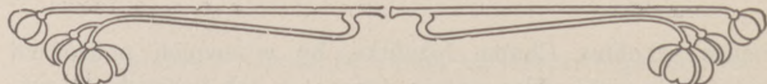
nadto szkolimy Chinkę Józefitkę, by w swoich podróżach misyjnych nieść jednocześnie pomoc w tak licznych tu wypadkach chorób ocznych, prowadzących do ślepoty. Trudno się z nią porozumiewać, i to tylko przez Szarytkę-Chinkę, która włada francuskim językiem. Ale Pan Bóg dobry i o nas napewno pamięta i troszczy się nie mniej, jak o lilje polne.

Rezydencja Sióstr rozbudowana w pięciu gmachach. Szpitalik mikroskopijny na 19 łóżek, sierociniec, przytułek dla starców i przychodnia... A w tej samych ocznych chorych dziennie do 50 osób!! Niedaleko wspaniały szpital protestancki, z Bożą pomocą jednak nie przeszkodzi on nam rozwinąć działalność miłosierną. Zresztą stutysięczne miasto nie jednego szpitala potrzebuje.

Ofiarność jest konieczna i prosimy Majestat Najwyższego, by nawet wobec ciężkich warunków w kraju, Polska mogła przyjść z pomocą. Piszę mogła, bo że chce dopomóc, mamy tego dowody przy rozpakowaniu pak z polskiemi darami.

Dziś najważniejszą sprawą dla nas jest kształcenie całej armji katechistów, jako katechistów i infirmarzy w jednej osobie. Utrzymanie jednego katechisty-infirmarza kosztuje 25 zł miesięcznie. Proszę się modlić o ofiarne dusze, któreby chciały zapewnić stałe stypendja na ten cel.

Nie zyskamy zaufania szerokich mas, jeżeli tej armji nie będziemy posiadać. A dziś mamy i musimy pozyskiwać najszersze masy, jeżeli cokolwiek planujemy dokonać w winnicy Chrystusowej, musimy przystosować się do odmiennych warunków psychologicznych apostolstwa w tym prastarym kraju. A więc armja katechistów, których należy nakarmić, ubrać, nauczyć, wyszkolić na infirmarzy, a potem opłacić i zaopatrzyć w niezbędne pomoce propagandy i środki lecznicze.



Krótka wiadomość o duchu i celach Zgromadzenia XX. Misjonarzy.

(Ciąg dalszy).

III. MISJE AFRYKAŃSKIE.

1. W Afryce północnej.

Jak wiadomo św. Wincenty a Paulo był przez pewien czas niewolnikiem w Berberji. Tak nazywano kraje afrykańskie podległe sułtanowi, tj. Marokko, Algier, Tunis i Tripolis. Muzułmanie uciskali tysiące chrześcijan wziętych w niewolę i używali wszelkich sposobów, by doprowadzić ich do odstępstwa od wiary św. Chrześcijanom tym potrzeba było kapłanów dla podtrzymywania ich w wierze.

Konsul francuski w Salé zwrócił się do św. Wincentego z prośbą o przysłanie jednego kapłana. Wybór padł na X. Jakóba Le Soudier, który wyjechał do Marsylji, lecz dowiedziawszy się tam, że jeden z księży zakonu Reformatów odjechał do Afryki, powrócił do Paryża. Było to po myśli św. Wincentego, który pisał 5 października 1646 do konsula:

„Nie wiem co Panu powiedzieć o postąpieniu tego“
„dobrego Ojca, który ubiegł X. Le Soudier, chyba to, że“
„zasadą naszą jest ustępować innym sposobność do dobrych“
„uczynków, jakie mają chęć wykonać, sądząc słusznie, że“
„uczynią to lepiej, aniżeli my. Gdyby ten dobry Ojciec nie“
„został przyjęty przez Pańskiego syna, lub gdyby podróż“
„jego miała na celu tylko wykupienie niewolników, jak mówił“
„odjeżdżając, w takim razie postąpimy chętnie według Pań-“
„skiego rozkazu, gdyż Pan jest wybrany przez króla, a za-“
„tem także przez Boga na to, by w tych wypadkach przez“
„wolę Pańską okazywała się Wola Boża“.

Tymczasem dzieło niewolników zostało założone w Tunisie w r. 1645, a w Algierze w r. 1646. XX. Misjonarze przybywszy do tych dwóch miast, byli dla niewolników tem, czem jest proboszcz dla parafjan. Ponadto zajmowali się wraz z konsulem wykupywaniem niewolników i służyli za pośredników pomiędzy nimi i ich rodzinami.



X. Biskup Jakób Crouzet, wikarjusz apostolski w Fort Dauphin.

Król francuski utrzymywał jednego konsula w Tunisie, a drugiego w Algierze. Ponieważ autorytet konsularny mógł być szkodliwym w niektórych wypadkach dla działalności misjonarzy, księżna d'Aiguillon wpadła na pomysł kupienia konsulatu na rzecz Superjora generalnego Kongregacji Misji. Rzym uważał za niewłaściwe mianowanie księży konsulami, dlatego św. Wincenty i jego następcy, którzy z pokorą poddawali się wyrokom papieża, powierzali te obowiązki bądź

pobożnym ludziom świeckim, jak Husson (Tunis 1653—1657) bądź klerykom Zgromadzenia jak Barreau (Algier 1646—1661) i Huguier (Tunis 1648—1649), a nawet zwykłym braciom koadjutorom, jak brat Dubourdieu (Algier 1661—1673). Jeżeli księża kiedykolwiek sprawowali ten urząd jak n. p. X. Jean Le Vacher (Tunis 1649—1653, 1657—1666, Algier 1671—1683), X. Montmasson (Algier 1687—1688), X. Bossu (1756—1757) i X. Groiselle (Algier 1760—1763), było to zawsze tylko chwilowo i dlatego, że okoliczności tego wymagały, a Rzym na ten stan wyjątkowo wyraźnie się godził.

Trzej pierwsi superjorzy Misji w Algierze mieli tytuł wikarjuszów generalnych Kartaginy; dwaj następni byli wikarjuszami apostolskimi Algieru.

X. Jan Le Vacher był pierwszym wikarjuszem apostolskim Tunisu i Algieru, a ostatnim był X. Alesia, zmarły w r. 1798.

Pomiędzy misjonarzami Algieru kilku zasługuje na miano męczenników miłosierdzia; są to ci, którzy niosąc pomoc religijną zadżumionym, zarazili się od nich tą straszną chorobą i padli jej ofiarą. Na chwalebnej tej liście znajdują się nazwiska: XX. Nouelley, Lesage, Dieppe, Huguier, Faroux i Lalau. Dwaj księża i jeden brat przelali krew swoją za wiarę św.; X. Jan Le Vacher wezwany do przejścia na Islam, wolał śmierć od odstępstwa od wiary. Ciało jego przywiązane do lufy armatniej zostało wrzucone do morza 1663 r. Pięć lat później spotkał ten sam los X. Montmasson i brata Francillon. Wielką jest liczba tych, którzy znosili męki i długo dogorywali w lochach więziennych.

XX. Misjonarze niedługo pozostali w Tunisie. Pierwszy przybył tam X. Guérin z bratem Francillon w r. 1645. X. Jan Le Vacher wysłany mu do pomocy przyjechał w chwili, kiedy X. Guérin oddawał Bogu ducha. Pozostał i przez 18 lat był tam jedynym kapłanem. Kiedy miał opuścić Tunis, nie chciał pozostawić niewolników bez pasterza; wykupił więc dwóch więzionych Kapucynów i powierzył im swoje dzieła.

Podbój Algieru przez Francję w r. 1830, spowodował wielkie zmiany w organizacji kościelnej tego kraju. Pierwsze biskupstwo zostało utworzone w Algierze w r. 1838. Oran i Konstancja stały się później również siedzibami biskupiemi.

Wtedy biskupi wezwali z powrotem XX. Misjonarzy i oddali im seminarja diecezjalne, zlecając równocześnie udzielanie misyj po wsiach.

Dziś mają XX. Misjonarze w Algierze 3 seminarja i jeden dom misyjny, a w Tunisie jedno seminarjum i jeden dom misyjny.

Nim opuścimy Afrykę północną, musimy wspomnieć jeszcze Egipt, gdzie XX. Misjonarze mają pięknie rozwijającą się siedzibę w Aleksandrji. Od r. 1844 zajmują się tam uczeniem młodzieży, udzielają rekolekcyj i misyj i szczególnie zajmują się wszystkiemi domami SS. Miłosierdzia, oraz tysiącami dzieci ich sierocińców i ich szkół.

2. W Abisynji.

Przy końcu r. 1837 dwaj sławni podróżnicy bracia Arnold i Antoni Abbadie spotkali w Kairze Misjonarza ze Syrji i zachęcili go do zapuszczenia się wraz z nimi w głąb Abisynji.

Dwa miesiące później przybyli do miasta Adua, gdzie X. Sapeto pozostał. W następnym roku Antoni Abadie, bawiąc w Rzymie, prosił kardynała Franzoni, prefekta Propagandy o pomoc dla X. Sapeto. X. de Jacobis i X. Montuori z Misji neapolitańskiej zostali wysłani do Adua, dokąd przybyli 1 listopada 1839 r.

Ludność miasta, nieufna a nawet nieprzyjazna, przyjęła ich ozięble.

X Montuori pisze krótko po swoim przyjeździe: „X. de Jacobis i ja byliśmy zmuszeni odmawiać oficjum po cichu, tak by nas nie słyszano; odprawialiśmy Mszę św. rzadko i to zawsze potajemnie, przy zamkniętych drzwiach, jakby w katakumbach. Więcej śmiałości byłoby wywołało bunt przeciwko nam wśród podejrzliwych heretyków, z których miasto się składa“.

Lecz powoli, skromność, łagodność i pokora X. de Jacobis przezwyciężyły uprzedzenia, jakie nagromadziły się w sercach pod wpływem nienawiści katolicyzmu. Wkrótce niektórzy zdobyli się na odwagę i przyszli go odwiedzić; — zwyczajne rozmowy przeobrażały się w konferencje religijne.

Lecz widok cnoty nie wystarczał do zwyciężenia wiekowych uprzedzeń. Trzeba było, aby prawda zaświeciła w oczy i sama podbiła umysły. Opatrzność wkrótce nasunęła ku temu sposobność. Dwudziestu trzech Abisyńczyków, między nimi pierwszy minister króla Oubié i Ghebre-Michael, mnich abisyński słynący ze swych cnót i wiedzy, otrzymali polecenie przywiezienia biskupa z Kairo. Zwrócono się do X. de Jacobis z prośbą, by im towarzyszył.

Zgodził się, lecz pod warunkiem, że poselstwo pojedzie aż do Rzymu, co też nastąpiło. Papież Grzegorz XVI udzielił Abisyńczykom dwóch audjencyj. Byli zachwyceni tem co widzieli i słyszeli w Rzymie i w Jerozolimie. Zasłona uprzedzeń niezupełnie spadła z ich oczu, jednak nienawiść do katolicyzmu straciła swoje ostrze i powoli X. de Jacobis mógł rozpocząć swoją pracę apostolską wraz z kilku innymi misjonarzami.

W niedługim czasie nawrócenia były tak liczne, że dzielny ten apostoł musiał zorganizować gminy katolickie, a później założył seminarjum.

Zczasem założono domy Zgromadzenia Misji w całej Abisynji od Adua aż do Massauah.

W r. 1849 Rzym zamianował X. de Jacobis wikarjuszem apostolskim Abisynji. Trudno opisać czem było życie tego apostoła; trzebaby pisać księgi. Przecierpiał on prześladowania niezmiernie ostre, więzienie i wygnanie, lecz gdy dnia 31 lipca 1860 r. umierał na spalonych piaskach pustyni, pozostawił piękne, pełne życia kościoły, pokaźną gromadkę księży krajowców i przeszło 8000 katolików. Sprawa jego beatyfikacji jest wdrożoną w Rzymie.

Jeden z jego księży, mnich Abba Ghebre-Michael dostąpił tego wielkiego zaszczytu, że po trzynastu miesiącach więzienia,

przeszedłszy straszne męczarnie, jak biczowanie, trwające dwie godziny, umarł za wiarę św. Rzym ogłosił go błogosławionym w październiku 1926 r.

Misja w Abisynji nie zaznała nigdy pokoju; historja jej, aż do pierwszych lat XX wieku, składa się podobnie jak historja Kościoła w pierwszych wiekach z długich nieustannych prześladowań. Zaledwo horyzont zdawał się wyjaśniać, nadciągała burza niszcząca wszystko. Biskupi Biancheri, Bel. Touvier i Crouzet przeszli wszyscy te same doświadczenia.

Na podstawie dekretu, wydanego po. podbiciu Eretryi przez Włochy, XX. Misjonarze i Siostry Miłosierdzia zmuszeni byli opuścić Abisynję w r. 1854.

Trzy lata później powrócili i po trudnych walkach osiedli znowu na dwóch placówkach północy Abisynji, które pozostały im z dawnego ich pola pracy apostolskiej. Dzisiaj oprócz stacyj północnych (Alitiena, Guala, Maï-Brazio, Haïga) mają swoje siedziby na południu w stolicy, na wschodzie (szczep Abbitchu) i na zachodzie, koło Gondar (szczep Kamantów) skąd 13 razy byli wypędzeni.

Misja ta najtrudniejsza ze wszystkich jest stanowczo najpiękniejszą. Tyle cierpień i tyle prześladowań może zapowiadać tylko wspaniałą przyszłość. Dziś, kiedy Abisynja weszła do Ligi narodów, nastąpiło pewne odprężenie; epoka gwałtownych prześladowań zdaje się być skończoną. Może bliskim jest dzień, w którym zawita wolność, a wtedy nie starczy rąk do zbierania w radości tego, co inni zasiali we łzach i znoju.

3. Na Madagaskarze.

Misja na wyspie Madagaskar została ofiarowaną św. Wincentemu w r. 1648 przez Mikołaja Bagni, nuncjusza w Paryżu. Chodziło o umożliwienie kolonistom francuskim osiedlonym w Fort-Dauphin wykonywania praktyk religijnych i niesienia przy tej sposobności dobrodziejstw wiary św. ludności miejscowej i okolicznej.

Wybrano X. Naquart i X. Gondrée. Św. Wincenty pisał do pierwszego z nich: „Zgromadzenie zwróciło swój wzrok na ciebie, jako na najgodniejszą ofiarę, by złożyć ją w hołdzie Stwórcy Najwyższemu... Cóż mówi serce twoje na tę wiadomość? Czy posiada dosyć pokory i uniżoności, by godnie przyjąć tak wielką łaskę nieba?"

Dwaj misjonarze przybyli na Madagaskar 4 grudnia 1648. Zastali tam ludność dobrą i religijną, lecz bardzo przywiązaną do swoich zabobonów i głęboko zdeprawowaną obyczajami niemoralnemi. Wielką była liczba tych, którzy prosili o chrzest lub chcieli nauczyć się modlić. X. Naquart i X. Gondrée woleli postępować roztropnie. Mieli powody do wątpienia o wytrwałości tych, którzy wydawali się najlepiej usposobionymi. Dnia 6 stycznia 1649 r. woda chrztu św. spłynęła na głowy kilkorga małych dzieci. W następnym roku mógł X. Naquart napisać św. Wincentemu: „Zostałem tu wysłany, by zarzucić sieci, dotychczas złowiliśmy 57 całkiem małych rybek, a ponadto tylko trzy duże, lecz jest ich tyle do złowienia, że nie wątpię, iż zostaną tu przysłani inni rybacy. którym od mnogości ryb złowionych sieci się będą rwały".

Lecz okręty odjeżdżały rzadko, droga była długa i niebezpieczna, a klimat w Fort-Dauphin niezdrowy. X. Naquart padł ofiarą choroby w r. 1650, a X. Gondrée w roku następnym.

Dopiero 4 lata później, dwaj inni misjonarze wylądowali na brzegach Madagaskaru. Byli nimi X. Bourdoise i X. Mousnier. Nadzieje były tak wielkie, że nowoprzybyli zażądali posiłków.

X. Mousnier uległ chorobie w r. 1655. Pięć miesięcy później wysłał św. Wincenty trzech księży, jeden z nich umarł w drodze na morzu, dwaj pozostali zaledwo przybywszy padli ofiarą klimatu i swojej gorliwości.

X Bourdoise znów pozostał sam. W następnym roku zniknął i on, przebywszy na wyspie 2 lata i 10 miesięcy: jest to przeciąg czasu krótki, którego jednak nie osiągnął żaden z jego poprzedników.

We Francji św. Wincenty bolał nad tem, że nie mógł mu przyjść z pomocą. Okręty, które wyjechały na Madagaskar w latach 1656, 1658 i 1659 utonęły wszystkie. Święty założyciel umarł 27 września 1660, nie dowiedziawszy się o śmierci X. Bourdoise i nie straciwszy nadziei, że czterej misjonarze wysłani ostatnio, szczęśliwie zajechali na miejsce przeznaczenia.

Misja ta była za drogą sercu św. Wincentego, by następca jego miał ją opuścić. X. Almeras, drugi superjor generalny posłał tam w czasie od 1663 do 1666 r. jedenastu księży i siedmiu braci. Jeden z tych księży został otruty przez krajowców, trzech braci zamordowano; pozostali po większej części nabawili się chorób panujących w kraju i pomarli. Ci którzy ocaleli, powrócili do Francji w r. 1674 razem z kolonją francuską, za małoliczną, by móc walczyć ze zbuntowanymi wodzami krajowców.

Przez dwieście lat patrzyli XX. Misjonarze żądnem okiem na swoją dawną misję. Stolica św. uczyniła zadość ich cichym życzeniom i utworzyła w r. 1896 z południowej części wyspy wikarjat, który im powierzyła. Dziś XX. Misjonarze są w Fort-Dauphin, Tulear, Manombo, Farafangana, Vohipeno, Betroka i Vangiandrano. Oprócz swoich dzieł zwyczajnych w krajach misyjnych, jak prowadzenie parafij i szkół, sprawują także opiekę duchowną w wielkim szpitalu dla trędowatych, gdzie obok nich, godne podziwu Siostry Miłosierdzia, pracują z zaparciem się siebie, otaczając chorych troskliwą pielęgnacją. Dzisiaj Księża Misji mają w południowej części Madagaskaru 3 okręgi i 8 domów misyjnych.

Musimy jeszcze wspomnieć, że od r. 1711—1838 Księża Misji głosili Ewangelję na wyspie Bourbon liczącej 18.000 mieszkańców, z których 13.000 niewolników; oraz na wyspie św. Maurycego od r. 1721.

Misja nowa i bardzo wiele obiecująca powstała niedawno w Kongo belgijskiem. Rokuje ona wspaniałe nadzieje na niedaleką przyszłość, o ile Bóg ześle potrzebnych do pracy robotników.

IV. KRAJE WSCHODNIE I PERSJA.

1. Kraje wschodnie.

W r. 1656 proszono św. Wincentego a Paulo o wysłanie jednego z jego księży na górę Libanu. Wybrał na tę placówkę X. Berthe, jednego z najwybitniejszych członków Kongregacji. Projekt ten już miał dojść do skutku, kiedy Propaganda zwróciła się w inną stronę. Misja została powierzona OO. Jezuitom, którzy wysłali kilku swoich Ojców pomiędzy Maronitów, do małej miejscowości Antura.

Stali tam na czele małego seminarjum, kiedy ukazała się konstytucja „Dominus ac Redemptor“, kasująca ich Towarzystwo Wówczas Kongregacja Misji słuchając rozkazu Stolicy św. wysłała swoich księży do Salonik, Santoria, Naxi, Konstantynopola, Smyrny, Tripolis, Alepo, Damaszku i Antury; a kiedy później wycofała się z Alepo i Naxi, osiedliła się za to w Kawalla, Monastyrze, Brumanie i Kirik Khan.

Przy końcu XIX wieku Palestyna otworzyła także swoje podwoje XX. Misjonarzom. Mają oni jeden dom w Jerozolimie, a drugi w Tagha koło Tiberias; zajmują się nauczaniem dzieci i pełnią obowiązki kapelanów w szpitalach.

Obecnie posiadają XX. Misjonarze 2 domy w Turcji europejskiej, 4 w Grecji, jeden w Azji Mniejszej, 3 w Palestynie i 6 w Syrji.

2. Persja.

Opatrzność Boża również nie pozwoliła św. Wincentemu posłać swoich księży do Persji, pomimo że Rzym go o to prosił i że wybrał do tej misji jednego ze swoich asystentów X. Lambert aux Couteaux. Dopiero w XIX wieku, za staraniem uczonego X. Boré, późniejszego superjora generalnego, osiedlili się w tych okolicach, opanowanych przez herezję

Nestorjusza i przeoranych przez metodystów amerykańskich. Otworzyli oni szkoły w Tauris, Djulfa, Urmiah i Khosrova, a później w Teheranie i Ispahanie. Utrzymują w wierze katolików, którzy w tych miejscowościach toną jeszcze w masach Nestorjanów i Muzułmanów i ciągle są wystawieni na wpływ protestantyzmu.

Superjor Kongregacji Misji nosił od r. 1840 do 1875 tytuł Prefekta apostolskiego, a od r. 1875 do 1918 tytuł Delegata apostolskiego dla Persji, do którego dołączoną została godność arcybiskupa. Po X. Cluzel, mianowanym delegatem w r. 1875, nastąpili XX. Biskupi Thomas, Monty, Lesnė i Sontag. Ten ostatni zginął śmiercią tragiczną, lecz szlachetną. Dnia 27 lipca 1918 r. wpadł on w miejscowości Urmiah w ręce Kurdów, wraz z trzema swemi konfratrami X. Dinka, Miraziz i L'Hôtellier, oraz licznymi chrześcijanami. Jeżeli prawdą jest to co przeszłość wykazuje, że krew męczenników użyźnia ziemię, na której została wylaną, to Misja w Persji może spodziewać się pomyślnej przyszłości. Tymczasem Misjonarze, którzy poświęcili się pracy w tym kraju, proszą Boga, by przysłał im posiłki, aby mogli rozszerzać i utrwalić swoje dzieła.

Dzisiaj po wstrząśnieniach wielkiej wojny mogli XX. Misjonarze znowu objąć swoje 4 domy w Persji.

V. MISJE W AMERYCE I AUSTRALJI.

1. Ameryka północna.

Księża Kongregacji Misji osiedli w Ameryce dopiero w XIX wieku. Wprowadził ich tam biskup Nowego Orleanu Dubourg. Ten dostojnik Kościoła, wyświęcony w Rzymie dnia 24 września 1815 r., wykorzystał swój długi pobyt we Francji i we Włoszech, by wybrać sobie współpracowników pomiędzy duchowieństwem. W liczbie tych, którzy się do niego zgłosili, było czterech synów św. Wincentego; XX. Andreis, Rosati, Acquaroni i brat Blanka. Odjazd ich z Bordeaux nastąpił 12 czerwca 1816 r.

Nowy biskup wybrał Saint Louis za swoją siedzibę. Zatrzymał przy sobie X. Andreis, który został wikarjuszem generalnym, a zarazem proboszczem tego miasta, liczącego zaledwie 4000 dusz. X. Rosati został postawiony na czele seminarjum diecezjalnego, które miało dopiero powstać Mieszkańcy Barrens prosili biskupa Dubourg jako o wielką łaskę, aby seminarjum zostało wzniesione u nich i na ten cel odstąpili diecezji obszerny plac. Miejscowość ta była oddaloną 24 mil od miasta, w którem znajdowała się stolica biskupia i nie posiadała żadnego budynku kościelnego. X. Rosati wybudował najpierw kaplicę drewnianą dla parafji, a potem wystawił dla swoich seminarzystów chatę z desek, długości 28 metrów, a szerokości 25 m.

Uboga ta chata była stosownie do pory dnia kaplicą, sypialnią, salą naukową, salą rekreacyjną. Podczas gdy X. Rosati wykładał teologję kilku uczniom, brat sporządzał trochę dalej posiłek. Jaki posiłek! Świeża woda była codziennym napojem. W święto Wielkanocne na stole nie było nic prócz miski gotowanego bobu. Papier lub biały muślin zastępował szyby w oknach. Deszcz i śnieg wpadały do wnętrza przez niezliczone szpary. Za łóżka służyły skóry bawole i koce.

Tak trwało przez kilka lat. Zdaje się, że ubóstwo miało wtedy wielki urok, gdyż liczba seminarzystów wzrastała ciągle. Przybywało ich tylu, że trzeba było chatę zastąpić domem obszerniejszym i wygodniejszym.

W r. 1823 zaopiekował się X. Rosati kilku małymi chłopcami. Był to początek zakładu wychowawczego, który 20 lat później został przeniesiony do Cape-Girardeau.

Do czterech pierwszych misjonarzy przyłączyło się w r. 1820 trzech konfratrów, przybyłych z Europy, a potem trzech wychowanków seminarjum, przyjętych do Kongregacji. Ci trzej seminarzyści zajęli później ważne stanowiska w episkopacie, mianowicie X. de Nékère i X. Odin byli biskupami w Nowym Orleanie, a X. Timon został biskupem w Buffalo. Sam X. Rosati był pierwszym pasterzem diecezji w Saint-Louis.

X. Andreis byłby również odegrał ważną rolę w historji Kościoła w Stanach Zjednoczonych, gdyby Bóg nie był go powołał do siebie 15 października 1820 r., cztery lata po jego przybyciu. Cnoty jego potwierdzone cudami, były przedmiotem śledztwa kanonicznego. Sprawa jego beatyfikacji jest wdrożona i można się spodziewać, że w przyszłości zostanie on wyniesiony na ołtarze przez Stolicę św.

Podróż X. Odin do Europy i rewolucja hiszpańska przyczyniły się do zwiększenia liczby synów św. Wincentego w Stanach Zjednoczonych. Liczba domów wzrastała szybko, utworzyły one prowincję autonomiczną, której pierwszym wizytatorem był X. Timon.

Zgromadzenie Misji postępuje w tym kraju ciągłe naprzód. Za naszych czasów istnieją tam dwie prowincje, 29 domów i około 350 księży, zajętych kierownictwem 6 seminarjów, 4 uniwersytetów i około 30 parafij, jak również dziełem misyj i rekolekcyj. Te dwie prowincje współzawodniczą ze sobą obecnie w nawracaniu Chin, wysyłając tam misjonarzy.

Oprócz tego prowincja Barcelony i prowincja polska posiadają w Stanach Zjednoczonych swoje domy, celem opieki nad emigrantami hiszpańskimi i polskimi.

2. Ameryka południowa.

Przeszkodą do rozwoju dzieł w Meksyku są rewolucje, które wybuchają perjodycznie, powodując zamęt w kraju i paraliżując działalność religijną. Przed prześladowaniem r. 1926 prowadziła tam Kongregacja Misji 1 zakład wychowawczy, 2 seminarja i posiadała 6 domów misyjnych i rekolekcyjnych.

Prowincja Antylów rozciąga się na wyspy Kuba i Portoriko. Biskupi powierzyli jej kierownictwo zakładu wychowawczego w Matazas, seminarjum w San Juan i sześciu parafij. Dzieło misyj nie doznaje przytem uszczerbku; kilku księży rezydencji Hawany, Santiago i San Juan poświęca mu się gorliwie.

Guatemala, San Salvador, Alegria, Panama znajdują się na liście domów, tworzących prowincję Ameryki środkowej.

Stolica św. wyniosła jednego ze synów św. Wincentego do godności arcybiskupa w Tegucigalpa i powierzyła innemu wikarjat apostolski w San Pedro Sula w Honduras. W pierwszej z wymienionych miejscowości XX. Misjonarze niemieccy prowadzą seminarjum diecezjalne, a w wikarjacie San Pedro XX. Misjonarze hiszpańscy administrują parafją i udzielają misyj.

Prowincja niemiecka dostarcza także biskupowi w San José na wyspie Costa Rica dyrektorów dla jego seminarjum i wysyła członków do tejże republiki, jak również do Turrialba, Limon i Buenos Aires, gdzie znajduje się rezydencja księży, zajmujących się pracą misyjną.

Obecnie mają XX. Misjonarze w Ameryce południowej:

32 domy w Brazylji.
8 na wyspie Kuba,
1 w Guatemala,
2 w Salvador,
2 w Paranie,
3 w Costa-Rica,
6 w Honduras,
6 w Porto-Rico,
5 w Argentynie,
1 w Paraguay,
1 w Uruguay,
14 w Kolumbji,
6 w Ekwadorze,
3 w Pacifique,
9 w Peru i Boliwji.

3. Australja.

Gorliwość XX. Misjonarzy św. Wincentego a Paulo znajduje również rozległe pole działania w Australji i Oceanji. Prowincja holenderska podjęła się przed kilku laty prowadzenia parafij w Soerabiai i w Kediri, miejscowościach znaj-

dujących się na wyspie Jawie, oraz udzielania misyj w okolicach tych miast. Konfratrzy irlandzcy poświęcają się tym samym dziełom w Ashfield i Malwern w Australji. Ponadto mają jeszcze zakład wychowawczy dla chłopców w Bathurst i dwie inne rezydencje w Sydney i Eastwood.

Dzięki posiłkom, dostarczanym przez prowincję madrycką, prowincja wysp Filipińskich utrzymuje personel sześciu seminarjów i dostarcza rezydencji XX. Misjonarzy w Manilli, kapłanów potrzebnych do obsługi jednej parafji i dzieła rekolekcyj.

* * *

W armji tej, która pracuje nad zdobywaniem dusz dla Jezusa Chrystusa są reprezentowane prawie wszystkie narodowości Europy. Nawet Stany Zjednoczone, którym sto lat temu, Europa dostarczala kapłanów i środków pieniężnych, dziś posyłają do krajów niewiernych ludzi i pieniądze. Stany Zjednoczone, którym dopiero wczoraj głoszono Ewangelję, dziś głoszą ją innym. Kto wie, czy w przeciągu wieku Chiny nie pójdą za ich przykładem? Niedowiarstwo cofa się przed wiarą, liczba wikarjatów apostolskich wzrasta i wkrótce wikarjaty te przemienią się w stolice biskupie.

* * *

Komu zawdzięczamy te wspaniałe postępy? Bezwątpienia wszystkim misjonarzom, ale przedewszystkiem tym, którzy dobrze rozumieją, że życie ich powinno być życiem pracy, wyrzeczenia się i ofiary. Ażeby się czemuś poświęcić, trzeba zrobić z siebie ofiarę, a poświęcenie było zawsze warunkiem postępu. Nie bez powodu napisano: „Krew męczenników jest posiewem chrześcijan“. Ci, którzy przelali krew swoją na dalekich Misjach, przyczynili się do rozszerzenia Kościoła św. jak niegdyś apostołowie. Oni zmarli, lecz z grobów ich wytrysnęło życie, życie wiary dla tych, których pozostawili na ziemi, — dla siebie zaś samych życie wiecznej chwały, którego Bóg nie odmawia tym, którzy się dla Niego poświęcają.

Lecz na tej rozległej roli, powierzonej gorliwości synów św. Wincentego, robotnicy są nieliczni, a żniwo dojrzałe. Ci, którzy padają, oglądają się za młodszemi, silniejszemi ramionami, którym umierając mogliby oddać sztandar.

Młodzieńcze, który będziesz czytał te słowa, posłuchaj usłyszysz głos tych tysięcy, tych miljonów dusz, które cię wołają i które powtarzają tobie słowa usłyszane już przez wielkiego św. Pawła: „Przepraw się do Macedonji i ratuj nas“.

Życie misyjne będzie twarde, zapewne; trzeba ci będzie najpierw obumrzeć dla wszystkiego, a potem codziennie umierać trochę dla siebie! Lecz czy może być piękniejsza egzystencja nad tę, by naśladować Jezusa na ziemi i „przechodzić dobrze czyniąc!“ A jaka śmierć może być piękniejszą od śmierci apostoła, który gdy wieczór zapadnie kładzie się na spoczynek, gdyż dzień jego żywota się skończył, i który wstępuje do nieba wyprzedzony lub otoczony duszami, które zdołał nawrócić!

* * *

We wielkiem dziele ewangelizacji świata współzawodniczy i polska prowincja XX. Misjonarzy. Zaszczepiona ręką samego św. Wincentego a Paulo chlubnie pracowała w dawnej Rzeczypospolitej i zacieśniała więzy jedności wiary katolickiej i wierności dla Stolicy św. Przeszła następnie przez bramy śmierci nie po śmierć, ale po cud zmartwychwstania. Ożywiona i zapalona ponownie duchem św. założyciela rozszerzała swoją działalność. Wzrosła liczebnie, ale i działalnością swoją sięgnęła daleko poza ojczysty kraj. Na ducha iście apostolskiego jej pracowników ewangelicznych patrzą od szeregu lat Brazylja i Ameryka Północna. Niezliczona masa polskiego wychodźtwa w Niemczech, we Francji i t. d., ileż razy błogosławiła imię polskiego Misjonarza, kiedy jej łamał Chleb Żywota i prowadził pod Krzyż nie jako hańbiący znak, ale jako zadatek zmartwychwstania! W ostatnich latach przypadło i polskiej prowincji nowe dzieło w udziale: praca nad nawracaniem pogan. Wprzód w Brazylji misja

pośród Botokudów dała piękne owoce apostolskiej pracy. Następnie w naszych dniach Chiny przyjęły i polskich XX. Misjonarzy, którzy przy pomocy polskich Sióstr Miłosierdzia sieją blaski Krzyża Chrystusowego i rozpraszają mrok pogaństwa

„Wszędzie pracują XX. Misjonarze nad zbawieniem Krwią Chrystusa odkupionych dusz" — czyli nad sprawą Bogu najwdzięczniejszą. To też patrząc na rozliczność misyj XX. Misjonarzy i wielość ich prac, błagajmy Boga o najobfitsze błogosławieństwo z góry i otwierajmy serca nasze do jak najgorliwszej i najofiarniejszej współpracy, aby Chrystus mógł zapanować u wszystkich braci naszych a pokój Jego uszczęśliwić cały świat.

U progu śmierci.

Już od dłuższego czasu szeptano, rozprawiano o wojnie Coraz to inne i z innych stron przychodziły wieści, tak, że w końcu niewiadomo było, kto z kim i gdzie ma walczyć. Najróżnorodniejsze domysły rzucano na przetarg ciekawości, a każdy bronił według niego nieomylnej ewentualności. Pomruki wojenne tym razem sprawdziły się, przybierając realną formę.

Oto jednemu z generałów, okupującemu Shuntehfu z dwiema dywizjami (30.000 ludzi, dwie inne dywizje były na południu) przyszło do głowy zabawić się w wojnę. Wojska w sile 60.000 w triumfalnem usposobieniu wyruszyły na północ. Przez trzy dni niezmierzone tabory przeciągały przez miasto obok naszej rezydencji, tamując ruch, napełniając zgiełkiem i paniką miasto. Wojsko przeszło i Shuntehfu pozostało przez jakiś czas nawet bez załogi. Po dniach przyszła z północy załoga 1000 ludzi. Garstka to i dlatego spodziewaliśmy się, że jak zwykle z nadejściem wojsk południowo rządowych, załoga nasza ulotni się.

Stało się inaczej. Wojska południowe przyszły i nastąpiło oblężenie. Zwiastunami zbliżających się wojsk były aeroplany rządowe, które niemal codziennie składały wizyty, rzucały upominki. Pierwsze dwa przyszły w niedzielę 26 lipca 1931 r. i rzuciły 14 bomb na dworzec Shuntehfuski, zabijając i raniąc kilka osób, między innymi jedno dziecko katolickie, matkę jego raniono. Panika! Panika ogarnęła ludność, a zwłaszcza na przedmieściu Si-kua (zachodnie). I tak, gdyśmy z X. Sup. Krauzem pojechali rowerami sprawdzić, czy nie zniszczono tamtejszej kapliczki, całe masy kobiet, dzieci i mężczyzn pakowało co cenniejsze rzeczy na ryksze wózki i taczki i uciekali w popłochu. Kapliczka na szczęście ocalała.

Wizyty aeroplanów powtarzały się niemal codzień, a z niemi zniszczenie i trwoga. 29 lipca po obiedzie wojska rządowe otoczyły miasto. Tego samego dnia spróbowano armat — granaty z chichotem przelatywały nad naszą rezydencją. Od tej pory miał się zacząć okres niepewności jutra i niepokoju — oblężenie. Zwłaszcza noce były straszne. Wycia, jęki rannych mieszały się z hukiem armat, grzechotem karabinów maszynowych, spędzając sen z powiek

Nasza rezydencja misyjna znajduje się przy samej północnej bramie. Tę właśnie bramę najgoręcej atakowano i to nocami. Każdy strzał, jęk, krzyk echem stokrotnem odbijał się o ściany naszej rezydencji misyjnej, pękające granaty bębniły po dachach. We dnie widziano sypiący się tynk z wieży kościółka, liście i gałęzie drzew na naszym podwórzu przypominały jesień.

Rannych było dużo. Wszystkich ich znoszono do naszego szpitalika, pod opieką Sióstr Miłosierdzia znajdującego się. X. dr. Szuniewicz i ja do pomocy całe dni opatrywaliśmy rannych i śpieszyliśmy z pomocą. Wielu umarło, przedtem przyjąwszy chrzest, choćby sub conditione (pod warunkiem), np. w nieprzytomnym stanie. Pracy było bardzo wiele. Tembardziej, że szpitalik i nasza przychodnia nie były przygotowane na podobne wypadki i tak wielką liczbę proszących o pomoc. Zdarzało się, że jednocześnie przynoszono tak ciężko rannych, iż natychmiast trzeba było zabiegów lekarskich, jak np.: jednego dnia wywołano nas z kolacji do rannych, którzy świeżo przybyli: jeden bez nóg i ręki, drugi z przestrzelonym brzuchem. Cóż było robić? X. dr. zabrał się do tego bez nóg i ręki, a ja musiałem opatrzeć tego drugiego. Granaty, kule karabinowe, a nadewszystko bomby aeroplanowe wielkie wyrządzały spustoszenie. I tak bomba wpadła do jednego sklepu przy południowej bramie, zabiła pięciu ludzi, a szóstemu odcięła nogi. I ten zmarł wkrótce. Boskie Serce opiekowało się nami. Przenajświętsza i Niepokalana okrywała nas swym płaszczem opieki. Pod ich to opieką w naszej i Sióstr rezydencjach chroniło się dziesiątki osób, pogan i chrześcijan. Z jaką radością patrzyło się na to, gdy poganie, wykształceni ludzie, klękali i prosili „Thje Dżu“ — Boga Nieba — o pomoc i opiekę, i tej tylko opiece ufali i zawdzięczali swe życie. Dzień za dniem mijał, coraz większe spustoszenie, coraz więcej zabitych i rannych, coraz większa trwoga opanowywała miasto. Nic to jednak w porównaniu z ostatnim dniem, prawdziwym piekłem. Rano jak zwykle wstawaliśmy o 4-tej. Po rozmyślaniu i Mszy św. jeden drugiego pytał, czy żyje, czy zdrowy, zdawało się, że po przeżytej nocy znowu jeden dzień oblężenia taki sam jak przedtem. Przed ósmą słyszymy warkot... Strwożeni uciekinierzy cisną się do kościoła, — coś niedobrego.

Zwykle o 9-tej aeroplany krążyły, ale dziś mgła okryła nieprzenikliwym całunem biedne miasto. Po półgodzinnych wywiadach aeroplany odleciały. Odetchnęliśmy. — No, może nic z tego nie będzie. Z X. drem jak zwykle poszliśmy o 8-mej do szpitala, rozłożyliśmy wszystko do opatrunków, gdy wtem salwa armatnia, jedna, druga, ze wszystkich stron... Grzechot karabinów maszynowych, ich ujadanie, poszczególne strzały karabinowe, tuż, tuż... Na dobitkę złego aeroplany znów wróciły i masami zrzucały bomby. Pękając nad głowami granaty, świst odłamków i kul łączyły się w piekielną kakofonję. Jęki i wycia rannych były odpowiedzią z miasta. W tym piekielnym huku jeden drugiego nie słyszał. Rannych znoszono masami. Ich jęki i krew kałużami rozlana na podłodze trzech pokoji przychodni dodawała całości obrazowi. Trzeba było się szalenie spieszyć, by nieść pomoc jak największej liczbie rannych: tu noga, tu ręka, tu brzuch, tam już umiera... Krew chlupie pod nogami i obryzguje twarze; wtem szara chmura idzie ku oknom przychodni. Tuż, tuż! gazy trujące?... Co robić?... Żadnego ratunku, ani jednej maski... Dym opada; nie, to nie gazy, tylko granat kropnął w sąsiedni dom i spylił gliniane jego ściany. Przeszła już godzina obiadowa, a o posiłku nie mogło być mowy; tylu rannych. Około 3-ciej uciszyło się trochę; załoga nie miała już naboi i sił. Dezorganizacja wkradać się poczęła w szeregi obrońców. Gromadki żołnierzy przebiegały podwórza Sióstr, szukając schronienia. Dowódcy przychodzili niby dla sprawdzenia, a w rzeczywistości...? Musieliśmy być niemiłosierni dla dobra setek schronionych dzieci i starców. Kazaliśmy żołnierzom usunąć się z rezydencji, tu tylko ranni mają prawo zostać, reszta na zewnątrz, za bramę... było to koniecznością chwili: albo ich usunąć, albo paść z nimi razem, żołnierze posłuchali, wyszli, tak samo dowódcy. Wtem wpada ktoś i woła: „Południowcy weszli do miasta“. No, nareszcie, Chwała Bogu! Za chwilę nowe strzały, znowu ktoś zastraszony szepce. Bitwa na nowo się rozpoczęła. O, to gorzej. Później znowu cisza. Jeszcze jeden goniec: „wojska południowe na murach miasta“. Patrzymy, rzeczywiście, coś się na murach czerni, mrowi. Korzystamy z chwili pokoju i jedziemy coś zjeść, bo od rana nic nie jedliśmy. Po kilkuminutowym posiłku

znowu zabraliśmy się do rannych. Nagle zaczęto się dobijać do rezydencji siostrzeńskiej, wołają „otwierać", biją kolbami. Co robić? Byliśmy pewni, że to żołnierze z załogi wrócili i chcą się zemścić za usunięcie z rezydencji. Padają strzały, jeden za drugim. Rzucają granaty ręczne. Z murów miasta biją do rezydencji z karabinów maszynowych. Kule gwiżdżą po pokojach, ostrzegam X. dra, by się schylił. E, niema niebezpieczeństwa. Wtem gwizd, i kula koło samego ucha przeleciała, zostawiając ślad w ścianie. Szyby z jękiem rozsypują się w kawałeczki, huk ogłusza nas. Co robić? Otworzyć może? Kwandras już strzelają. Wtem trzask — pękła brama. Wpada w podwórko rozwścieczona tłuszcza. Strzały się wzmagają. Biją o kilka kroków. Czujemy dech karabinów. Zrozumieliśmy, że nadszedł stanowczy moment. Błyskawicznie przesuwa mi się w pamięci ta chwila, kiedy to przed jedenastu laty pod Wilnem szło się do ataku na bagnety... Spoglądam na X. dra, a on: „Trzeba wyjść i ich ułagodzić". Przybladł trochę i ze znakiem czerwonego krzyża wyszedł pod promień kul naprzeciw rozszalałego żołdactwa. Boskie Serce i Niepokalana go wiodła.

Pobiegłem i ja do kaplicy siostrzeńskiej. Tam dzieci, staruszki, uciekinierki z Siostrami Miłosierdzia błagają Niepokalaną o pomoc i opiekę. Klękam u stóp ołtarza i błagam Opiekunkę Strapionych, by płaszczem Swej opieki otoczyła nas, błysnęła złotem promieni łask. Siostry i wszyscy proszą o ostatnią absolucję. Odwracam się od ołtarza: „Wzbudźcie serdeczny żal", a później „Miseratur vestri". Po absolucji Siostra podaje mi kluczyk od Tabernaculum, rozdaję wszystkim pośpiesznie po kilka Komunikantów. Wszystkiegośmy się spodziewali.

Tymczasem strzały nie milkną. Drżą szyby kapliczki. Co z X. drem? Pewnie zabity, może ranny? Na ratunek! Spojrzałem na dzieci: nie, nie wolno! Moim obowiązkiem jest tu pozostać. Wtem słyszymy kroki i dwa bagnety wsuwają się do kaplicy. Dzieci strwożone cisną się do mnie, błagają o ratunek. Ani chwili do stracenia. Podchodzę do żołnierzy, tłumaczę: „Mujn tarbin, kpan ju hedzmen, niemell" (niema żołnierzy tylko dzieci, kobiety). Wychodzą z kaplicy. Pełno żołnierzy w podwórzu. Wszędzie węszą, myszkują. Zbliżam się, prawię komplementy, zapewniam, że żoł-

nierzy niemą. Pokazuję nawet otwór w murze, którędy przeciwnicy wyszli. W duchu, życzę, by i oni to samo zrobili. Fala idzie za falą, wszędzie biegać, uspakajać trzeba. Kazałem otworzyć wszystkie drzwi: „Chodźcie, poszukamy żołnierzy“ mówię im. W międzyczasie spotykam X. dra, żyje, nie ranny. Lecz niema czasu zamienić z nim słowa. Jak się później dowiedziałem, X. dr. poszedł na ratunek SS. Józefinkom, bronić je od śmierci i grabieży Przebiegam przez przychodnię, patrzę, czy nie rabują narzędzi Nie, tylko katują rannych i rabują im pieniądze. Proszę, rozszalałych: przecież to ranni! Wyprowadzają lżej rannych za bramę rezydencji siostrzeńskiej i jednemu wbijają w wściekłości bagnet w nogę. Powracam do kaplicy, a tu już żywej duszy niema. Szukam Siostry i dzieci po całej rezydencji. Znajduję je wystraszone w przytułku staruszek. Co takiego? „Chcieli nas wszystkich pozabijać! Upadłyśmy na kolana i tak uprosiłyśmy życie“. Poleciłem wszystkim powrócić do kaplicy pod opiekę Niepokalanej. Żołnierze przeszli w centrum miasta. Rezydencja Sióstr opustoszała za chwilę. Znowu spotykam X. doktora. A ten? „Wracam od nas. Nasza rezydencja zrabowana. Widziałem, jak wynosili rowery, także rower księdza. Drzwi, szafy porozbijane. Trudno!“ Korzystam z chwili i z Siostrą Przełożoną idziemy obejrzeć szpitalik. Na szczęście nic złego nie zrobili. Pocieszam rannych, by mieli ufność w „Thję-Dżu“. Wracamy, a tu naprzeciwko nas idzie dwóch żołnierzy o twarzy opryszków. „Żołnierze są?“. „Niema“ brzmi odpowiedź. „Tu szpital, wszyscy żołnierze uciekli tam“, wskazuję im ręką. Spotyka ich zawód, nie da się rabować. Siostra Przełożona podchodzi do nich, przemawia. W odpowiedzi jeden z nich mierzy do niej, ale nie śmiał strzelić. Po chwili, wychodząc z podwórza, spotykamy ponownie wracających opryszków. Znowu zapewniam, że niema żołnierzy, w odpowiedzi podniósł karabin. Zmierzyłem go wzrokiem. Zmieszał się, opuścił karabin. Rozeszliśmy się. Ściemniło się. Na rozkaz dowódcy kompanja żołnierzy miała nocować w szpitalu Sióstr. Rozkładają się na podwórzu. Z X. doktorem czuwamy w przychodni: rewizja za rewizją. O pierwszej w nocy przeprowadzają ścisłą rewizję. Szukają wrogów. Nic nie znajdują. Na pożegnanie rzucam: „caj die“ „pu sun“ (Do widzenia — nie

odprowadzam) forma grzeczności chińczyków. Pragnę, by już nie wrócili. O drugiej w nocy dochodzimy do wniosku, że trzeba spocząć. Siostra, która razem z nami w przychodni czuwała, proponuje gościnny pokój. Nie zgadzamy się. X. doktór idzie do ciemni ambulatoryjnej, siada na krześle, za poduszkę służy mu stolik. Ja vis-a-vis opieram głowę o autoklaw, ale zdrzemnąć się nie mogę. Siostry i dzieci, zgromadzone w kaplicy, trwają na modlitwie lub drzemią. Świta. Myśl dziękczynna wznosi się do nieba. Trzeba się przygotować do Mszy św. X. doktór wraca od naszych księży z zapewnieniem, że kaplicę szykują po przespanej w niej nocy. Ubieram się do Mszy św. Co za Msza św.? Straciłem rachubę czasu. Zaglądam do mszału. Przemienienie Pańskie.

X. Górski C. M.

Ogniowy chrzest Polskiej Misji w Chinach.

Pięć miesięcy względnego spokoju w nowem polskiem gnieździe misyjnem w Chinach, pozwoliło naszej szczupłej grupie rozejrzeć się nieco w nowych warunkach. Opatrzność łagodnie nas prowadziła dotychczas. Przejąwszy stopniowo z rąk dawnego kierownika zapoczątkowane instytucje misyjne jak: kościół i kaplicę, szkółkę i szpitalik, a łasce Bożej zawdzięczamy tę wygodę, że od pierwszych chwili większą uwagę mogliśmy zwrócić na zadania bezpośrednio misyjne, na rząd dusz porwanych ciemności, niż na budowę gmachów misyjnych.

W połowie lipca jednak niepokój zbliżającej się wojny, opanował umysły. Czy to przerażało kogo? Raczej nie. W Chinach od lat 30 nie ustają walki bratobójcze i nerwy odrętwiały nieco na surmy wojskowe. Zresztą, codziennie o godzinie 3½ trąbka budziła żołnierzy, wkrótce rozpoczynał się ruch. Naszej Mszy św. towarzyszyły piosnki wojskowe, co się hałaśliwie wdzierały z ulicy, po przez nieszczelne okna kościółka. Przywykło ucho i do tego. Nie mogło natomiast przywyknąć do dzikiej komendy, co chwila powtarzanej przez ten lub ów oddział ćwiczebny szeregów, i, oe, san, szaaaa... raz, dwa, trzy, zabij! Przeciągły, złowrogi, syczący

ten krzyk szaa! przeraźliwym dysonansem odbijał się w kopułach kościółka, jakby chciał zagłuszyć raźny recytatyw chińskiej modlitwy, płynącej z ust setki dziatwy i starców.

Pewnego dnia, naraz ścichły trąbki i ustała komenda. Wojsko Szyjansana opuściło miasto, pozostawiając drobną załogę. Z niepokojem rozpytywaliśmy o posunięcie wojsk. Przecie w siedzibie biskupiej, w Czentingfu, dokąd podążyła armja, nasi księża z Kaszingu. Skończyli oni swe studja w chińskiem seminarjum naszego Zgromadzenia i spieszą do swej polskiej oazy, by odrazu chwycić za pług misyjny. Tam, na spotkanie ich, wyjechał nasz X. Superjor Pociągi osobowe zniesione, poczta nieczynna, aeroplany nad miastem. W podobnych warunkach dopiero uprzytamnia sobie człowiek, jaką jest drobną piaszczyną — ani na włos wpłynąć na losy dnia nie może. Zdaliśmy się na wszystko opiece Opatrzności i czekamy na rozwój wypadków.

Tymczasem do misji napływają szeregi uciekinierów. Niepewni są życia w swych lichych lepiankach. Niejeden dobytek swój również przetransportował do misji. U SS. Miłosierdzia i u SS. Józefitek, gromadzą się matki z dziećmi, u nas szukają chroniska urzędnicy pocztowi, kolejowcy i inni mężczyźni. Nawet kilku pogan prosiło o przytułek. A jak to wszystko klękało pobożnie, nawet wodą święconą żegnali się poganie przy wspólnych modlitwach, przed posiłkiem.

Kiedy trwoga — to do Boga.

Pierwsze bomby. „Fej — tin, fej — tin“ — obleciał przerażony szmer wszystkie gmachy. Istotnie warczał samolot rządowych wojsk. Pierwsze jego bomby zabiły dziecko chrześcijańskie i zraniły matkę, i tu pierwsza ofiara katolicka. Wola Boża. Chińczykowi nie wypada zdradzić bólu, cierpienia, przeto ojciec pierwszej ofiary, z uśmiechem opowiadał nam o tem. Nie powrócił już do zniszczonego bombą domu — pozostał w misji. Drugi, trzeci i następne dni, przyniosły nowe bomby z samolotów, pociski z pociągu pancernego, deszcz kul karabinowych. Jesteśmy otoczeni ze wszech stron, i tylko odwieczne mury miasta, pozwalają nielicznej, ale dzielnej załodze, bronić się zacięcie w myśl rozkazu Szyjansana. Generał ten, skazał na oblężenie 80.000-ne miasto, jedynie



Siostry Miłosierdzia w Egipcie.

dla dogodzenia sobie. Pragnął on wysunąć się na czoło z roli podrzędnego wojewody, podporządkowanego władzom centralnym, a cóż go to obchodzi, że ambicja wymagała okupu tysięcy żyć ludzkich.

Do szpitala przynoszą ciężko rannych. Siostry Miłosierdzia zapomniały o strachu i pomagają bandażować kikuty oderwanych rąk i nóg. Kilkoro ciężko rannych w głowę, lub klatkę piersiową, ochrzczono natychmiast i ulokowano w osobnej salce, przeznaczonej dla izolacji morfinistów. Innych, umieszczono na sali szpitalnej, lżej rannych, w przytułku dla starców. Rojno i gwarno w zacisznym dotąd szpitaliku. Z radością stwierdziliśmy szlachetną cechę chińczyków, żaden ranny nie został przez nich zapomniany. Oficerowie przynosili dla swych żołnierzy chłodzące napoje i łakocie, towarzysze broni często odwiedzali swych rannych. Krewni zaś, całe tygodnie gotowi są spędzić przy łożu chorego.

X. Górski również przy warsztacie miłosierdzia. Przemywa rany, zakłada saczki, bandażuje. Takiej nabrał wprawy po kilku dniach, że z łatwością dystansuje swego instruktora.

X. Superjor nie pozostał w rezydencji biskupiej. Po przez front bojowy, przedostał się wozem, a czasem per pedes apostolorum, do własnego gniazda, by dzielić trudy oblężenia ze swymi wiernymi.

Najcięższy był dzień ostatni — 6 sierpnia. Ciężkie pociski zrobiły wyłom w murze miejskim w pobliżu misji, pod huk bomb rzucanych z samolotów, południowcy wtargnęli do miasta. Wściekli z powodu wielkich strat własnych i niezwykle zaciętego jak na Chiny oporu, rzucili się zapamiętale na najbliższe gmachy, gmachy misji.

Przez parę minut strzelano do bram i okien. Jednocześnie z murów gęstym ogniem karabinowym, zasypano misję. Kule przeszyły szyby, utkwiły w podłodze, w ścianach pokojów księży, przebiły stoły i szafy... Łaska Boża zachowała pertonel, tylko odźwierna zakładów SS. Miłosierdzia została ciężko ranna, kula zdruzgotała jej ramię i przeszyła klatkę piersiową.

Komiczne zajście miało miejsce w pokoju naszego Patryarchy, sędziwego brata Fedzina. Zabrał mu żołnierz budzik, ale targnął, również za dewizkę zegarka, na piersi brata. Brat mu spokojnie na to, „ty masz już jeden i ja mam jeden — konla — dosyć ci". Zaklął żołnierz, wbił bagnet w stół, ale drugiego zegarka nie ruszył.

Gorzej postąpiono z X. Stefani, dawnym gospodarzem misji, którego wyjazd został opóźniony z powodu wojny. Usiłował on powstrzymać rabunek w pokoju nieobecnego kapłana-chińczyka. W odpowiedzi żołnierz strzelił do niego i kula niemal zawadziła o jego ucho...

Jednocześnie wpadły bandy rabusiów do szpitala. Personel przy pracy, z narzędziami w ręku, tu nie ruszono nic. Natomiast w przytułku, zrabowano nawet drobne oszczędności babek. Wówczas X. Górski, pod gradem kul, zwołał dzieci, babki uciekinierów do kaplicy i tam w gorącej modlitwie przetrwali wszyscy długie godziny pierwszej wrzawy. W kaplicy i u SS. Miłosierdzia nikogo i nic nie tknięto.

Boska Opatrzność obroniła sąsiedni lokal SS. Józefitek. Już zaczęto piłować drzwi, ale nikt się nie ruszył z miejsca, wszyscy na kolanach trwali w modlitwie od chwili decydującego szturmu. I odeszli sami żołnierze. Co dziwniejsze, następne fale zwyciężców, które zaglądały niezmiennie zarówno do domu Księży, jak do SS. Miłosierdzia, nie wstąpiły do nich wcale.

Przez całą noc i dzień następny ciągłe rewizje i szykany, aż uzyskano od naczelnego dowództwa, listę ochronną. Szpital jednak miał rewizorów przez kilka dni następnych, ranni żołnierze pozostawali pod stałym dozorem warty, a niejednego uprowadzono „w niewiadomym celu" mimo ciężkich ran.

Czyśmy nie doznali cudownego ocalenia? Żadna kula nie wpadła do kościoła, mimo obicia kilku cegieł wieży. W ogrodzie podjęliśmy dwa pociski działowe. Dlaczego nie nastąpiła eksplozja? Zakopaliśmy je głęboko razem z granatami, porzuconymi przez żołnierzy, mieli ręce zajęte zrabowanem mieniem, woleli zostawić nam w zamian granaty.

Dziś ponownie zapanowała cisza. Jesteśmy już w jednym gronie. A jak do nas przyjechali neoprezbiterzy? Pospieszyli

z Czentingfu pierwszym pociągiem jakkolwiek niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Zaledwie kilkanaście kilometrów zdołali odjechać, gdy na stacji Szy-dz'a-szwatuź, tuż niedaleko od nich, rzucono z samolotu bomby. Zmuszeni byli rykszami powrócić do miasta i dopiero w kilka dni potem przybyli pierwszym ekspresem.

Dziś zanosimy modły dziękczynne za ocalenie i ogniowy chrzest Polskiej Misji w pierwszem półroczu jej istnienia. Niezawodnie przyczyni się on do rozniecenia i oczyszczenia w nas samych ducha misyjnego i zapali do gorętszej pracy dla tych nieszczęśliwych, co nie są w stanie, zapewnić sobie pokoju we własnym kraju.

Wszystkich też, kto ten mały pamiętniczek przeczyta, prosimy gorąco o modlitwy, byśmy i nadal byli wspierani polskiem wstawiennictwem i opieką nadprzyrodzoną...

(—) *X. Wacław Szuniewicz*, Misjonarz.

Prawdziwe oblicze Chin.

List X. Dr. med. Wacława Szuniewicza, Misjonarza w Chinach, do Wiel. Alumnów Seminarjum Częstochowskiego w Krakowie!

Kochani Księża!

Walki na froncie północnym przetrzymały nieco Wasz miły list! Odebrałem go wczoraj, a tak się dobrze złożyło, że wyjątkowo mam chwilkę wolną na odpowiedź natychmiastową. Bóg zapłać za pamięć i życzenia! Pamięć o własnej placówce misyjnej jest dla naszej młodziuchnej misji zapewnieniem współpracy z całym klerem polskim na torach pierwszego Misjonarza, jest również wykładnikiem budzącej się potężnie polskiej myśli misyjnej. Nic nie szkodzi, że przypada to na okres najcięższy dla kraju pod względem materjalnym. Duch się przygotuje, rozogni się zapał do realizacji własnemi rękami hasła Chrystusowego o nauczaniu „wszystkich" narodów. A gdy duch gorąco zapragnie czynu, warunki ku działaniu Opatrzność ułoży, to niezawodne.

Przed rokiem zespoliła nas godzinka wspólnej pogawędki. Dziś nie zachodzi potrzeba dalszych informacyj. Podajemy je

w „Misjach“, świadomi swego obowiązku zdawania sprawozdania otwartego przed tymi, co nas na bożą rolę wysłali, świadomi też prawa psychologicznego, co głosi, że przez poznanie do umiłowania prowadzi droga. Wiem, że kochani Księża rozczytują się w literaturze misyjnej, wiem również, że i los własnej misji w Shuntehfu nie jest wam obcym. Cóż więc powiem? A dodam tyle, że tu na miejscu naprawdę nie tak tragicznie się praca misjonarza przedstawia, jak się do tego przygotowało książkowo. przed wyjazdem. Była tu wojna, a czy tam na zachodzie zupełnie spokojnie? Są tu męczące podróże misyjne, a tam, czy nie za trudy mozolne otrzymuje kapłan w nagrodę chwile błogiego zadowolenia, poczucia wykonanego obowiązku? Otaczają nas tu poganie, często tak nieprzychylni dla krzewicieli wiary św., a tam kiedyż, jeżeli nie dziś było tak wielu wrogo usposobionych do Kościoła? — a jednak jest ilościowa różnica. Na naszym obszarze, mimo, że niejedno stulecie oglądało tu misjonarzy, są zakątki, gdzie o wierze nic nie słyszano, żadnego chrześcijanina nie widziano. Niektóre wsie przed laty nawrócone stopniowo zamierają dla kościoła dla braku misjonarzy i katechistów; wymierają starzy chrześcijanie, o nowe nawrócenia niema komu się starać. I gromadka wiernych złożona z 14.000 nawróconych Chińczyków, czuje się nieśmiało, niepewnie wśród wrogiej miljonowej masy naszego obwodu misyjnego. Toć jeszcze przed miesiącem zaledwie zdołano zażegnać przykry i bolesny konflikt w górach. Rabusie poganie wyrzucili chrześcijan z czterech wsi. Zrabowali ich mienie, broniąc przez dłuższy czas powrotu do ogniska domowego licznym rodzinom chrześcijańskim. Dziś udało się załagodzić te stosunki, ale zubożałe gminy chrześcijańskie nieprędko przywrócą dawny stan dobrobytu. Znamienną jest pomoc, jaką okazały wygnańcom sąsiednie wsie katolickie. Zorganizowały one kuchnie dożywiania dla uciekinierów, dały przytułek bezdomnym, a jak daleko posuwała się ofiarność, wykazują liczby: gmina ze stu osób utrzymywała przez parę miesięcy czterdziestu wygnanych.

Proście Opatrzność, Kochani Księża, o nowych pracowników na tę żółtą niwę. Konieczni są misjonarze i to już teraz, bo wypadki nie czekają, a raczej odsuwają Chiny od możliwości krze-

wienia wiary. Tylko wysiłek nadludzki i gorliwość apostolska pierwszych wieków może przynieść tu ratunek duszom ociemniałym od urodzenia. Idą nowi misjonarze do Chin ze wszystkich krain i od wszystkich narodów katolickich. Wierzymy, że i Polska nabiera już rozpędu w dziele apostolskim na tym terenie, gdzie zaledwie ½ procent ludności dostało się do sieci Chrystusowych.

Shuntehfu, dnia 12. I. 1932.

Do Centrali Stow. Dzieci Marji Prowincji Warszawskiej.

Drogie Dzieci Marji!

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech zawsze będzie z nami!

Jakżeśmy się ucieszyli z Waszego wspólnego listu i życzeń świątecznych, zwłaszcza, że to był pierwszy list z Polski po dłuższej przerwie komunikacji z Ojczyzną. Na północ od nas zachodzą poważniejsze zmiany polityczne, o których trafne sprawozdania podają dzienniki — nie potrzebuję przeto nad nimi się rozwodzić. Dość, że tak wyglądanej poczty z Kraju nie odbieraliśmy dwa tygodnie. Na nasze życie wspomniane zmiany nie wywierają tymczasem większego wpływu, chyba pod względem gospodarczym. Natomiast praca misyjna rozwija się obecnie bez większych przeszkód. Najbardziej nas cieszy wzrost ilości katechumenów. Nie starczy dla niej pomieszczenia, zgłaszają się starcy po lat siedemdziesiąt nie krępując się usiąść na ławie obok dziesięcioletniego sztubaka, coprawda na kilka dni tylko, aż się posegreguje nowoprzybyłych. W katechumenacie zawsze wre jak w ulu. Na wszystkie tony, na wszystkie możliwe melodje wyśpiewuje każdy katechizm. Dlaczego wyśpiewuje? Trzeba na chwilę przenieść się myślą do chederu starozakonnych, ażeby przedstawić sobie niemożliwy dla naszego ucha hałas i wrzask. Cóż jednak poczniemy? Czyśmy przybyli reformować zwyczaje? przekształcać pozory życia? Bynajmniej. O dusze nam idzie, to nie tylko walka. Pocóżbyśmy mieli przełamywać wschodnie zwyczaje i gusty na zachodnią miarkę. Tak im łatwiej zapamiętać, a nasze ucho tak się już wsłuchało w ten fa-

lujący śpiewny gwar, że w chwilach rekreacji lub spoczynku katechumenów brakuje nam raczej wiru ich głosów. Toć i w kościele w czasie Mszy św. wszystkie modlitwy płyną pod niebiosa w postaci śpiewnego recitatiwu, przyczem i modlitwy i katechizm i drogę krzyżową, i różaniec z rozważaniami, i wszystko się recytuje z pamięci, a przewodzi nieraz którekolwiek z małej dziatwy. Gwarno teraz i w rezydencji misyjnej. Przyjechali Księża Misjonarze z po-



Dzieci Marji w Shuntehfu, Chiny (1931).

łudnia i północy, by poprawić swe zdrowie w polskiej stacji misyjno-medycznej, przygarnęliśmy również słabowitego kleryka Chińczyka, któremu tylko dwa lata do kapłaństwa zostało, ale zdrowie nie pozwala na forsowne studja.

W szpitalu misyjnym rojno od chorych, a między nimi jeden katechista, przysłany do nas z odległości 300 klm., by go nauczyć pielęgnowania chorych na oczy. I niełatwo sprostać na sali chorych samej jednej Siostrze Marji Zagrodzkiej, gdy liczna gromada chorych z jej tylko ręki pomocy wygląda w cierpieniu. Daje sobie wszakże radę. Nietylko opatrzy chorych, opatrunki załatwi i lekarstwa porozdziela, ale rozpromieni smutnego, beznadziejnie chorego zmusi zapomnieć o swym losie — nic nie szkodzi, że zaledwie

parę zdań potrafi po chińsku powiedzieć; mimika i opiekuńcze spojrzenie wystarczą — nieraz wymowniej przemówi od słów.

A więc i Siostry Polki są już przy polskim misyjnym warsztacie w Shuntehfu. A czy są Dzieci Marji? Naturalnie. Proszę się tylko fotografji przyjrzeć, — że kilka Dziatek Marji przesyłają do Warszawy wyraz swej radości, że stanowią jedną Rodzinę Marji z dalekiemi swemi Siostrami od Cudownego Medalika. A kiedy więcej przyjedzie Sióstr z Polski, to i liczniejsze grono Dzieci Marji będzie w służbie Niepokalanej.

Na dziś starczy, bo już sen zagląda w oczy, a i tutaj panuje ten przykry zwyczaj tracenia czasu na sen w nocy. Załączam wyrazy serdecznej wdzięczności naszej misji za pamięć i opiekę naszych opiekunek, zrzeszonych przy Centrali Stow. Dzieci Marji Prowincji Warszawskiej. Bóg zapłać!

Sługa w Chrystusie

(—) *Ks. Wacław Szuniewicz* C. M.

X. W. SZYMBOR C. M.

Nasze Misje w Brazylji.

Rio do Peixe.

Jesteśmy w kolonji Rio do Peixe. Niełatwo tu się dostać. Cała okolica górzysta, mocno zalesiona, drogi złe, kamieniste, karkołomne, przestrzenie dalekie. Do Treze de Maio, najbliższej kolonji jest 36 km, a stąd do stacji Barro jeszcze 18 km. Toteż rzadko kto tu zagląda i kolonja ta jest mało znana.

Wdrapaliśmy się na górę. Stąd jednym rzutem oka opanować można całą miejscowość Rio do Peixe. Dwa pasma górskie ciągną się równolegle i opadają ku rzece, która również nazywa się Rio do Peixe (rzeka rybna), a jest dopływem rzeki Urugwaj. W kotlinie między pasmami górskiemi a rzeką widać kościół, parę domów drewnianych, tu szkołę, tam wendę, to cała miejscowość Rio do Peixe, to cele. Środkiem kotliny płynie potok Lageau do Torto.

Kolonja Rio do Paixe liczy 380 rodzin polskich. Kolonja jest tak wyłącznie polska, że wśród tych 380 kolonistów jest tylko jedna rodzina włoska. To rzadko się zdarza. Na 380 rodzin liczyć należy 2380 osób, a zatem spodziewałoby się większej miejscowości. Tymczasem tu naokoło kościoła tylko kilkadziesiąt domów. To zawsze tak na kolonjach. Każda kolonja podzielona jest na działki 250×1000 m., to znaczy, że każdy kolonista ma 25 hektarów i osiada w środku swojej kolonji. Wzdłuż drogi więc spotkać można tylko co 250 m. jakieś zabudowanie. A w miejscowości, o ile możliwe centralnej jest urzędnik, kościół, szkoła, apteka, doktór etc. Tu, w Rio do Peixe lekarza niema i apteki niema. Koloniści są zdrowi, nie mają czasu ani ochoty chorować. Kto zachoruje, musi prędko wyzdrowieć, bo jest dużo roboty, a sprowadzać lekarza z Treze do Maio albo z Erechim, to za drogo. Częściej niż lekarza sprowadza się zażegnywacza, znachora, których nie brak.

Ale niema i księdza. Mają jednak kolonje kościół. Skolonizowano tu ziemię 1912 r. Zrazu postawili kapliczkę. Od roku 1925 jest kościół duży drewniany. Cały spód kościoła jest z anzika (angico), górna część z pinjora. Nabożeństwa odprawia kolonista Sławiński w każdą niedzielę o godz. 10. Odprawia różaniec, czyta ewangelję i naukę niedzielną, czasem od siebie wygłosi kazanie z wielkiem namaszczeniem. Nabożeństwo trwa godzinę. Potem ma katechizm z dziećmi. Nauka katechizmu trwa w każdą niedzielę przez dwie godziny. Dzieci jest przeciętnie 90. Tak radzą sobie koloniści, gdzie księdza niema. Ciągle jednak wysyłają prośby do Biskupa o księdza.

Czasem dojeżdża tu ksiądz z Treze do Maio.

Za to jest szkoła i nauczyciel p. St. Kozłowski. Ma różne kłopoty z temi dziećmi kolonjalnemi. Dzieci 12-letnie są w tejsamej klasie, co dzieci 7-letnie, te, co 3 rok uczęszczają do szkoły obok tych, co przed tygodniem się zgłosiły. A tych jest więcej. A i ojcowie przyzwyczajeni do wyładowania wielkich energij w borykaniu się z puszczą, są skłonni do zarozumialstwa. Co chwila jakąś nową pretensję zgłaszają do nauczyciela. Ten mu przychodzi z wymówką, że dziecko już miesiąc posyła do szkoły, a to jeszcze pisać nie

umie. Inny znów dziwi się, poco to dziecko ma się uczyć czytania o Jadwidze i Jagielle. Jeden ojciec zrobił nauczycielowi awanturę, że dziecko jego ukarał, a za pół godziny przyszedł drugi, że za mało karze dziecko i t. d. Ale wogóle przyznać trzeba, że dbają o naukę. Jednak nigdy nie zrozumieją, że trzeba dziecko posyłać do szkoły ze 4 lata. Wielu odbiera dzieci ze szkoły po 3, po 4 miesiącach nauki. Chciałbym jednak oddać sprawiedliwość p. Kozłowskiemu, bo jest dobrym nauczycielem.

W obrębie kolonji jest jeszcze 5 innych szkółek polskich 1) w Lageado Book, 2) przy kaplicy św. Stanisława w Giral, 3) w Tres Barras, 4) w Lageado Andrea i 5) w Lageado Valeriano. Każda z nich liczy przeciętnie 30 dzieci, które chodzą do szkoły 2 lata albo rok, albo, i to często, 3—4 miesięcy. Skoro jednak szkółek jest 6, a w każdej 30 dzieci, to razem chodzi do szkoły 180 dzieci, co na 380 rodzin polskich jest zamało. W Guarany i St. Feliciano procent dzieci uczęszczających do szkół jest niemal 2 razy większy.

Władzę miejscową przedstawia kolonista Stodolny, jako comissario. W jednej osobie łączy administrację i policję. Jego stanowisko odpowiada mniejwięcej sołtysowi w Polsce. W obrębie dystryktu jest 13 lokalnych „comissario“, wszyscy Polacy, tylko 1 Włoch. Comissario dystryktowy jest p. Kazimierz Urban, rodem z Hrubieszowa. Poznaliśmy go już w Treze de Maio, bo tam mieszka. To już władza powiatowa. Polacy 1923 i 24 roku mieszali się do rewolucji. Dziś jeszcze wielu z fantazją nosi czerwone chusteczki na szyji. Pozostałości z czasów rewolucyjnych. Urban był pobity. Miał kilka ran. Schronił się do puszczy. Rewolucjoniści czyhali. Kilka tygodni przesiedział cicho w lesie z przetrąconą ręką, zranioną głową, o glodzie i chłodzie.

Straszliwe nudy w mateczniku skracał sobie rachując, ile mrówek zdoła od wschodu słońca aż do zachodu zmieścić w trzcinie przełamanej. Obecnie ma do dyspozycji swojej dużego policjanta z długą szablą na cywilnem ubraniu i z dużemi, brzęczącemi ostrogami na długich gauszowskich butach. To dla podniesienia powagi. Kiedy jednak zdarzy się jakaś awantura poważna, to comissaria ani policjanta zwykle niema w domu. Te nominacje Polaków

na urzędy w dystrykcie świadczą, że Polacy tu mają kompletną swobodę rozwoju.

Jak żyją i co robią nasi koloniści?

Życie ich jest twarde wśród ciężkiej pracy. Wszystko sam musi zrobić. Wypalił kawał lasu, dom sobie sam postawił. Tu uprawia przedewszystkiem kukurudzę, która jemu i bydłu potrzebna na pożywienie. Najlepszy kawałek ziemi zachowuje dla krowiny, dla koni. To pierwsze. Drugi kawałek lichszy, będzie uprawiał. Obok kukurudzy sieje pszenicę i czarną fasolkę, sadzi ziemniaki. Sadzi też kannę, trzcinę cukrową. Z niej robi gorzałkę. W Rio do Peixe jest cieplej niż w Erechim, niż w Trerę de Maio. Udają się cytryny, pomarańcze, figi, banany, amaixe, a nawet ananasy. Dembiński ma 100 drzewek pomarańczowych i dużo banánów. Stankiewicz ma ich jeszcze więcej. Płody ziemi sprzedają koloniści we wendzie. Wendziarz wywozi do miasta. Drzewo budulcowe każdy kolonista ma w swoim lesie. Tu jest odrębny drzewostan niż w innych kolonjach, nawet sąsiednich. Tu rosną gwazinwiry, anziki i kanele. Niema zaś pinjorów ani drzewek herwowych. Rzeka rybna (Rio do Peixe) słusznie tak się nazywa, bo ma dużo ryb i koloniści chwytają je na wędki lub do sieci. Są w rzece kaskudy o skorupie twardej jak jesiotr, trairy podobne do naszych szczupaków i durady ogromne. Czerwiński złapał durada ważącego 20 kg. Jednem jego dzwonem pożywiliśmy się wszyscy. Korzystają też koloniści z polowań. Fak (duży nóż) i rewolwer zawsze za pasem. Nieraz przy pracy, w drodze, w lesie, niespodzianie zwierz wyskoczy. I jest tu zwierzyny wcale wiele. Kapiwary są częste, bardzo częste. Wychodzą na pola kukurydzy i objadają ją. Jak je gonić, odrazu uciekają do wody. Tak samo częste są paki. I te objadają kukurydzę i w niebezpieczeństwie uciekają do rzeki. Ich mięso ma smak prosiaka. Nauczyciel Kozłowski często poluje. Samych dzikich kotów ubił już 9. Trzymają się tu i psy leśne (Caxaro do mato), są rapozy, irary (podobne do wydry) i lagardy (jaszczury).

Najwięcej jednak dochodu przynosi kolonistom hodowla nierogacizny. Hoduje się tu prawie wyłącznie czarne świnie i to na smalec Stan Rio Grande do Sul ma renomowany handel smalcem

i dlatego ta hodowla jest popłatną. Niejeden kolonista ma 100 i więcej sztuk stale.

Z poza rzeki przychodzą Indjanie odwiedzać naszych kolonistów. Ale są to Indjanie „mansowani“, oswojeni i nie stanowią żadnego niebezpieczeństwa. Odwiedziny ich tylko są o tyle nieznośne, że naprzykrzają się kolonistom żebraniną.



X. Dr. THEOL. STANISŁAW KALLA C. M.

Dwadzieścia pierwszych lat Domu chełmińskiego w świetle kroniki domowej (1676—1696)

6. Zabiegi koło podniesienia majątków fundacyjnych.

Niestrudzony był X. Fabri w pracy około ulepszenia gospodarstwa i przysporzenia tym sposobem nowych dochodów. Celem zabezpieczenia wioski Niedźwiedź przed zalewami Wisły buduje groblę kosztem 1.000 florenów[1]), w Dziemianach stawia nowe budynki gospodarcze, zaprowadza lepszy inwentarz[2]), podobnie w Fiszowie[3]). Zmusza mieszkańców Świecia, którzy w zamian za dwa funty pieprzu rocznie dzierżawili od X. biskupa grunta zwane Pieprzowe, sąsiadujące z misjonarskiemi, by przyczynili się do budowy wału ochronnego[4]).

7. Rozbudowanie seminarjum.

Mając 4.000 florenów czynszu dzierżawnego, wystawił X. Fabri przy pomocy X. Wizytatora Tarły i miasta, które pozwoliło na wypalenie 50.000 cegieł, między starem i nowem seminarjum dom, w którym między innemi były i gościnne pokoje dla X. Biskupa, pragnącego spędzać Wielki Tydzień w seminarjum[5]).

[1]) Tamże str. 16.
[2]) Tamże str. 16—17.
[3]) Tamże str. 17.
[4]) Tamże str. 18, 20.
[5]) Tamże str. 14—16.

8. Budowa Kaplicy Najświętszego Sakramentu.

Istniało od kilku lat w parafji bractwo ku czci Najśw. Sakramentu, którego członkowie zwykli byli towarzyszyć świecami i pochodniami kapłanowi do chorego. Celem podtrzymania tej szczególniejszej czci ku Najśw. Sakramentowi, myśleli misjonarze już od dawna o zbudowaniu osobnej kaplicy ku czci Najśw. Sakramentu. Kiedy więc Władysław Dobrski, chorąży Michałowski, przyrzekł 1.000 florenów na dom misjonarski, X. Fabri prosił go, by sumę tę przeznaczył raczej na budowę kaplicy Najśw. Sakramentu. Parafjanie przyjęli myśl o budowie takiej kaplicy, o czem często była mowa na ambonie, z zapałem. Ona też skłoniła wspomnianego już burmistrza Andrzeja Szmaka do zapisania w testamencie na rzecz tej kaplicy 1.000 złotych[1]).

Zabrano się natychmiast do pracy, a parafjanie, tak mężczyźni jak i niewiasty, z miasta i wiosek, pomagali z takiem poświęceniem, że kaplica stanęła niebawem pod dachem. Ołtarz fundował X. biskup Opaliński[2]). Pod kaplicą zbudowali misjonarze grobowiec dla siebie[3]). W grobowcu tym spoczął pierwszy X. Biskup Kazimierz Szczuka, biskup chełmiński, od r. 1693—1694. Chętnie przebywał w seminarjum uczestnicząc w życiu wspólnem, tam też zmarł w uroczystość Nawrócenia św. Pawła i w misjonarskiem został pochowany grobowcu, nazwany przez X. Fabriego ojcem Zgromadzenia. Jest on także fundatorem Domu Chełmińskiego SS. Miłosierdzia w r. 1694.

W tym czasie zmarł także X. Bojanowski, kapłan młody, prokurator domu, zaziębiwszy się w konfesjonale, i brat Jan. Jednemu i drugiemu wystawia X. Fabri piękne świadectwo jako wzorowym misjonarzom. Obaj pochowani zostali „sub ambona"[4]).

---

[1]) Tenże zapisał w testamencie 1.200 florenów na fundację domu SS. Miłosierdzia w Chełmnie.

[2]) Diarium str. 32—35, 44—45.

[3]) Tamże str. 45.

[4]) Tamże str. 36.

Rownież X. Fabri, powróciwszy z podróży do Piotrkowa, dokąd był jeździł w sprawie zwrotu zabranej nieprawnie kościołowi wioski Pytlewo, poważnie zaniemógł i tylko gorącym i nieustannym modlitwom tak parafjan obojga płci jak i konfratrów zawdzięczał zdrowie[1]).

9. Nieporozumienia z parafjanami.

Gorliwa, pełna poświęcenia praca misjonarzy nie u wszystkich parafjan znalazła uznanie. Staranie około podniesienia gospodarstwa, pilne dochodzenie praw swoich ze strony misjonarzy nie wszystkim było na rękę [2]), wiele też nieporozumień wywołała zazdrość ludzka. Przy plebanji wynajętej, jak wyżej wspomniano, kilku staruszkom, założyli misjonarze gospodarstwo dość pokaźne, gdyż samych krów holenderskich było 10 sztuk [3]). Gospodarstwo było dla niektórych solą w oku. Kiedy X. Fabri bawil w Paryżu na konwencie generalnym, wpadło na to gospodarstwo kilku obywateli, pytając, rzekomo w imieniu magistratu i miasta o różne szczegóły np. ile krów na gospodarstwie itd. Wystąpił przeciw nim X. asystent nieco przyostrzej „paulo in illos acrius invectus est et verbis illos durioribus affecit“ [4]) i zaniósł skargę do biskupa[5]). I na rozprawie X. asystent zbyt krewko się zachowywał, „nimis audacter et absque respectu respondebat“. Sędzia nakazal przeprosić misjonarzy, ale i X. asystentowi „caritatem et respectum commendavit“, ostateczne zaś rozstrzygnięcie sprawy odłożył na przyjazd X. superjora. Spory i nieporozumienia nie ustawały, a podnietę do nich dawał burmistrz miasta (praesident), Paweł Koliński, wyniesiony na to stanowisko przy pomocy X. Fabriego. Chciał on sobie nawet przywła-

---

[1]) Tamże str. 36.

[2]) Tamże str. 23, 29—31.

[3]) Zamże str. 10—11.

[4]) Tamże str. 41.

[5]) X. biskup miał w mieście prawo miecza. Por. Encyklopedja kościelna str. 231, t. III, r. 1874.

szczyć jurysdykcję nad szkołą, aresztować kazał bezprawnie ucznia i dopiero sąd rozstrzygnął sprawę na korzyść X. superjora, przełożonego szkoły[1]).

Spory te i zatargi z parafjanami sprawiły, że niektórzy z misjonarzy byli przeciwni unji parafji z seminarjum, przeciwni pracy parafjalnej wogóle. Nadto odpowiada X. Fabri, że co do sporów, to wiele winy było ze strony misjonarzy, zbyt szorstko odnoszących się do parafjan. Na zarzut, że praca parafjalna przeszkadza pracy misyjnej, wykazuje, że i bez parafji nie byliby napewno więcej misyj odprawili i że praca parafjalna jest doskonałem przygotowaniem do pracy misyjnej. Byłoby nieroztropnem, powiada X. Fabri, rzucać parafję, w którą się tyle pracy włożyło, a przytem ileżby to przyniosło straty materjalnej. Jeżeliby zaś zadecydować miał zarzut, że parafjalna praca przynosi upadek ducha powołania, to należałoby zdaniem X. Fabriego zwinąć przedewszystkiem parafję przy św. Krzyżu w Warszawie, gdzie ze względu na stolicę niebezpieczeństwo daleko większe[2]).

W październiku 1695 r. odwołał O. Generał Edmund Jolly X. Fabri'ego z Chełmna, przeznaczając go na przełożonego do Krakowa na Stradom. Następcą X. Fabri'ego został X. Jakób Cyboni[3]), Polak, dyrektor „seminarii interni" i wieloletni profesor dogmatyki specjalnej w Warszawie. Instytuował go X. Tomasz Prątnicki, prepozyt katedry chełmińskiej, w obecności X. Bartłomieja Tarły, odprawiającego podówczas wizytację domu chełmińskiego[4]).

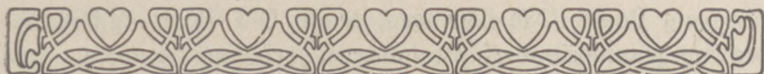
---

[1]) Diarium, str. 41—44.

[2]) Tamże, str. 47—50.

[3]) X. Pius Pawellek, Działalność XX. Misjonarzy Domu Wileńskiego.

[4]) Tamże str 51.



Misja w Old Forge, P. A., w parafji św. Michała Archanioła

(od 20 września do 4 października 1931 r.).

Po ukończeniu zbożnej pracy w Forest City, Pa, zostaliśmy w zagłębiu węglowem na dwudniowy odpoczynek, przed następną, dwutygodniową misją w Old Forge. X. Józef znalazł gościnne przyjęcie w Duryea, u X. P. Niebrzydowskiego, ja natomiast u X. J. Budy, w Swoyerville. Dwa dni przeszły niespostrzeżenie i w sobotę wieczorem 19 września b. r., stanęliśmy na nowym posterunku w Old Forge.

X. Proboszcz St. Wolf z wrodzoną sobie gościnnością i serdecznością, przyjął nas z otwartemi rękami. Dla objaśnienia dodam, że X. proboszcza poznałem dwa lata temu i zawdzięczam mu bardzo wiele. Bezpośrednio bowiem po mojem przybyciu do St. Zjednoczonych, pierwszą pracę misyjną wyznaczono mi w Oliphant, Pa, gdzie podówczas X. St. Wolf prowadził parafję. Codziennie, w czasie wolnym pomiędzy obawiązkami misyjnemi, zabierał mnie na przejażdżki samochodowe, w rozmaite strony, odległe nieraz do 50 mil od Oliphant. Z całą uprzejmością pokazywał miasta i miasteczka amerykańskie, objaśniał tutejsze stosunki, podnosił na duchu, powiadając z uśmiechem, że wszystko będzie dobrze. Na plebanji, razem ze swą przezacną matką, która prowadzi gospodarstwo domowe, nastrojem serdecznym, szczeropolskim, starali się zastąpić mi już nietylko dom rodzinny,

ale całą Polskę. Nic dziwnego, że do Old Forge, gdzie niedawno przeniesiono X. Proboszcza, jechałem na misję z całą przyjemnością.

Miasto Old Forge, liczące dzisiaj 12.661 mieszkańców, wzięło nazwę od starej kuźni, którą zbudowali w tej miejscowości Willian Smith i James Sutton w 1789 r. Leży w północno-wschodniej części Pensylvanji, przy głównej drodze Scranton — Wilkes Barre, w centrum Zagłębia węglowego. Rozbudowane na wzór innych miast, przedstawiałoby się zupełnie sympatycznie, gdyby jeszcze drogi uporządkowano. Środkowa ulica jest cementowa i nie można jej ostatecznie nic zarzucić. Natomiast boczne drogi, które dotychczas nie widziały kamieni ani cementu, znajdują się w opłakanym stanie. Tyle wybojów na każdej, że chcąc ominąć jeden, bez przesady, wpada się w trzy inne. Nagie, czarne i olbrzymie usypiska łupku, świadczą najwymowniej o górnictwie, głównem zajęciu tutejszych mieszkańców. Pierwszy wyłom twardego węgla w Old Forge, powstał przeszło 80 lat temu. Szeregi górników składały się wówczas przeważnie z Anglosasów. Ze wzrostem emigracji, miejsce ich zajmowali Włosi, którzy pierwsi rozpoczęli osiedlać się tutaj na stałe. Nawet obecnie narodowość włoska w tem mieście, jest najsilniejsza liczebnie. Za przykładem Włochów, napłynęli z czasem do Old Forge Polacy. Ludzie starzy, pochyleni wiekiem opowiadają, że przed 40-tu laty Polacy żyli tutaj bez żadnej opieki, bez dachu nad głową. Nie mogąc otrzymać zajęcia w miastach fabrycznych, przyzwyczajali się powoli do ciężkiej pracy w kopalni węgla. Oswoiwszy się z górnictwem, osiadali z czasem na stałe. Żonaci sprowadzali rodziny z kraju, kawalerzy żenili się już na miejscu i w ten sposób z życia samotnego, koczowniczego, stworzyli życie stałe, rodzinne. W miarę wzrastania rodzin rodzin polskich, życie naszych rodaków stawało się weselsze i więcej towarzyskie.

Kiedy w 1905 roku liczba polskich rodzin przekroczyła setkę, założono własną parafję. Borykając się z licznemi trudnościami, ofiarni parafjanie pod przewodnictwem zacnych

i świątłych kapłanów, doprowadzili dzieło Boże do pomyślnego wyniku. W roku 1908 pobudowano bardzo miły kościół drewniany pod wezw. św. Michała Archanioła. Nie wielki on wprawdzie, lecz nadzwyczaj symetrycznie rozłożony, zwłaszcza w wyglądzie zewnętrznym. Wewnątrz niema naw, lecz obok wielkiego ołtarza są jeszcze dwa boczne. Każdego zwiedzającego uderzają stacje Męki Pańskiej, malowane na ścianach kościoła, z przyczepionemi krzyżykami odpustowemi. Ponadto na łuku sufitowym oddzielającym prezbiterjum, widnieje osobliwy i wzruszający napis: „Tobie Panie. pobożny a tułaczy Naród Polski“. W pobliżu kościoła jest plebanja obszerna i widna, nadto murowana szkoła, którą wzniesiono w 1924 r., kosztem 43.000 dolarów i dom Sióstr nauczycielek. Pan Bóg błogosławi widocznie wzniosłemu dziełu. Dzisiaj parafja dobrze zagospodarowana, liczy przeszło 300 rodzin. W szkole około 250 dzieci, pod kierownictwem SS. Bernardynek, pobiera naukę w duchu religijnym i narodowym.

Obecny, powszechny zastój gospodarczy, tutejszej Polonji może najgorzej daje się we znaki. Wszystkie kopalnie, najgłówniejsze źródła zarobkowania, nieczynne już od kilku miesięcy. Brak jakiegokolwiek stałego zajęcia, zapowiada coraz wyraźniej zbliżającą się nędzę. Ludzie nie mają pieniędzy na opędzenie najpotrzebniejszych wydatków. Wiele dzieci nie uczęszcza do żadnej szkoły z tej prostej przyczyny, że rodzice nie są w stanie sprawić im odpowiedniego ubrania. W sąsiedniem mieście Taylor, gdzie zamieszkuje 80 rodzin polskich, należących do parafji w Old Forge, bieda grasuje już w całej pełni. Ludzi pozbawionych zupełnie pracy, wspomagają zorganizowane komitety ratunkowe. Uderzyło mnie, że jednak mimo wszystko nie słychać zbytniego użalania na ciężkie czasy. Wytłumaczono mi, że obecne krytyczne położenie nie jest nowością dla tutejszych ludzi. Zawsze bowiem w tej miejscowości, warunki pracy były znacznie gorsze od innych miast, nawet w czasach najlepszych. Stąd mieszkańcy Old Forge zżyli się niejako z ciągłą biedą i przyjmują ją z obojętnem usposobieniem.

Misję św. rozpoczęliśmy w niedzielę na sumie. Rzesza wiernych wypełniła kościól i po Mszy św. w pobożnem skupieniu wysłuchała pierwszego kazania. Druga nauka popołudniowa, połączona z nieszporami, ściągnęła również tłumy słuchaczy. Według zapowiedzianego podziału, w pierwszym tygodniu głosiliśmy kazania misyjne dla niewiast i panien, po ukończonem nabożeństwie wieczornem. Drugi tydzień, przeznaczyliśmy w ten sam sposób dla mężczyzn i młodzieńców. Codziennie rąno o godz. 9, odprawialiśmy sumę z kazaniem dla wszystkich wolnych od pracy. Dziatwa szkolna, gromadziła się w kościele na nauki misyjne, w każdy dzień o godzinie 4 popołudniu, przez całe dwa tygodnie. Spowiedź św. zapowiedzieliśmy o 7 rano, począwszy od wtorku, oraz wieczorami po nabożeństwie, które zwyczajnie kończyło się o 9. Aby uprzystępnić pracującym przyjęcie Komunji św., pierwszą Mszę św., począwszy od środy, mieliśmy o godzinie 4·30, w obydwu serjach misyjnych.

W niedzielę wieczór, cały kościół zapełnił się niewiastami i dziewczętami. Nawet krzesła zapasowe trzeba było porozkładać, z powodu przepełnienia .w ławkach. To tłumne uczęszczanie kobiet wzrastało jeszcze z każdym dniem. Przed nabożeństwem, śpiewaliśmy pieśni religijne i zwracaliśmy rozmaite uwagi misyjne. Po błogosławieństwie rozpoczynało się kazanie, którego słuchano z głębokiem zaciekawieniem. Po odmówieniu wspólnych modlitw wieczornych i odśpiewaniu pieśni „Wszystkie nasze dzienne sprawy“, następowała spowiedź. Zostawały przeważnie niewiasty i dziewczęta pracujące, które przystępowały do Komunji św. w następny dzień o godz. 4·30 rano. Nierzadkie zachodziły wypadki, że osoby zamieszkałe w odległych miejscowościach, wychodziły z domów o 3 po północy, by zdążyć na Mszę św. i przystąpić do Stołu Pańskiego. Szły piechotą, ponieważ o tak wczesnej porze nie miały pod ręką żadnego środka komunikacyjnego. Po wysłuchaniu Mszy św. i posileniu duszy chlebem Anielskim, spożywały przyniesione z sobą śniadanie, następie spieszyły wprost do pracy fabrycznej. Podobne dowody żywej wiary.

zauważyliśmy również i w drugim tygodniu, podczas misji męskiej.

W piątek wieczorem, wygłosiliśmy kazania stanowe. W tym dniu zgromadziło się na misje tyle niewiast i panien, że kościół dosyć stosunkowo obszerny, okazał się stanowczo za mały. W następny dzień zakończyliśmy misję żeńską, udzieleniem odpustu zupełnego i błogosławieństwa papieskiego.

W niedzielę kończącą pierwszy tydzień przypadło w tutejszej parafji nabożeństwo 40-godzinne, które rozpoczęło się na Mszy św. o godz. 8-mej. Ćwiczenia duchowne uzgodniliśmy w ten sposób, że i adorację odprawiali wszyscy wierni i misja męska ciągnęła się zwyczajnym trybem.

Popołudniu o godz. 3·30 odbyło się błogosławieństwo niemowląt. Długo przed czasem, nadciągały do kościoła gromady matek z dziećmi. Można było zauważyć i mężczyzn, którzy prowadzili młode pokolenia na to specjalne nabożeństwo. Jest to fakt uderzający, bo zazwyczaj ojcowie wstydzą się tego rodzaju zajęcia. W czasie błogosławieństwa, przygrywał organ i dzieci także. Całą uroczystość niemowlęcą, zakończyliśmy przyjęciem do Cudownego Medalika.

Wieczorem o godz. 7·15 początek misji dla mężczyzn i młodzieńców. Ze względu na adorację Najśw. Sakramentu, w nabożeństwie mogły brać udział i niewiasty, jednak bez uszczerbku dla mężczyzn. To miały wyraźnie zastrzeżone, z powodu misji męskiej, która rozpoczynała się po nabożeństwie. We wtorek, wypadało zakończenie 40-godzinnej adoracji. Przed nabożeństwem, jeden z nas wygłosił kazanie okolicznościowe, do tłumu wiernych. Następnie z licznie przybyłymi księżmi z sąsiednich parafij, odśpiewaliśmy litanję do Wszystkich Świętych, poczem odbyła się procesja. Po zakończeniu czterdziestki, niewiasty poszły do domu, a mężczyźni wysłuchali jeszcze kazania misyjnego. Trzeba przyznać, że i mężczyźni przejęli się misją, nie gorzej od kobiet. Na wieczorne kazania uczęszczali tłumnie i gorliwie garnęli się do spowiedzi św. Kazań i rozmaitych uwag słuchali z widocznem przejęciem. Jedno nam się tylko mniej powiodło, mianowicie

wspólny śpiew. Przez pierwsze trzy wieczory nie śpiewaliśmy wcale, z powodu 40-godzinnego nabożeństwa. Następne cztery, zużyliśmy w całości na jakie takie uzgodnienie zardzewiałych wiązadeł głosowych. Na „wycieniowanie artystyczne" zabrakło oczywiście czasu. Starsi ojcowie nie gniewali się zbytnio, że czterdziestka weszła w drogę, gdyż do śpiewu nie okazywali nadzwyczajnego zapału. Myśleli sobie w duchu: „Co się ta będę wydzierał po próżnicy na stare lata".

W piątek mieliśmy kazania stanowe. Tak mężczyzn jak i młodzieńców zebrała się spora liczba, by wysłuchać podstawowych kazań misyjnych. W sobotę ukończyliśmy misję, odpustem zupełnym i błogosławieństwem papieskiem.

Trzecią niedzielę w okresie misji, poświęciliśmy na wspólne zakończenie. W tym dniu mieliśmy dwie piękne uroczystości. Do południa, na sumie, uroczyste ofiarowanie całej parafji opiece Matki Najświętszej, wieczorem o zwykłej porze, poświęcenie i adoracja krzyża misyjnego. Wzruszający był moment, kiedy po uroczystej Mszy św. z procesją, „pobożny, a tułaczy naród polski" w rozmodlonem skupieniu, oddawał się w opiekę Królowej Korony Polskiej. Głębokie rozrzewnienie, wyciskało łzy z oczu klęczącej rzeszy. Na zakończenie podniosłego nabożeństwa, odśpiewaliśmy wspólnie hymn „Boże coś Polskę". Myśli biednych wygnańców przeniosły się do niezapomnianych ojczystych wiosek, pól i lasów. Dusze utęsknione długą rozłąką, wznosiły serdeczne modły do Pana, o newy, potężny rozwój ukochanej, zmartwychwstałej Ojczyzny.

Drugą podniosłą chwilą, było końcowe nabożeństwo wieczorne. Tłumy wiernych zaległy świątynię, by wysłuchać ostatniego kazania i ucałować krzyż Jezusowy, cenną pamiątkę misyjną. Nazajutrz 5 października odprawiliśmy uroczystą Mszę św. żałobną za wszystkich zmarłych parafjan.

W ten sposób zakończyliśmy dwutygodniową misję w paraf,i św. Michała Archanioła. Ogólnie mówiąc, cała ta praca upłynęła w nastroju bardzo miłym. Przedewszystkiem, gorliwy udział w misji całej parafji, radował nas niezmiernie i dodawał otuchy w słabnących siłach. Dzień w dzień rano

i wieczorem, na głos dzwonu, spieszyły do kościoła gromady wiernych, by zaczęte dzieło uświęcenia i umocnienia duszy, doprowadzić do jaknajlepszego wyniku. To też po ostatniem nabożeństwie ludzie odchodzili do domów z widocznym smutkiem, że tak prędko minęły te piękne i błogosławione dni. X. proboszcz w czasie naszego pobytu na plebanji, starał się zawsze, by nam uprzyjemnić czas wolny od obowiązków. Obwoził nas samochodem po okolicznych miastach i miasteczkach, górach i dolinach uroczego zagłębia węglowego. Nadto, codziennie przyjeżdżało po kilku sąsiednich księży, na przyjacielską pogawędkę i z pomocą w słuchaniu spowiedzi. Trzeba bowiem zauważyć, że X. proboszcz Wolf, kapłan bardzo miły i gościnny, cieszy się sympatją i poważaniem wśród tutejszych księży polskich.

Dwa tygodnie misyj przeszły jak jedna chwila. Z błogiem uczuciem, że Pan Bóg dobrotliwy błogosławił naszej pracy, powróciliśmy do Whitestone, N. Y., na kilkudniowy odpoczynek.

X. Fr. Wójciak, C. M.

Misje
w Inowłodzu, Poznaniu, Grabiu, Lubiniu, rekolekcje w Chełmnie.

Inowłódz, 15—18 września 1931 r.

Jechałem do parafji Inowłodzkiej z wielkiem zaciekawieniem, wiedząc, że w jej obrębie znajduje się Spała, letnia rezydencja Prezydenta Państwa. Jest to jedną z przyjemnych stron pracy misyjnej, że umożliwia poznanie naoczne kraju i ludzi, miejscowości i zabytków historyczno - artystycznych. O Spale już tyle razy słyszałem i czytałem, teraz miałem ją na własne oczy oglądać.

Na dworcu w Tomaszowie Rawskim, czekał na nas powóz, dany nam do dyspozycji przez Zarząd pałacowy. Szybko przejechaliśmy miasto o silnie rozwiniętym przemyśle, nieregularnie zabudowane, z wielkiemi kamienicami w sąsiedztwie pustych pól lub małych, drewnianych domków, kierując się ku czerniejącym na widnokręgu wspaniałym lasom Spalskim. Przepięknie utrzymane. Nie mogłem wyjść z podziwu, patrząc na niebotyczne, smukłe sosny, na które zachodzące słońce kładło swe złociste blaski. Niebawem wjechaliśmy w obszar, otoczony wysokim płotem drucianym, przytykający bezpośrednio do rezydencji. Minęliśmy skromnie na zewnątrz przedstawiający się pałac, śliczny drewniany kościółek, w którym często Pan Prezydent wraz z okolicznym ludem słucha Mszy św., różne zabudowania pałacowe, odrzynające się jaskrawo czerwienią swoją od zieleni otaczających lasów. Do 1880 roku wznosił się na tem miejscu młyn młynarza Spały, od którego miejscowość wzięła nazwę. Na życzenie cara Aleksandra III, zbudowano tu istniejący po dziś dzień pałacyk. Często tu przyjeżdżał jak i jego następca Mikołaj II. na polowanie. Po wojnie przeszła Spała z okolicznymi lasami na własność Państwa Polskiego. Obecny Prezydent chętnie przebywa w tem malowniczem, zacisznem ustroniu. I teraz spotkaliśmy go na krańcu lasów, wracającego z polowania.

Zmierzch zalegał ziemię, kiedyśmy wjeżdżali w ulice Inowłodzu. Zaraz na początku zwraca uwagę położony wysoko nad miastem, murowany kościółek. Jest to jedna z najstarszych budowli w Polsce, kościół św. Idziego, fundowany przez Władysława Hermana. Miał przy niem istnieć klasztor Benedyktynek, wymordowanych lub rozprószonych podczas najazdu Tatarów w r. 1241. Kościół, jeden z nielicznych na ziemiach polskich zabytków romań-

skich, ocalał dzięki grubym murom, z klasztoru zostały tylko resztki piwnic i ślady studni. Sam Inowłódz należy do najstarszych grodów polskich. Położony nad spławną Pilicą, na ważnej ongiś drodze handlowej z Zachodu na Wschód, często wzmiankowany jest w najstarszych dokumentach. Z biegiem czasu podupadł, dziś jest małą, zażydzoną osadą, i tylko ruiny zamku świadczą o dawnej świetnej przeszłości. Ciężkie chwile przeszedł podczas wojny światowej. W r. 1914 od 23 grudnia począwszy, stoczono tu szereg krwawych bitew, po których z miasteczka pozostały zgliszcza i ruiny. Nazwa Inowłodzu ma pochodzić stąd, że grunta tutejsze, górzyste, zawierają dużo drobnych kamieni, więc trzeba je „ino“ czyli ciągle „włóc“, bronować.

Proboszczem Inowłodzu jest ks. St. Kowalski, do niedawna czynny przy kościele św. Aleksandra w Warszawie, znany mi jeszcze z r. 1920, kiedy to był wikarjuszem przy kolegiacie Łowickiej, a ja zastępowałem w Łowiczu kapelana szpitala św. Tadeusza. Doskonale przygotował lud na misję, to też na nabożeństwo wstępne, mimo niepogody, zgromadziła się cała parafja prawie że w komplecie. Nastrój misyjny psuły nieco odbywające się w najbliższej okolicy wielkie ćwiczenia wojskowe. Ludzie musieli pilnować swych zagród, innym przeszkadzała zbył wielka ciekawość. Mimo to miała misja przebieg bardzo ładny. Dopisały niewiasty, a te podniesione na duchu, pełne gorliwości apostolskiej dopilnowały, by i mężczyźni nie zawiedli. Pięknie wypadła zwłaszcza uroczystość oddania parafji pod opiekę Matki Najśw. Odbyła się przed Cudownym Obrazem Matki Boskiej Bolesnej, bardzo czczonym i kochanym przez parafjan. Opowiedziałem im, że 140 lat temu w r. 1790, także Misjonarze św. Wincentego a Paulo z Warszawy, odprawiali tu misję św. i że wówczas przenieśli Cudowny Obraz z kapliczki leśnej do kościółka św. Idziego, skąd trzy lata później, kiedy Prusacy zająwszy kraj, zamienili kościółek na magazyn wojskowy, pobożni parafjanie z ks. proboszczem na czele, nocą, zabrali go do kościoła parafjalnego[1]). Czuło się, że z dniem każdym rośnie entuzjazm i zapał w sercach. Na końcowe uroczystości znów stanęła parafja cała jak jeden mąż, mimo rzęsistego deszczu. Wskutek niepogody odpaść musiała rzewna procesja przy poświęceniu krzyża misyj-

[1]) Por. Ks. Leon Łomiński. Inowłódz i Spała. Szkic historyczny. Lublin 1925, str. 73.

nego, którego dokonano pod parasolem. Żegnani serdecznie przez ks. Proboszcza i parafjan, wróciliśmy tą samą drogą, autem Zarządu pałacowego do Tomaszowa, a stąd ks. Błachuta podążył do Krakowa, by po krótkim wypoczynku wyjechać z ks. Swałtkiem na misje w Lubelskie, ja zaś na Pomorze do Chełmna z rekolekcjami do Sióstr (13—23 września) i do Stowarzyszenia Mężczyzn Katolickich (od 22—27 września).

Chełmno, (22—27 września).

Miasto to powinno być szczególniej drogie każdemu misjonarzowi. Wszakżeż tu powstał, nie licząc szkółki, drugi Dom Zgromadzenia, tu przez półtora wieku pracowali Misjonarze gorliwie przy seminarjum i parafji, tu w podziemiach kościoła parafjalnego, spoczywają śmiertelne szczątki tylu synów duchownych św. Wincentego a Paulo, czekając dnia chwalebnego zmartwychwstania. Sprawiało mi to szczególniejsze zadowolenie, że miałem głosić Słowo Boże z miejsca, z którego ono rozbrzmiewało z ust tylu wybitnych misjonarzy-poprzedników. Rekolekcje, urządzone staraniem ks. proboszcza Bączkowskiego, miały się łączyć z uroczystością poświęcenia sztandaru Stowarzyszenia Mężczyzn Katolickich i obchodem 1500-lecia Soboru Efezkiego, miały stać się źródłem nowej energji dla Akcji Katolickiej, rozbudzić i pogłębić świadomość i zrozumienie obowiązków katolickiego mężczyzny, wzniecić w sercach tak bardzo potrzebne męstwo chrześcijańskie, któreby się objawiało w odwadze przekonań katolickich, w śmiałem stawaniu w ich obronie, choćby to i ofiar wymagało.

Rekolekcje przeznaczone były właściwie dla wszystkich mężczyzn, że jednak odbywały się pod firmą Stowarzyszenia Mężczyzn Katolickich, do którego większość mężczyzn parafji jeszcze nie należy, więc wielu z nich w mniemaniu, że są tylko dla członków Stowarzyszenia, od udziału się powstrzymało około tysiąca, bardzo wielu z inteligencji przystąpiło do Sakramentów św. Pięknie wypadła akademja urządzona z okazji poświęcenia sztandaru związkowego. Była ona zarazem hołdem dla wielkiego papieża Leona XIII. Słusznie mógł powiedzieć ks. Proboszcz w swem porywającem przemówieniu, że duma wzbiera w jego sercu na widok tych licznych, karnych szeregów, gotowych na każde jego zawołanie stanąć do obrony ideałów katolickich.

Nie mniej podniośle wypadł obchód 1500-lecia Soboru Efezkiego przy t. zw. Bramce, jednej z dawnych bram miejskich, na której wizerunek Matki Boskiej Bolcsnej, bardzo przez wszystkich czczony, zdala wita każdego wkraczającego w ulice starego miasta. Odbyła się pod wieczór, przy blaskach pochodni, żywcem przypominając tę chwilę Soboru, kiedy to rozentuzjazmowany lud w tryumfie przy pochodniach odprowadzał obrońców prawowiernej nauki do domów.

Poznań, (5—25 listopada).

Za przykładem Wiednia i Kolonji postanowił i Poznań zorganizować wielką misję ogólno-miastową. Zmobilizowano w tym celu misjonarzy ludowych najrozmaitszych Zakonów i Zgromadzeń i wypracowano bardzo szczegółowy plan pracy. Ten zbyt szczegółowy plan był słabą stroną organizacji. Każdą misję trzeba traktować indywidualnie, dostosowując się do najrozmaitszych okoliczności.

Na wspólne mieszkanie przeznaczono nam Seminarjum Duchowne, wysyłając kleryków na nadzwyczajne wakacje. Ciekawy to był widok w obszernym refektarzu seminaryjnym, kiedy do stołu zasiadali przedstawiciele prawie wszystkich Zakonów i Zgromadzeń w Polsce, weterani, którzy ilość misyj przez siebie odprawionych na setki liczyć mogli, obok młodziutkich pracowników, którzy co dopiero się pługów imali na roli Bożej. Wnet przełamano początkową nieśmiałość i sztywność, nawiązując bardzo serdeczne wzajemne stosunki. Pomieszczenie było bardzo dobre, każdy miał swój skromny lecz schludny pokoik, nikt drugiemu nie przeszkadzał w nocy chrapaniem ani gadaniem przez sen. Przykrą była tylko sprawa dojazdu na teren pracy, choć i tu starano się zaradzić złemu jak najlepiej, dając do dyspozycji automobile.

Nam przeznaczono dwie parafje, Główno i Górczyn. Pierwszą wzięli XX. Graczyk i Matelski, mnie i X. Błachucie przypadł w udziale Górczyn.

Dziesięciotysięczna prawie parafja Górczyńska powstała dopiero przed kilku laty, wydzielona z parafji na Łazarzu. Na tydzień przed misją poświęcono prowizoryczny kościół, mogący pomieścić jakie dwa tysiące osób. Później ma być zamieniony na salę parafjalną. Przed zbudowaniem kościoła odbywały się nabożeństwa w obszernej kaplicy SS. Miłosierdzia przy ul. Sielskiej.

Praca była tu bardzo miła dzięki zacnemu, całem sercem nam oddanemu organizatorowi i pierwszemu proboszczowi parafji, X. Władysławowi Skórnickiemu. Zaczęła się od misyj dla dziatwy szkół ludowych. Był to jedyny w swym rodzaju widok, kiedy przez kilka dni z rzędu rano i po południu, ze wszystkich stron spieszyły tysiączne zastępy dzieci do świątyń, do stóp swego Boskiego Przyjaciela i na niejedno zakamieniałe w obojętności dla spraw Bożych serce przez modlitwy tych niewinnych serc dziecięcych spadła obfita rosa łaski Bożej.

Po dziatwie przyszła kolej na niewiasty (8—14 listopada). Dla panien zaczynało się ranne nabożeństwo o godz. 5½, tak, by na czas zdążyć mogły do swych zajęć, o ile zatrudnione były pracą zarobkową, wieczorem zaś o godz. 8. Dla żon i matek ranne o 8½, popołudniowe o godz. 5-tej. Te ostatnie są tu wspaniale zorganizowane przez niestrudzonego X. Proboszcza. Prawie wszystkie należą do Żywego Różańca i nie ograniczają się tylko do odmawiania przepisanych modlitw, lecz biorą jak najżywszy udział w życiu kościelno-parafjalnem, przychodzą chętnie na urządzane dla nich z najrozmaitszych dziedzin odczyty, by coraz lepiej poznać swe ważne i święte obowiązki. Przez nie trzyma X. Proboszcz ciągle jakby rękę na pulsie życia parafjalnego, mogąc na czas odwrócić grożące niebezpieczeństwo.

Niewiastom, uczęszczającym bardzo pilnie na misję, nie dali się zawstydzić mężczyźni i w gorliwości wcale im nie ustępowali. Nabożeństwa zaczynały się dla nich rano już o godzinie 5½, wieczorem o godz. 8, i to dla ojców i mężów od 14 do 20, dla młodzieńców od 20 do 25 listopada.

Jednem słowem, wielka misja Poznańska udała się w całej pełni, jak nas zapewniał stojący na czele komitetu organizacyjnego proboszcz parafji Jeżyckiej, X. Budaszewski, przeszła najśmielsze oczekiwania. Podczas gdy w Kolonji i Wiedniu uczestniczyło tylko 60% parafjan, to w Poznaniu ponad dziewięćdziesiąt.

Grabie, (29 listopada do 3 grudnia 1931 r.).

Po misji w Poznaniu, tej kolebki Państwa i Kościoła, gdzie na Ostrowie Tumskim, w katedrze, w złotej kaplicy, u grobu Założycieli i Budowniczych Polski, Mieczysława i Bolesława, przeżywa się tyle podniosłych i wzruszających wspomnień historycznych,

wypadło nam pracować w Grabiu, małej wiosce, niedaleko Wieliczki położonej. Przeznaczony duszpasterz tej parafji, X. Rażny, chciał swe trzydziestoletnie rządy duszpasterskie uwieńczyć misją św. Wśród śnieżnej zawieji o zmroku, zajechaliśmy przed skromny, drewniany kościółek i w tej chwili rozkołysały się na nasze powitanie dzwony, otoczyły nas tłumy parafjan, a X. Proboszcz chciał nas, skostniałych i drżących od zimna, z unieruchomionemi przez mróz szczękami wraz z tobołami wprost z wozu zabrać przed ołtarz. Nie przypadło nam to wcale do gustu, tem bardziej, żeśmy zamierzali misję rozpocząć nazajutrz na sumie.

Jednakże, wobec tak licznie zgromadzonego ludu, postanowiliśmy zacząć odrazu. Prosiliśmy X. Proboszcza, by nam pozwolił przynajmniej cośkolwiek odtajać na plebanji. Później nam wyjaśniał, że był kilka razy na Stradomiu, pytał o plan misji, ale nikt go nie umiał dostatecznie poinformować, więc go ułożył na własną rękę.

Choć odległe od Krakowa, ma przecież Grabie charakter wioski prawie podmiejskiej. Tylko część parafjan trudni się uprawą roli, inni pracują we fabrykach lub przy kolei. Obok bardzo, a nawet przesadnie pobożnych, bywających nieomal na wszystkich odpustach w Krakowie i pobliskiej Mogile, jest wielu zarażonych prądami radykalnemi. Wyraża się ten charakter podmiejski i na zewnątrz, jedni ubierają się już z miejska, inni jeszcze po wiejsku, obok chat drewnianych, powstaje coraz więcej murowanych domków. Choć nie wyczuwa się tu jak po innych wioskach tego umiłowania kościoła, jako coś sobie bardzo drogiego i bliskiego, jako ośrodka swych najżywotniejszych zainteresowań, to przecież lud tutejszy poza nielicznemi wyjątkami, dobry. Są jednak także wyjątki i to jaskrawe. Opowiadał nam X. Proboszcz, jak to jeden szczególniej złośliwy parafjanin, w czasie budowy plebanji, skargami zasypywał urzędy, a gdy widział, że bezskutecznie, to z żalu, że nie może dokuczyć proboszczowi, śmiertelnie się rozchorował.

W czasie wojny światowej było Grabie ogniskiem zaciętej walki, czego ślady widnieją po dziś dzień na kościele. Zniszczony został wówczas granatem świeżo zakupiony organ.

Parafja liczy tylko 1.500 dusz, więc skróciliśmy misję do czterech dni. Księża sąsiedzi chętnie pomagali przy słuchaniu spo-

wiedzi tak kobiet w poniedziałek, jak i mężczyzn we wtorek. Poza incydentem na początku poszło więc wszystko gładko, nie nadwyrężyliśmy zanadto sił, tak nam bardzo potrzebnych do następnej misji daleko trudniejszej, w Lubiniu. Że i parafja była zadowolona, tego najlepszym dowodem wzmianka o misji, umieszczona w krakowskim Dzwonie Niedzielnym.

Lubin, (6—13 grudnia).

Lubin, położony w południowo zachodniej części Wielkopolski, w powiecie kościańskim, to siedziba jednego z najstarszych klasztorów benedyktyńskich w Polsce. Według jednych historji powstał już w r. 1040, inni przesuwają jego założenie do r. 1079, wykończony zaś został według Długosza w r. 1113[1]). Założyć go miał rycerz polski, Michał na Górze Skarbek, ku czci św. Leonarda z wdzięczności za wybawienie z niewoli. Hojnie wyposażony, należało do niego 7 miasteczek i 99 wsi i osad, otoczony opieką książąt i królów polskich, przeżywał chwile wspaniałego rozkwitu, ale też wraz z krajem dni klęsk i upadku podczas zawieruch wojennych. U szczytu rozwoju stanął na przełomie XVI wieku, kiedy w jego murach żył po dzień dzisiejszy cudami słynący, wielebny O. Bernard z Wąbrzeźna, którego ciało spoczywa w kościele klasztornym (um. w r. 1603). Po rozbiorach Polski skonfiskowali prusacy dobra klasztorne, zabronili przyjmować nowicjuszów, a w r. 1925 wrócili OO. Benedyktyni do swej dawnej siedziby, obejmując także duszpasterstwo w rozległej, dziesięciotysięcznej parafji Lubińskiej. Na ich to zaproszenie mieliśmy odprawić misję.

O ludzie tamtejszych stron już niejednokrotnie słyszałem, że stamtąd pochodzi dobry i wielki jak Longin Podbipięta nasz kochany konfrater, ks. Matelski. Teraz na miejscu przekonałem się, że nic w tych opowiadaniach nie przesadzono. Jakże wzbierało mi serce radością i zapałem, kiedy wszedłszy na ambonę, zobaczyłem falujące morze głów, wylewające się daleko poza progi obszernej świątyni. Jakżeż nie trudzić się i pracować dla tak chętnych serc, choćby przyszło i ostatnie siły stargać. Przyjemną więc była ta praca, a budowaliśmy się nietylko zapałem ludu,

---

[1]) J. Stańczewski. Klasztor OO. Benedyktynów w Lubinie Poznańskim. Poznań 1927, str. 11.

lecz niemniej gorliwością OO. Benedyktynów, od rana do wieczora niestrudzenie pomagających w konfesjonale. Rzewną była uroczystość oddania parafji pod opiekę Matki Najśw. w samo święto Jej Niepokalanego Poczęcia, potężną manifestacją gorących uczuć katolickich protestujących po tejże uroczystości przeciw zakusom na katolicki charakter małżeństwa, lecz chyba najpiękniejszym wyrazem tych głębokich przemian, jakie w sercach poczyniła łaska Boża, to zamykająca misję uroczystość poświęcenia krzyża misyjnego. To też z sercem przepełnionem wdzięcznością, stanąłem u stóp ołtarza, by uroczystem „Te Deum", podziękować Bogu za te niezliczone łaski, jakie przez nas tu na serca rozlewał i za to, że do tych wielkich dzieł miłosierdzia swego tak słabem i niedołężnem narzędziem posługiwać się raczy.

Misja dała nam sposobność przypatrzenia się życiu benedyktyńskiemu. Jest przyjętem w klasztorach benedyktyńskich, że goście biorą udział w życiu wspólnem, stosując się ściśle do reguł i zwyczajów. Myśmy z powodu naszych zajęć śpiewali tylko przed i po jedzeniu.

Serdecznie żegnani przez gościnnych Ojców, z gorącemi życzeniami, by ta prastara siedziba zakwitła wnet jak najbujniejszem życiem benedyktyńskiem, odjechaliśmy na odpoczynek zimowy, X. Błachuta do Olczy, a ja do Krakowa na Stradom.

Ks. Stanisław Kalla.

Z podróży do Polskiej Misji w Chinach.

Listy Polskich Sióstr Miłosierdzia.

Ocean Indyjski, dnia 17 listopada 1931 r.

Drogie Siostry!

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech będzie z nami!

9/XI. Miesiąc czasu nas rozdzielił, a jakaż różnica klimatu! W Polsce zapewne wszyscy kulą się od zimna, a my i w nocy nie mamy ochłody: w dzień pali słońce, a w nocy duszno — morze jakby usypiało.

Dojeżdżamy do Kolombo odległe od Marsylji o 9.430 mil morskich. Od wczesnego ranka widać piękne wyspy i wysepki pokryte palmami, trzciną cukrową i wielu innemi nadzwyczajnemi roślinami. Wjazd do portu trwał godzinę; na kilka kilometrów od portu są mury obronne (forteca), w których stało wiele okrętów, różniących się od siebie nietylko kolorem chorągwi, lecz i barwą skóry załogi — widać było różne typy i rasy ludzi. Był też okręt wojenny, cały błyszczący od stali, uzbrojony w armaty i różne przybory wojenne i ratunkowe. O godzinie 7-mej okręt zatrzymał się w porcie, skąd miał wyruszyć dopiero o 12 w nocy. Pośpieszyłyśmy się ze śniadaniem i łodzią podpłynęłyśmy do brzegu. Budynki w porcie wspaniałe, przeważnie trzypiętrowe, wygodnie urządzone, a nadzwyczajny porządek i cisza miłe robią wrażenie, zwłaszcza po dzikim porcie w Dżibuti.

Zwróciłyśmy się do policjanta z prośbą o przewodnika po mieście; ten bardzo chętnie się zgodził, przywołał chłopca i polecił mu opiekę nad nami. A opieka ta bardzo nam się przydała: w Kolombo niema Sióstr naszego Zgromadzenia i ludność bez ceremonji zaspakajała swą ciekawość, stając na ulicach, niekiedy tworząc żywe barykady lub pochód i dopiero nasz przewodnik rozpędzał ciekawców, a musieli się z nim liczyć, gdyż miał jakąś mosiężną tabliczkę na piersiach (domyślam się, że to był policjant niższej rangi).

Ludność indyjska, której dobrobyt znacznie się polepszył od czasu podbicia pod panowanie angielskie, jest bardzo dobrze usposobiona do europejczyków. Indusi o cerze bronzowej, z włosami kruczo-czarnemi z pewnym połyskiem (murzyni mają matowe), często u mężczyzn zaczesane gładko i zwiniętymi w kok z tyłu głowy, twarze o miłem spojrzeniu i błyszczących oczach, budzą zaufanie. Postawa ich zgrabna i ułożenie uprzejme. Śmiesznie u mężczyzn wyglądają wąsy przy długich włosach.

Ubiór — to rodzaj spódnicy długiej do kostek lub do kolan, bardzo barwnej, czasami z paru odrębnych kawałków zszytej. Na spódnicy noszą eleganckie kurtki europejskie lub cienkie trykotowe koszulki bez rękawów. Nie-

którzy zaś mają rodzaj rzymskich płaszczy, zarzuconych na ramiona, ale widocznie są to jacyś „uczeni“, bo nawet książki pod pachą dźwigali.

Tak się ubierają chrześcijanie — poganie zaś zadawalniają się pierwotnym strojem, lubią świecidełka, noszą bransoletki nietylko na rękach, lecz i na nogach, a kobiety mają naszyjniki i złote ozdoby wbite w nozdrza.

Wielu spotyka się katolików, a poznawałyśmy ich po tem, że jedni przy spotkaniu żegnali się, inni składali ręce jak do modlitwy lub też pokazywali medaliki i szkaplerze. Na wielu piersiach błyszczał cudowny medalik.

Dziwna rzecz, że nawet między dzikimi katolicy wyróżniają się i przy najmniejszej okazji starają się zaznaczyć, że i oni należą do kościoła powszechnego i pod tym względem można się porozumieć z narodem o najdziwaczniejszym języku.

Sposób komunikacji różny: są tramwaje, autobusy, samochody, małe jedno lub dwukołowe wózki z elegancką budką (pus-pus), przeznaczone dla jednej osoby, które ciągną indusi (zapewne potrzebujący pracy), ale mający złote zęby, na rękach i nogach złote bransoletki i takież naszyjniki. Tak są wyrobieni w biegu, że nie ustępują koniom, których tu się nie spotyka zupełnie. Nie dali nam spokoju, natrętnie zapraszając, byśmy użyły osobliwej jazdy.

Zabawne są też wozy ciężarowe: na dwóch dużych kołach buda przykryta palmowemi liśćmi, którą ciągną dwa jakby woły, tylko nieco mniejsze z garbem przy nasadzie głowy.

Niektóre dzielnice miasta urządzone po europejsku ze wspaniałemi budowlami, dzielnice zas zamieszkałe przez tubylców przeważnie ubogie, domy małe o wysokich spadzistych dachach, ulice bardzo wąskie, które obsiedli przekupnie różnego rodzaju. Wszystkiego tu można dostać: banany, orzechy, kukurydzę, migdały, liście do żucia i całą masę różnorodnych owoców siekanych, krajanych i mielonych. Ludność tubylcza odżywia się marnie, gotują na ulicy; najczęściej widać rozgotowany ryż lub groch. Jedzą rękami, tylko chleb mają piękny biały. Ogólnie biorąc, mniej się tu spotyka nędzy niż w poprzednich portach.

Upał trudny do zniesienia, chodzimy pod parasolami, pot spływa strumieniami z czoła i dopiero przy zwiedzaniu różnych zakładów ochładzamy się nieco, gdyż budowle w Indjach mają specjalną architekturę, zabezpieczającą je od upału. Sekret budowli polega na tem, że mieszkania są bardzo wysokie, prawie bez ścian, wszędzie okna z żaluzjami, ściany malowane biało olejno, sufity olejno na ciemny kolor, a prawie wszystkie domy otaczają krużganki osłonięte dachem, strzegące dostępu promieniom słońca do wnętrza domu. Wszystko, co się dzieje w domu widać na ulicy, gdyż ścian prawie niema, a okna pootwierane. To też widziałam, jak taki elegant siedział u fryzjera na ziemi, a ten skulony na piętach, golił go.

Byłyśmy w katedralnym kościele św. Łucji; zbudowany w kształcie krzyża i każde ramię stanowi oddzielną nawę — całość wspaniała. Obok katedry Bracia Szkolni mają szkoły dla katolików, do których uczęszcza około tysiąca chłopców. Ubrani po europejsku w białych ubrankach, takież skarpetki i sportowe

pantofle. Cała gromada otoczyła nas, kłaniając się uprzejmie; na dzwonek wszystko weszło do klas. Jeden z braci oprowadził nas po krużgankach, skąd widziałyśmy pilnych uczniów przy nauce; klasy od strony krużganków były bez okien. Z budynku przepiękny widok na palmowy ogród, stale skrapiany wodą.

W szkole chłopcy przechodzą kurs nauk szkoły początkowej, następnie szkoły średniej, a oprócz tego są dorośli, studjujący filozofję — wszyscy o bronzowej, lecz szlachetnej cerze. Wykładają z małemi wyjątkami sami Bracia, mając do pomocy zaledwie paru profesorów świeckich. Razem z Braćmi Szkolnymi pracują Biali Oblaci.

Zwiedziłyśmy klasztor SS. Sercanek, które prowadzą zakład naukowo-wychowawczy dla dziewczynek. Uczenice przeważnie w białych długich sukienkach z dumą noszą na piersiach medaliki i szkaplerze.

Byłyśmy również w przytułku dla starców, prowadzonym przez SS. Angielki. Wspaniale urządzony; w dużym ogrodzie są oddzielne budynki dla kobiet i oddzielne dla mężczyzn. Rozrzewniające było ich powitanie — składali ręce i kłaniali się do pasa, a w oczach tyle życzliwości, jakby zobaczyli kogoś najbliższego. Sale bardzo wysokie, chłodne, łóżka białe z materacami, przy każdem szafeczka i stołek. Na werandzie wygodne fotele z poduszkami. Byłyśmy w czasie podwieczorku — każdy z pensjonarjuszów otrzymał kawałek bułki, dwa banany i trochę jakiegoś napoju.

W środku ogrodu pełnego jaskrawego kwiecia stoi duża kaplica zakładowa. Zwiedzałyśmy dział gospodarczy tego zakładu i uwagę naszą zwrócił oryginalny sposób pieczenia chleba. Piece do chleba — to jakby kotły przykryte pokrywami, pod któremi z drugiej strony ściany pali się ogień. Do każdego kotła kładą jeden, ale bardzo duży bochenek chleba białego. Co kraj, to obyczaj.

Ze wszystkich zakładów wyniosłyśmy jedno wrażenie: urządzenie wewnętrzne dość skromne, ale budynki wspaniałe. Zasługę pod tym względem należy przyznać Anglji, która w znacznej mierze dopomaga do utrzymania misyjnych domów na terenie swych posiadłości.

W Kolombo znaczny odsetek jest protestantów, którzy prowadzą swoje misyjne placówki.

Na ulicach spotyka się posągi rozmaitych bałwanów, często o śmiesznym wyglądzie. Widziałysmy również drzewo, zwane przez pogan świętem.

Tyle już różnych rzeczy opisałam, ale o jednej rozmyślnie zamilczam, nie mając chęci pisać o tem, na wyrażenie czego nie znajduję słów. Mam na myśli roślinność.

Tylko fantazja może stworzyć coś podobnego, bo język ludzki nie zna odpowiednich dźwięków i żadna ilustracja nie stworzy całości, bo na to składa się niebo nawet odmienne — inne są chmury: czarne z fioletowo-czarnym refleksem; słońce rzuca promienie prawie prostopadle, wreszcie zieleń różnorodna i kwiaty o bardzo jaskrawych barwach. Najpierw rzucają się w oczy palmy różnych gatunków.

Ogromne palmy kokosowe zakończone u góry kiścią liści o metrowej.

a nawet dwumetrowej długości, kryjące przy nasadzie orzechy wielkości głowy. Najpiękniejsze to drzewa chlebowe: liście sztywne i jakby lakierowane o ostrych wycięciach wielkości naszego rabarbarum. Prócz owocowych drzew jest cała masa ozdobnych palm o przeróżnych kształtach liści, paprocie jak krzewy, nasze doniczkowe klony są tu jak karłowate drzewa, całe pokryte purpurowem lub fioletowem kwieciem.

W ogrodach i parkach aleje z różnego gatunku palm, ananasów, oliwek, bananów i wielu innych przepięknych drzew. Najdelikatniejszego gatunku paprotki, tak starannie u nas w Polsce hodowane, obrosły strumień przepływający przez miasto i nikt się o nie nie troszczy.

Mieszkańcy widocznie bardzo lubią rośliny, bo nawet przed najuboższą chatą, jeśli niema miejsca na założenie ogródka, wystawiają palmy w doniczkach. Naprawdę brakuje słów, by opisać widziane piękności; chwilami zatraca się poczucie rzeczywistości..., raczej sen, czy fantastyczne widziadła przy kominku w wieczór zimowy...

A jednak to wszystko istnieje, stworzone ręką wszechmocnego Boga.

Zmęczone upałem oraz widokiem tak odmiennych obrazów, wróciłyśmy wieczorem na okręt, na którym aż do północy wrzało gorączkowe życie.

10/XI. Płyniemy ciągle bardzo blisko brzegu, okrążając olbrzymią wyspę Cejlon. Piękne widoki przesuwają się przed naszemi oczyma — przeważnie góry, pokryte plantacjami różnych roślin. Trzeba nasycić oczy widokiem lądu, bo ujrzymy ziemię dopiero za 6 dni.

Posuwamy się ciągle na wschód, goniąc słońce — zegar już 4¼ godziny wyprzedził czas warszawski.

Obserwujemy kolor powierzchni morza: niekiedy szary lub niebieski, czasem pięknie szafirowy albo zielony — niewiem czy dno morza, czy obłoki na to wpływają.

Widziałyśmy niezwykłe zjawisko: zdaleka widać było ciemny pas na wodzie, a gdy okręt wjechał na to miejsce, przedstawiły się oczom naszym jakby dwa łany zboża — jeden koloru niebieskiego, a drugi zielonego, odcięte od siebie jakby przegrodą z fal na dwa lub trzy metry wysokości. Trudno opisać, jak to jest w naturze piękne.

11/XI. Dziś od rana deszcz lał jak z cebra, dopiero przed wieczorem wypogodziło się; wszyscy pasażerowie podziwiali wspaniały zachód słońca. Od kilku dni obłoki przy zachodzie słońca są tak piękne, że nietylko wszyscy je obserwują, ale nawet robią zdjęcia.

12/XI. Często widzimy na niebie tęczę, która wspaniale odbija się w wodzie, a wtedy widać rozmaite ryby, które pląsają rozkosznie.

Dzisiaj mnóstwo ryb fosforycznych daje się spostrzec — błyszczą jak gwiazdki, to znów jak błyskawice lub ogień w wodzie.

13/XI. Pochmurno. O dziewiątej rano okręt skręcał w cieśninę Malajską. Uprzedzono nas o tem, ale statek tak gwałtownie się przechylił, że miałyśmy wrażenie, iż za chwilę będziemy na dnie morza.

Wieczór mamy jasny od błyskawic, zdaje się, że całe niebo się otwiera

14/XI Mijamy z jednej strony uroczą wyspę Sumatrę, a z drugiej półwysep Malajski, który zaledwie rysuje się na horyzoncie.

Jesteśmy bardzo blisko równika — dzieli nas tylko jeden stopień. Upał się wzmaga, nawet wiatr nie chłodzi, niosąc prąd gorącego powietrza.

Różnica czasu z Warszawą $5^1/_4$ godziny. Około 6-ej rano widnokrąg jest mały, że zdaje się, że dziób okrętu dotyka chmur, które wyrastają jakby z morza. Z pokładu widać najwyżej 30 metrów. Około 7-mej słońce pokazuje się całe na niebie, a widnokrąg ginie w nieskończonej dali.

Ocean im bliżej równika, tem spokojniejszy, rano piękny — szafirowy. Nad wodą wiele ryb latających. Około 11-ej od Sumatry idzie powrotna fala; ma się wrażenie, że dwa łany zboża szafirowy i seledynowy, których wody się nie łączą, uderzają o siebie, tworząc biały grzbiet spienionych fal, które długo widać z okrętu.

15/XI. Rano zatrzymałyśmy się w Singapur. Okręt podjeżdża tak blisko, że po spuszczonych schodkach schodzi się wprost na ulicę. Miasto, rozrzucone na wzgórzach na tle przepięknej zieleni, uroczo wygląda. Na jednem z takich wzgórz wśród palm stoi bazylika św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Wspaniały kościół. Trafiłyśmy na sumę, boć to dzień niedzielny, wysłuchałyśmy dwóch kazań po angielsku i po chińsku. Ludzi stosunkowo nie tak wielu, trochę Europejczyków, Hindusów, a przeważnie Chińczycy, których zachowanie się bardzo przykładne.

Upał był tak straszny, że nie można było myśleć o zwiedzaniu miasta; wróciłyśmy więc na okręt i z pokładu obserwowałyśmy Chińczyków na ulicy, siedzących po turecku, a wtedy twarze ich mają wyraz niezmiernego smutku, zwłaszcza w porównaniu z Hindusami.

Popołudniu była burza, trochę się ochłodziło, ale powstała mgła, która zakryła brzeg przeciwległy, a właściwie parę wysepek z czerwonej glinki, pokrytych prześliczną wiosenną zielenią, na tle której widać malownicze domki wśród palm. Nazwałabym najpiękniejszemi z dotychczas widzianych, widoki Singapur.

16/XI. Szybujemy na północ do Sajgonu. Pocieszają nas, że za parę dni temperatura będzie o wiele niższa, ale tymczasem czujemy dobrze niedalekie sąsiedztwo równika.

17/XI. Dojeżdżamy do Sajgonu, gdzie okręt zatrzyma się parę dni, a my mamy zamiar przenieść się na cały czas postoju na stały ląd do naszych Sióstr.



Chengtingfa (Chiny): Placówka misyjna Sióstr Miłosierdzia.

Obrazki z Chin.

Dnia 2/I wybieramy się w dalszą drogę do Pekinu. Pociągi na tej linji kursują, więc pojedziemy koleją. O godzinie 3-ciej poszliśmy (a raczej pojechali rykszami) na dworzec; odprowadzał nas brat z prokury — ułatwił w zakupnie biletów — rzeczy, t. j. kufrów kolej nie przyjmuje — nie chce brać odpowiedzialności za nieprzewidziane następstwa. Czas wojenny. — Zostawiamy rzeczy w Tien-Tsin, przyszlą jak będzie można najprędzej. Pociąg miał odejść o godzinie 4-tej — niestety spóźnienie — więc czekamy pod gołem niebem, poczekalnia przepełniona, nadto mieliśmy kilka pakunków, trudno byłoby z nimi — powietrze zimne, wspomagane wiatrem dało się odczuć, czekaliśmy tak 2 godziny, Wreszcie nadszedł pociąg, pasażerów czekało dużo, wszystko rzuciło się tłocząc, zdobywając miejsca. Ja zostałem przy bagażach, a księża wszyscy czterej wpadli tymczasem do wagonu i zajęli miejsca, a rzeczy powciągali przez okno. Przestrzeń krótka stosunkowo, o godzinie 9½ byliśmy w Pekinie, gdzie czekali na nas na dworcu, samochodem przyjechaliśmy do domu. Po krótkiem przywitaniu i kolacji wskazano nam mieszkania. Mój pokoik był ostatni z rzędu, lecz jakże się ucieszyłem, gdy zauważyłem wiszący na ścianie obraz św. Teresy od Dzieciątka Jezus i tutaj Ona jest.

Po śniadaniu poszliśmy przywitać księży przełożonych począwszy od Ks. Arcyb. Jarlina; staruszek już, zaraz przypomniał mi się ś. p. Ks. Arbp Ruszkiewicz w Warszawie. Serdecznie nas przywitał, byliśmy u niego dość długo, cieszył się, że Polacy przybywają do Chin. Po kolei byliśmy u Ks. Wik. Apost. i u innych księży przełożonych. Pekin jest Wikarjatem Księży Misjonarzy. Tuż przy katedrze, gdzie zamieszkaliśmy tymczasowo, na dużej przestrzeni liczne zabudowania, w których oprócz mieszkań jest drukarnia, gdzie drukują dzieła w różnych językach jak: po francusku, łacinie, a najwięcej po chińsku. Wielki zapas różnych czcio-



Siostry Miłosierdzia ze swojemi wychowankami.

nek, klisz i rytych w drzewie stereotypów na całe tomy książek w chińskim języku. Zarządza tem jeden z braci, wszystkie maszyny pędzą ropą. Dalej introligatornia, bronzownia, gdzie wykonują wszystkie przybory kościelne: kielichy, monstrancje, krzyże, pastorały biskupie i t. d., z różnych metali i przepięknie mozaiką wykładane w najrozmaitszych deseniach, czy kwiatach i t. p.

Katedra pobudowana przed 50-ciu laty z polecenia i kosztem ówczesnego cesarza chińskiego, przed katedrą u wejścia po obu stronach b. piękne, w stylu chińskim budynki, coś jakby duże altany dla ozdoby. Kościół sam też duży i piękny tak z zewnątrz,

jakoteż i wewnątrz. Są to seminarja diecezjalne, wielkie i małe, które prowadzą nasi księża, oprócz tego jest szkoła dla chłopców. Księża nasi zarządzają nadto kilkoma parafjami w Pekinie, przy których stale mieszkają, więc po obiedzie objechaliśmy samochodem wszystkie te placówki, by przywitać naszych księży na ich posterunkach, również byliśmy i w naszem Seminarjum na „Chali“ oraz na cmentarzu misjonarskim. tuż obok Seminarjum. W drodze powrotnej wstąpiliśmy do szpitala, gdzie są SS. Miłosierdzia. Dowiedzieliśmy się, że X. Arcybiskup Costantini, Delegat Apostolski jest w domu i można być u niego, wybraliśmy się do niego. Bardzo się ucieszył, że spełniają się jego pragnienia, t. j. że Misjonarze polscy przybywają na ziemie chińskie, co było ciągłem jego marzeniem. Zabawiliśmy tam dłuższy czas, objaśniał w niektórych szczegółach, poinformował i udzielił apostolskiego błogosławieństwa dla misji polskiej w Chinach.

Obok naszego domu jest wielki dom Sióstr Miłosierdzia gdzie mieści się około 800 osób, od dzieci w „żłóbkach“ począwszy aż do zgrzybiałych staruszek, pracuje tam chyba z 30 Sióstr, jeżeli nie więcej. Są Siostry francuskie, ale jest i wiele chińskich.

Najrozmaitsze pracownie, najmniejsze rozpoczynają od wyściółek od bucików, a tak stopniowo: koronkarstwo, hafty w najpiękniejsze desenie, kwiaty i t. d., nadto pracownia robót kościelnych, ornatów i t. p., bardzo gustownie wszystko wykonują. Małe dziewczynki wykonują ślicznie roboty klockowe. W oddzielnych zabudowaniach jest szpital dla chorych. a także katechumenat, gdzie Siostry przygotowują do Chrztu św. nietylko dzieci, ale nawet zgrzybiałe staruszki uczą się katechizmu, poczem ksiądz egzaminuje i w miarę przygotowania udziela Chrztu św. Nadto byliśmy w drugim domu SS. Miłosierdzia, gdzie prowadzą szkołę rządową powszechną. Zakład ten niewielki, ale nowy gmach starannie utrzymywany, dzieci tam niewiele, pracuje też kilka Sióstr. W Pekinie jest jeszcze więcej zakładów i szpitali SS. Miłosierdzia, lecz nie mieliśmy na tyle czasu, by można było zwiedzić.

W wigilję św. Trzech Króli, t. j. w niedzielę 5 I miał sumę nasz Ks. Superjor Krauze w katedrze z asystą, gościa z Polski prosili, by celebrował. Zaś w samą uroczystość Trzech Króli celebrował Delegat Apostolski Mr. Costantini, a po sumie był też na

wspólnym obiedzie. Korzystając ze sposobności zwiedziliśmy niektóre zabytki: a więc były pałac cesarski, obecnie muzeum tylko, można było podziwiać ten cały obszar, park, dziedzińce, sale tronowe, w których trony są zachowane w dobrym stanie, nadto różne stroje cesarskie, zbroje, różne wyroby z metalu, jak: zegary bardzo precyzyjne w wykonaniu, wielkie i cennemi kruszcami wysadzane, posągi większe i mniejsze, naczynia tak metalowe. jak porcelanowe, kwiaty kryształowe, makaty, arasy, hafty, najrozmaitsze tkaniny i t. d. Wejścia wszędzie marmurowe, tak schody, jakoteż obok nich barjery, ozdobnie rzeźbionemi w marmurze,



W ochronce SS. Miłosierdzia.

prawie każdy słupek inaczej rzeźbiony, pomiędzy dwurzędnemi schodami, na kilka metrów wysokiemi, położone są płyty marmurowe jednostajne, rzeźbione na kilka cm głębokie, są uwypuklone sploty różnych płazów, ptaków i innych, już sam nie wiem jak to nazwać, potworów, a te style, rzeźby i malatura, a oddzielnie świątynia słońca, gdzie cesarze składali ofiary. Dziś to prawie w ruinie.

W następnym dniu zwiedzaliśmy pagody, świątynie pogańskię, których pełno w Pekinie, jakoteż i w całych Chinach. Przykre robi wrażenie, wszedłszy do takiej „pagody", gdzie pełno rozmaitych

bożków wielkich i małych, z drzewa lub metali, a częstc ulepionych z gliny. W jednej świątyni jest bożek „Budda“ wysoki przeszło 20 metrów, kolos! aż przykro patrzeć. W niektórych świątyniach spotykaliśmy modlących się bonzów. Jeden jakimś nienaturalnym głosem krzyczy, przewodnicząc, a inni mu wtórują, po chwili dzwoni, to jakąś pałeczką w stronę bożka wywija, wszyscy siedzieli na ławkach twarzami do siebie i bili pokłony na dany znak.

Wielu młodych chłopców w największem roztargnieniu wprawiali się do tej sztuki. W jednej i nas zachęcali do sypania kadzidła lub zapalania świeczek, modliliśmy się w duchu i my, prosząc P. Boga, by za przyczyną Najśw. M. Panny, św. Teresy od Dzieciątka Jezus i innych świętych, raczył jaknajprędzej oświecić tych biednych braci naszych, żeby Go poznali, czcili i służyli Mu, bo i za nich P. Jezus cierpiał i umarł, oraz by te świątynie stały się przybytkiem bożym, niektóre z nich nadawałyby się na kościoły, odpowiednio przerobić i poświęcić. Miasto Pekin jest duże, ulice szerokie i proste, niektóre bardzo długie, ruch na ulicach wielki, pełno automobili, dorożek konnych mało, natomiast bardzo wiele ryksz, czyli puspus, przeszło 50 tysięcy. Styl budynków chiński, sklepy niektóre są bogate. Według planu w Pekinie mieliśmy zabawić 3—4 dni i jechać dalej — spieszyć się mieliśmy tembardziej, że X. Bp. Schrawen w Czentifu (Chengtingfu) oczekiwał naszego przyjazdu, już w Szanghaju zastaliśmy list od niego, w którym witał nas na ziemi chińskiej, a w najbliższych dniach przywita osobiście; zaś do Pekinu przysłał telegram zapytując, czy jesteśmy tam.

W przeddzień naznaczonego wyjazdu X. prokurator tamtejszy zwrócił się po zakupno biletów kolejowych dla nas, oświadczono mu, że z powodu rozruchów w kraju, pociągi na tej linji nie kursują, ani niema pewności kiedy będą uruchomione, więc musimy czekać, szczęście, że to w mieście i u swoich. Zaproponowano nam skorzystać z tej okoliczności i zwiedzić sanatorjum Braci Marystów w górach za Pekinem. Jechaliśmy samochodem trzy kwadranse w jedną tylko stronę.

Daleko za miastem u podnóża gór jest obszerny dom i inne budynki gospodarcze, kawałek ogrodu i boisko, na którem ćwiczyło wojsko, zaś sanatorjum dalej w górach, musimy iść, dwóch księży

towarzyszących nam już z Marsylji jechali też z nami. Szliśmy pod górę najmniej 100 m wysoką i tylko w sukniach, mimo że w styczniu w mieście był dość ostry mróz, ale tam było aż za ciepło. Po przeszło pół godzinnym spacerze pod górę skierowaliśmy się na drugie pasmo gór, po pewnym czasie doszliśmy do sanatorjum; dom duży, piętrowy, piękna kaplica. Dalej mieszkania i t. d. wszystko na górze, zaś naprzeciw w ogrodzie stacje drogi krzyżowej, a dalej winnica, którą bracia sami uprawiają. Ponieważ było już dość późno, zaprosili nas na obiad.



U Trapistów w Chinach.

Po obiedzie poszliśmy pod górę jeszcze wyżej, skąd pokazywali nam daleko, za innemi górami Klasztor Trapistów, a jeszcze dalej Trapistek, lecz tam nie byliśmy, bardzo daleko. Cały ten teren górski, jaki Bracia zajmują ma około 2 km^2, nie do uwierzenia, jak potrafili te góry wykorzystać i tak się tam rozbudować, prawda, dla owiec stoi wykuta w górze stajnia, gdzie je na noc spędzają, bo cały dzień pasą się,

Podczas całego naszego pobytu w Pekinie śniegu nie było, zato kilkanaście stopni mrozu odczuwało się szczególnie z rana, w pokojach piecyki żelazne, podsycane często węglem, grzały nas cały dzień i całą noc, na noc wsypywało się węgla i trwał ogień do rana. We dnie silny mroźny wiatr, unosząc tumany kurzu,

również dał się we znaki, często nie można było oczu otworzyć, by przecież przypatrzeć się dobrze temu miastu. Nagle jednego dnia (11/I) dowiedzieliśmy się, że pociąg w naszym kierunku ma odejść w południe, była godzina 9½, za pół godziny byliśmy gotowi do drogi. Wpadliśmy do refektarza i prawie stojąc tylko (jak ongiś izraelici, przepasani i z laskami w ręku...). Nie było czasu na żegnanie się, tylko X. Superjor niejako opowiedział się X. Przełożonemu, że odjeżdżamy. Sprowadzili nam ryksze i każdy ze swoją walizką mieścił się jak mógł i pojechaliśmy na dworzec. Czekaliśmy przeszło godzinę, nadszedł pociąg, dużo ludzi wysiadło, a może więcej czeka..., więc skoro przeszli, którzy przyjechali wpuścili następnych, ścisk, tłok, nie sposób wejść do wagonu. Na szczęście brat, który nam towarzyszył czekał jeszcze, pilnował naszych rzeczy, a my tymczasem zdobywaliśmy miejsca. Bóg dobry. Jakiś chłopiec zajął miejsce dla swego pana, który miał jechać przy jego pomocy, zdobyliśmy i my miejsca siedzące, tymczasem brat ze służącym przynieśli nasze walizki, wciągnęliśmy przez okno, poumieszczali na półkach i odetchnęliśmy swobodniej. Przyszedł i ten pan, dla którego zajął miejsce. Jak się później okazało był to profesor Uniw. Pekińskiego, Chińczyk, zaś jego towarzysz, korespondent jakiegoś dziennika, obydwaj bardzo byli uprzejmi dla nas, rozumieli po rosyjsku i francusku.

Gdyśmy się znaleźli w wagonie, była godz. 12½, nagle zrobiło się tak ciasno, że nie sposób było się ruszyć, ludzi naszło pełno, pakunków mają co jeden prawie, to więcej, usadawiając się w przejściu na swoich bagażach, nawet ten korespondent siedział na swoim bagażu przez całą podróż, miejsca mieliśmy w III kl. bardzo niewygodne, siedzieliśmy po 2-ch twarzami do siebie. Po godzinnem tłoczeniu się, t. j. o godz. 1½ dał się słyszeć sygnał lokomotywy, więc pojedziemy, nagle pociąg rusza. Każdy z nas przeżegnał się, polecając się Boskiej Opatrzności, liczymy, że około 9 a najdalej o 10 godz. wieczór, będziemy w Chengtingfu, od Pekinu 260 km. W normalnym czasie przebywa się tę przestrzeń w 7 do 8 godz., nadto nasz pociąg nazywa się „Express“, więc tem pewniej nie zawiedzie; nagle pociąg stanął, rusza znowu, ale cofa się w kierunku stacji, zjeżdża na inny tor i staje na dobre, dowiadujemy się, że lokomotywę odesłali do naprawy o 35 km od stacji

pojedziemy dopiero o godz. 11 w nocy. Po pewnym czasie dowiadujemy się, że pojedziemy o godz. $9^1/_2$, no przecież to nie 11-ta! W pociągu ciemno i zimno, nie opalany, naszemu profesorowi przymarzł kożuch do szyby, pokazuje się, bylibyśmy dobrze pomarzli. Dwóch Chińczyków mieli jakieś świeczki poprzylepiali w okna i rozświecali ciemnosci. Po godz. 9-tej zapaliły się lampki elektryczne w pociągu, pewnie pojedziemy, zrobił się ruch jak w ulu, idzie kontrol biletów, towarzyszy mu jakiś urzędnik i 2-ch żołnierzy z karabinami, czas wojenny. I wyjechaliśmy z Pekinu, ale dopiero o godz. 12-tej w nocy; gdy pociąg ruszył, zapomnieliśmy, że siedzieliśmy tam 12 godzin. Chwała Bogu, że jedziemy, ale cóż! Mimo tak pięknej nazwy jak „Express" staje na każdym nawet przystanku, stoi od pół godziny wzwyż, a na jednej pozwolił sobie stać 2 godz., potem wlókł się niemożliwie.





Siostra Miłosierdzia na misjach.

Z podróży do Polskiej Misji w Chinach.

Listy Polskich Sióstr Miłosierdzia.

Sajgon 21 listopada 1931 r.

Drogie Siostry!

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech zawsze będzie z nami!

Ostatni list kończyłyśmy bardzo pospiesznie, a przytem był tak długi, że dziś muszę dodać jeszcze trochę szczegółów z Singapur.

Byłyśmy tam 15 listopada. Od świtu można było podziwiać całą masę wysp i wysepek, tonącą w zieleni, a wśród drzew oryginalne domki, zbudowane na palach, niekiedy bez ścian — tylko dach i podłoga. Na pierwszy rzut oka przypominają „chatki na kurzych nóżkach“ o których mówiły piastunki. Dla całości tajemniczej trzeba dodać ciemno-skórych mieszkańców, zręcznie uwijających się na łodziach.

Miasto niema tak wybitnej cechy jak Kolombo, bo mieszkańcy różnobarwni, choć przeważają Chińczycy i ma się złudzenie, że to już chyba Chiny. W którąkolwiek zwrócić się stronę, wszędzie spotyka się typowe chińskie obrazki; stroje, palmowe kapelusze o niezwykłych kształtach, sklepy z przeróżnemi towa-

rami, porozkładanemi na ulicy, sposób noszenia towarów, nawet chińska kuchnia znalazła się tuż przy okręcie i można było podziwiać Chińczyków, zgrabnie posługujących się pałeczkami.

Port bardzo duży, doskonale urządzony i niezwykle ruchliwy, zaopatrzony w dźwigi i mosty zwodzone, jakich nie widziałyśmy nawet w Marsylji.

Choć to była niedziela, to jednak oprócz nabożeństwa w kościele, nic nie przypominało dnia świątecznego — wszędzie praca. Właśnie cała grupa ludzi zajęta była przy budowie drogi, mówiąc nawiasem wspaniałej.

Po południu, gdy okręt jeszcze stał w porcie zerwała się gwałtowna burza; deszcz był tak ulewny, jakiego w życiu nie widziałam. Nie odczułyśmy bardzo wstrząsów okrętem, bo stał mocno na kotwicy, a prawdziwą radość miały dzieci, gdy po burzy zaczęły próbować w jeziorach na pokładzie swoje małe okręciki kupione w przystani.

Towarzysze podróży zmieniają się w każdym porcie i już w Kolombo wysiadło kilkanaście zakonnic, a w Singapur wsiedli przeważnie Chińczycy — na każdym kroku widać, że cel naszej podróży przybliża się.

Przez krótką chwilę cieszyłyśmy się, że jakiś Polak wsiadł w Singapur, gdyż wyczytałyśmy na bagażach nazwisko „Orłowitz", a że cudzoziemcy mają specjalny dar do przekręcania polskich nazwisk, więc byłyśmy pewne, że to Orłowicz w międzynarodowej pisowni. Pan ów jednak niczem nie zdradzał polskiego pochodzenia i rzeczywiście imię „Willy" umieszczone na jednej z walizek, rozwiązało nasze domysły. Z naszemi nazwiskami mają też wiele kłopotu. Najprędzej uporali się z nazwiskiem S. Heleny, czytając po francusku, ale zdaje się, że i sama właścicielka często nie wie o kim mowa.

Koło godziny drugiej ruszyłyśmy w dalszą drogę prawie w prostej linji na północ i po trzech dniach okręt zatrzymał się aż na cztery dni w Sajgonie.

Jakież piękne są te okolice! Już na parę godzin przed wjazdem do portu można było podziwiać całe lasy palmowe i starannie uprawiane pola ryżowe, wyrastające jakby z morza, niby przepiękny kobierzec zielony.

W porcie czekały na nas Siostry nasze ze szpitala w Sajgonie, dokąd miałyśmy się przenieść na cały czas postoju okrętu; wszystko było już uplanowane, mieszkanie zamówione w klasztorze SS. św. Pawła, gdyż w szpitalu trudno byłoby osiem nas pomieścić. Tymczasem miałyśmy nieprzewidzianą niespodziankę. Przy rewizji paszportów okazało się, że misjonarki polskie nie będą mogły wysiąść na ląd, gdyż mają wizę tylko przejazdową przez terytorjum francuskie bez prawa pobytu, a ponieważ Sajgon należy do Francji, więc musimy zostać na okręcie. Nie pomogły starania S. Starszej ze szpitala, musiałyśmy się podporządkować przepisom prawnym i tylko trzy Siostry Francuzki z postulantką skorzystały z gościnności, a jedna z Sióstr Francuzek została z nami na okręcie. Nie należało to do przyjemności: okręt robił wielkie zapasy żywnościowe, wszystkie dźwigi były w robocie od rana do wieczora, stuk, huk i kurz przez cały dzień, a w nocy duszno w rozpalonym na słońcu żelazie, no i moskity na dodatek.

Francuzi mają dla misyj wielkie względy i nam również nie chcieli robić przykrości, w parę godzin później przynieśli nasze paszporty z oznajmieniem, że wysiąść możemy, choć nie mamy prawa, a oni zamkną oczy na złamanie przepisów. Pozostałyśmy jednak na okręcie do rana, choć trudno było zmrużyć oko, w dusznej i przepełnionej moskitami kajucie. Na mszę św. poszłyśmy do kościoła, bo duchowieństwo z okrętu rozproszyło się po mieście.

Wkrótce nadjechały nasze Siostry i zabrały nas do miasta.

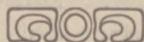
18—21 listopada. Cztery dni na lądzie. Wrażeń z Sajgonu mamy wiele, trudny wybór, co najpierw opisywać, ale zacznę chyba od tego, co mną najwięcej wstrząsnęło — od chrztu pierwszego Chińczyka. Modliłam się w kaplicy, wtem usłyszałam kilkakrotnie powtórzone moje imię, wychodzę, a Siostry podają mi wodę, prosząc, bym ochrzciła umierające dziecko. Byłam tak zaskoczona, że gdyby nie pomoc Sióstr, nie wiem, jakbym się była wywiązała ze zadania — wszystkie wiadomości katechizmowe w pierwszej chwili zginęły w podświadomości. Mały Stanisław żyje, a niechaj go prowadzi nasz święty z Rostkowa przez życie całe aż do życia wiecznego! Dzięki Bogu za tę pierwszą duszę!

Tutaj podobno jest teraz jesień; deszcz pada codziennie i tylko 30° ciepła, a wyobrażam sobie, jak musi być gorąco i du-

szno w lecie, kiedy całe tygodnie niema deszczu. Mieszkania naturalnie bez pieców, okna bez szyb i wszystkie drzwi pootwierane, żeby choć trochę było przewiewu. Po zachodzie słońca trochę się ochładza i następuje koncert za oknem: świerszcze, koniki i inne owady uprzyjemniają czas ludziom. Po zapaleniu światła w mieszkaniu wszystkie te twory wprowadzają się do pokoju, a za nim jaszczurki różnej wielkości i zaczynają urządzać harce po ścianach i suficie. Nikt tu z tem robactwem nie walczy — próżną byłaby robota. Gdy słońce zaświeci cały ten świat przenosi się do ogrodu. Chcąc uchronić się w czasie snu od zbyt bliskiego sąsiedztwa jaszczurek i moskitów, używają tutaj kopułowatych nakryć łóżek, osłoniętych muślinem od góry szczelnie zeszytym, którego końce podsuwa się pod materac. Dobrem to jest, ale trzeba spać bardzo spokojnie, inaczej szkoda zachodu. Jeszcze smutniej w czasie kolacji, kiedy niczem nie można odgrodzić się i w czasie jedzenia trzeba ciągle wyławiać różne owady z talerza i ze szklanki. Roślinność wspaniała: palmy różnych odmian, figusy i filodedrony mają po kilkanaście metrów wysokości. Zwiedziłyśmy ogród botaniczny i zoologiczny — wszędzie dla naszego oka nadzwyczajne okazy. Miasto urządzone po europejsku: autobusy, samochody i tutejsze pus-pus.

Nadzwyczajnem zjawiskiem jest tutaj przejście dnia w noc bez zmierzchu; ma się wrażenie, że ktoś wielką lampę zagasił. Z tego powodu miałyśmy jedną bardzo śmieszną przygodę. Wracałyśmy samochodem do klasztoru św. Pawła, wtem wielka lampa zgasła — dzień się skończył. Samochód stanął, wysiadłyśmy, nie spostrzegłszy pomyłki szofera. Trudno było się zorjentować śród drzew w ogrodzie, zaczęłyśmy szukać drogi do klasztoru, wtem pędzi do nas jakiś ksiądz, zdziwiony, co to za najazd zakonnic na seminarjum duchowne. Na szczęście klasztor św. Pawła był niedaleko.

Zwiedziłyśmy wiele zakładów misyjnych i szpitali, prowadzonych bądź przez zakony z Europy, bądź przez tubylcze. Jest tu wielki klasztor Sióstr Anamitek. Trudno sobie wyobrazić większe ubóstwo, niż te Siostry zachowują.




Situations Zeichnung
von der Lage des Missionairen Convents
Gebäudes in Culm
gefertigt von
Ehrenreich
Garten

X. DR. THEOL. STANISŁAW KALLA C. M.

Dom chełmiński w świetle kroniki domowej.

X. Sup. Jakób Cyboni (1695—1699).[1]

Po X. Antonim Fabri przychodzi na superjora do Chełmna X. Jakób Ignacy Cyboni z Warszawy, gdzie przez kilka lat wykładał teologję spekulatywną i był dyrektorem Seminarii Interni. Sprawował swój urząd do 5 października 1699 r. Instytucji na urząd proboszcza dokonał w obecności X. Wizytatora Bartłomieja Tarty, wizytującego wówczas Dom Chełmiński, X. Tomasz Prątnicki, prepozyt katedry Chełmińskiej.

Początki miał X. Cyboni trudne, gdyż wielu prałatów było niezadowolonych z przeniesienia bardzo lubianego X. Fabriego. Również miasto żaliło się na zmianę. Taktem i wielką cierpliwością potrafił jednak wszystkie trudności w końcu pokonać.

Gorliwie zajął się odrazu uporządkowaniem spraw majątkowych. Tytus Działyński, starosta Bracławski[2]) i krajczy koronny, winien był Seminarjum Chełmińskiemu 10 tysięcy florenów. Przez 30 lat nie płacił procentu, zbywając obietnicami, a w dodatku połowę powyższej sumy pozwolono mu umieścić na majątku Sarnowo, położonym w województwie Płockiem, gdzie w obiegu były szelągi, tracące stale na wartości[3]). Już X. Fabri wytoczył Działyńskiemu proces przed Trybunałem Piotrowskim i przy pomocy znakomitego, oddanego Zgromadzeniu adwokata, Maksymiliana Grzegorzewskiego, uzyskał dwa przychylne wyroki z prawem egzekucji na jego dobrach. Kiedy mu groziła trzecia egzekucja, połą-

[1]) Kronika str. 51—72.

[2]) Tamże str. 51.

[3]) Tamże str. 51—52.

czona z dotkliwemi karami[1]), wolał ugodowo sprawę załatwić i w tym celu zwrócił się listownie do X. Cyboniego. Stanęła rzeczywiście ugoda, mocą której sumę 5 tysięcy florenów przeniesiono zpowrotem z Sarnowa na Gzin, z sumy 10 tysięcznej monety pruskiej miał być płacony Seminarjum roczny czynsz, ubezpieczony na tychże dobrach, które, w razie niedotrzymania ugody, można było odrazu zająć. Straty wynikłe z niepłacenia procentów i kosztów procesowych, wynosiły 30 tysięcy zł., nie licząc szkód, jakie X. Fabri poniósł na zdrowiu, kiedy wracając z Piotrkowa przemęczony, na wpół zmarznięty, popadł w ciężką chorobę, z której opuszczony przez lekarzy, chyba tylko za przyczyną Matki Najśw., na gorące błaganie całego miasta, uzdrowiony został.

Drugą zasługą X. Cyboniego około Domu chełmińskiego, to nabycie wioski Uść, graniczącej z Chełmnem, za 13 tysięcy florenów od Gorzuchowskich. Kupno nie przyszło łatwo. Właściciel zmarł przed podpisaniem kontraktu, Trzeba było na nowo układać się z jego spadkobiercami, spłacać licznych wierzycieli. Były trudności i ze strony szlachty, która na sejmikach wystąpiła z sprzeciwem, opierając się na ustawie sejmowej, zabraniającej duchowieństwu kupowania ziemi. Za nabywcę podał się więc X. Wizytator Tarło, jako członek starego, senatorskiego rodu. Na jego nazwisko zapisano wieś w księgach sądowych w Kowalewie, misjonarze figurowali tylko jako plenipotenci. Następnie przekazał X. Tarło na piśmie wioskę na własność Misjonarzom, by jego spadkobiercy nie rościli sobie kiedyś do niej pretensji.

---

[1]) Dla zasilenia wyczerpanego najazdem szwedzkim skarbu, dzierżawca mennicy polskiej za Jana Kazimierza, Tytus Boratyni, zamiast dozwolonych przez sejm dwóch miljonów, wybił 20 miljonów złp. w szelągach, nazywanych także boratynkami. Była to pierwsza moneta miedziana w Polsce. Robiona z coraz gorszego materjału, traciła stale na wartości i kiedy w r. 1650 szeląg równał się groszowi, to w 18 wieku wynosił już tylko jedną trzecią grosza. Stąd przysłowie: „nie wart złamanego szeląga". Prawo bicia pieniędzy mieli także biskupi i niektóre miasta, jak: Gdańsk. Toruń, Elbląg, Poznań, Lwów. Widocznie moneta będąca w obiegu w województwie chełmińskiem, zwana przez kronikarza monetą pruską, była lepszą i pewniejszą, jeżeli X. Cyboniemu tak bardzo chodzi o ulokowanie pieniędzy seminaryjnych w tej monecie. Por. Zygmunt Gloger, Encyklopedja Staropolska t. 4, str. 4: Pieniądze w Polsce, str. 309; Szeląg.

Trzeba było również toczyć spory z miastem o naruszenie granic z Benedyktynami o łąkę[1]).

Mimo to, mimo że gruntu ornego było stosunkowo mało, łąki zaniedbane, a cena wygórowana, nie żałowano kupna z powodu bliskości nabytej posiadłości. Przystąpiono odrazu do ulepszenia gospodarki, zbudowano domek i stajnie w pobliżu Wisły, sprowadzono bydło holenderskie, sprawiono nowy kamień do wiatraka, poczyniono mnóstwo innych starań i zabiegów, by podnieść wydajność gospodarstwa, co też w zupełności się udało[2]).

Majątek seminaryjny powiększony został za X. Cyboniego sumą 9828 forenów, zapisanych jeszcze przez X. biskupa Andrzeja Leszczyńskiego (1646—1652 r.), a teraz dopiero wypłaconych po dekrecie Trybunału Piotrowskiego. Z tej sumy ulokował X. Cyboni 8100 florenów na Drozdowie i Konopacie Niemieckim, majątku Stanisława Konopackiego, kasztelana Chełmińskiego, położonego blisko należącego do Seminarjum Niedźwiedzia, resztę zaś, 1728 fl., na majątku Tomasza Gordana, mieszczanina Chełmińskiego[3]).

W części przynajmniej udało się X. Cyboniemu zrealizować legat X. biskupa Kazimierza Opalińskiego na rzecz Zgromadzenia. X. Biskup zapisał Domowi Chełmińskiemu 12 tysięcy tyntów[4]), 3 czerwca 1693 r. w sądzie grodzkim w Kowalewie, zobowiązując Misjonarzy Chełmińskich do pieczy o kaplicę św. Wawrzyńca, położoną w polu w stronę Starogrodu i do odprawiania tam co piątek za niego cichej Mszy św. Sumę tę mieli wypłacić spadko-

---

[1]) W sprawach cywilnych, za nieposłuszeństwo wyrokom sądowym, za gwałty, długi, naruszenie granic itd. karano t. zw. banicją mniejszą. Pociągała za sobą zawieszenie w wykonywaniu praw obywatelskich, karę wieży Prawo z r. 1523 orzekało, że gdyby banita siłą nie dopuścił egzekucji do dóbr swoich, wtedy starosta grodowy winien zebrać szlachtę owego powiatu zbrojną i powagę prawa utrzymać, Por.: Z. Gloger, Encyklopedja Staropolska ; Banicja t. 1, str. 113—114.

[2]) Kronika str. 54—67. — Wioska ta, nazywana w Kronice „Uście", na mapie powiatu Chełmińskiego „Uść", należała niegdyś do Chełmińskiego szpitala św. Ducha. Por.: Kronika str. 56.

[3]) Kronika str. 65.

[4]] Tynf, tynf-pieniądz polski srebrny. 18 groszy srebrnych w sobie zawierający, nazwany od mincarza Tynfa. Por.: Z. Gloger, Encyklopedja Staropolska str. 389, t. IV.

biercy w pierwszą wilję przed uroczystością św. Jana Chrzciciela po śmierci fundatora. Niestety, mimo starań X. Fabriego ociągali się z wypełnieniem nałożonego obowiązku. X. Cyboni udał się w tej sprawie do Przyjemskiego, wojewody Kalińskiego, małżonka spadkobierczyni dóbr Mościska, na których zapisana była powyższa suma i po czterotygodniowych układach tyle wskórał, że mu wypłacono 80 monet złotych tytułem czynszu od owej sumy. Zaraz też zaczęto odprawiać Mszę św. w zmiankowanej kaplicy [1]).

Zmarły w r. 1697 inny dobroczyńca i szczery przyjaciel Zgromadzenia, X. Krzezwior, dziekan Grudziądzki, zapisuje Misjonarzom chełmińskim pieniądze, książki, inne rzeczy, razem około $^1/_3$ tysiąca florenów [2]).

Nie mniej gorliwości i zapobiegliwości, co sprawom majątkowym, poświęcił X. Cyboni upiększeniu kościoła. Za jego staraniem dokonał X. biskup sufragan Tomasz Skotnicki poświęceniu siedmiu ołtarzy, czego pamiątkę uwieńczono na drewnianej, rzeźbionej tablicy, zawieszonej w kościele [3]).

X. biskupowi Kazimierzowi Szczuce, w dowód wdzięczności za wyświadczone Zgromadzeniu dobrodziejstwo, wystawiono marmurowy nagrobek, wykonany w Krakowie, z napisem, ułożonym przez X. Fabriego, superjora Domu Stradomskiego.

W r. 1699 ofiarował Mikołaj Marszewski, dzierżawca starostwa Lipnowskiego, z dzięczności za cudowne odzyskane zdrowie tysiąc florenów na nowy ołtarz dla cudownego obrazu Matki Boskiej. Ołtarz ten zbudował na zlecenie X. Cyboniego rzeźbiarz z Elblągu, kosztem 700 florenów.

W tymże roku Czapski, właściciel wsi Grubno, wypłacił 300 florenów, które pewien Wikarjusz Chełmiński zostawił na kaplicę Matki Boskiej. X. Cyboni kupił za nie, dodawszy nieco pieniędzy ze składki, dwa srebrne lichtarze.

Kosztem Magistratu Chełmińskiego odlano w Gdańsku nowy dzwon dla kościoła.

W samą uroczystość Trójcy św., 17 czerwca 1696 r., umiera

---

[1]) Diarium... str. 67-68.

[2]) Tamże str. 68.

[3]) Tamże str. 68—69.

w Wilanowie król Jan Sobieski. Wraz z jego następcą, Augustem II. Sasem, przybywają do Polski wojska saskie, które na leże zimowe stanęły częściowo w dobrach biskupa Chełmińskiego i Chełmna. Wielkie z powodu tego spadły ciężary na włościan tych dóbr. Jedna tylko wioska, Niedźwiedź, należąca do Seminarjum, złożyła na rzecz wojska w naturze i pieniądzach danin, wartości 8000 florenów. Były to podatki niewspółmierne w stosunku do zamożności mieszkańców, to też X. Cyboni dowiedziawszy się, że przyczyną tak niesprawiedliwego traktowania byli obywatele chełmińscy, prześladujący niewiadomo dlaczego, powiada kronikarz, Misjonarzy, wytoczył Magistratowi chełmińskiemu proces o odszkodowanie, którego jednak wskutek powstałych stąd gniewów, kłótni i nienawiści zaniechano.

Zaraz na początku urzędowania spotkała X. Cyboniego niemała przykrość. Prowadząc na zaproszenie OO. Dominikanów procesję Różańcową, spostrzegł, że wkracza ona na drogę, zastrzeżoną procesjom parafjalnym. Natychmiast zaprotestował, broniąc praw parafjalnych, a gdy to nie pomogło i przeciwnie X. Przeor wziąwszy z rąk X. Cyboniego monstrancję szedł tą samą drogą dalej, ks. Cyboni wraz z klerykami procesję opuścił. Wypadek ten wywołał naturalnie wielkie zgorszenie i słusznie kronikarz zauważa, że należało procesję spokojnie ukończyć, a potem dopiero wystąpić ze skargą przed odpowiednią władzą. Przykra ta sprawa dostała się wkońcu przed Nuncjaturę, nim jednak ta wydała wyrok, Przeor zwrócił się do X. Cyboniego z prośbą o przebaczenie, na co chętnie tenże się zgodził. Musiał jednak publicznie wobec Kapituły chełmińskiej, występującej w roli pośrednika, przeprosić, a nadto razem z obecnym Wiceprowincjonałem przyrzec, że już więcej praw parafjalnych naruszać nie będą.

Na ogólne żądanie, za zgodą X. Wizytatora i pozwoleniem X. Biskupa, umieszczono w oratorjum domowem Najśw. Sakrament. Kronikarz wylicza następujące pobudki, które między innemi skłoniły do tego:

1. Odległość pewna domu od kościoła może być łatwo nocą powodem spóźnienia się do chorego.

2. Otwieranie kościoła nocą narazić może na okradzenie go lub napad.

3. Obecność Boskiego Gościa przyniesie Domowi wiele pożytku i błogosławieństwa.

4. Wiele się przyczyni do wzmożenia pobożności, skromności i regularności pamięć na to, że blisko jest Pan.

5. Tak Księżom jak i Alumnom ułatwi to częste odwiedzanie P. Jezusa (str. 59).

Wielkie wrażenie i radość wywołało nawrócenie się w r. 1697 wpływowego obywatela i kupca chełmińskiego, Jakóba Czerwińskiego. Zacięty kalwin, nietylko sam trwał uparcie przy swem wyznaniu, ale i innych współwyznawców do tego zachęcał. Umówił się nawet z nimi, że w razie jakichkolwiek trudności w sprawach wiary lub w niebezpieczeństwię śmierci schronili się do Torunia lub Grudziądza, by tam jako kalwin umierać. Żona, gorliwa katoliczka, bezustannie modliła się z dwiema córkami, zakonnicami w miejscowym klasztorze Benedyktynek o jego nawrócenie. I Pan Bóg wysłuchał ich modlitw. Na rok przed śmiercią, mając już lat siedemdziesiąt, wezwał równego sobie wiekiem X. Godquin i w jego ręce złożył wyznanie wiary (str. 60—63).

W tymże roku 1697 odbył się w Warszawie Konwent prowincjonalny, celem wybrania deputatów na Konwent generalny. Dom chełmiński wysłał jako delegata do Warszawy X. Godquin, tam zaś wybrano jego i X. Augustyna de Monteils na deputatów do Paryża, dokąd podążyli razem z X. wizytatorem Bartłomiejem Tarłą (str. 62—63).

Nie zaniedbał X. Cyboni i pracy misyjnej. Odprawiono za jego superjorstwa wiele misyj po miastach i wioskach, na których, o ile mu tylko inne obowiązki pozwalały, sam chętnie pomagał (str. 71).

W roku 1699, po pięcioletniem osieroceniu, otrzymała diecezja chełmińska nowego arcypasterza w osobie X. Biskupa Teodora Potockiego. Przyjechał do Chełmna w samą uroczystość Zesłania Ducha św., odprawiwszy wprzód tygodniowe ćwiczenia duchowne w warszawskim Domu Zgromadzenia. Aż do wyjazdu na uroczysty ingres do katedry swojej w Chełmży w uroczystość Trójcy św. zamieszkał u Misjonarzy. Uroczystość ingresu niestety zamącona zosłała bitką między licznie zebraną szlachtą, w czasie której zginął spokojny i zacny obywatel Konojacki z Wabcza.

W październiku tegoż roku przenosi O. Generał X. Cyboniego[1] na przełożonego do seminarjum na Zamku w Krakowie, a na jego miejsce przychodzi X. Łukasz Rochon[2], wprowadzony na urząd przez ówczesnego asystenta Domu, X. Pawła Godquina (str. 72).

X. Superjor Łukasz Rochon (1669—1717).[3]

Rozpoczął działalność od szeregu misyj, odprawianych w okolicach Lubawy aż do roku nowego. Na rok ten, rok jubileuszowy, zapowiedział X. biskup Potocki generalną wizytację diecezji. Zaczęła się od katedry, po niej przyszła kolej na parafję chełmińską.

Wizytacja[4] ta sprawiła niemało kłopotów, trzeba było bowiem uporządkować sprawy licznych erekcyj, donacyj, fundacyj, związanych z kościołem. Zwłaszcza ustalenie sum fundacyjnych poszczególnych ołtarzy wymagało mozolnej pracy, gdyż wielu dłużników nawet z nazwiska już nie znano, pieniądze przeszły nieraz na dziesiątego już spadkobiercę, liczne fundacje uległy umniejszeniu, niektóre całkowicie przepadły. Trzeba było dniem i nocą pracować, by sprawy do jakiegoś ładu i porządku doprowadzić.

Wizytacja zaczęła się 20 stycznia, w uroczystość św. Fabjana i Sebastjana. X. Biskup przybył wczesnym rankiem ze Starogrodu i poczekawszy nieco w domu na ukończenie przygotowań, udał się w uroczystej procesji do kościoła, otoczony licznym klerem i mnogą rzeszą ludu z miasta i okolicy, wśród dźwięków muzyki i dzwonów. Kazanie w czasie Mszy św. wygłosił bawiący wówczas w Chełmnie X. wizytator Tarło na temat: „Virtus de illo exibat et sanabat omnes", tłumacząc cel i zadanie wizytacji biskupiej. Po Mszy św. nastąpiło szczegółowe zwiedzanie kościoła i zakrystji, które wy-

---

[1]) X. Jakób Cyboni (Ciboni), ur. 28 lipca 1660 r. w Lublinie, wstąpił do Zgromadzenia 23 kwietnia 1682 r. w Warszawie, złożył śluby św. 24 kwietnia 1684, um. 29 listopada 1728 r. w Warszawie. Por.: Catalogue du Personnel de la Congrégation de la Mission depuis l'origine (1625) jusqu'a la fin du XVIII. siècle (str. 137).

[2]) X. Łukasz Rochon, ur. 18 października 1662 w Lautembergu (?) diecezji chełmińskiej, wstąpił do Zgromadzenia w Warszawie 11 listopada 1785 r., um. 28 kwietnia 1718 r. w Chełmnie. Por.: Catalogue... str. 533.

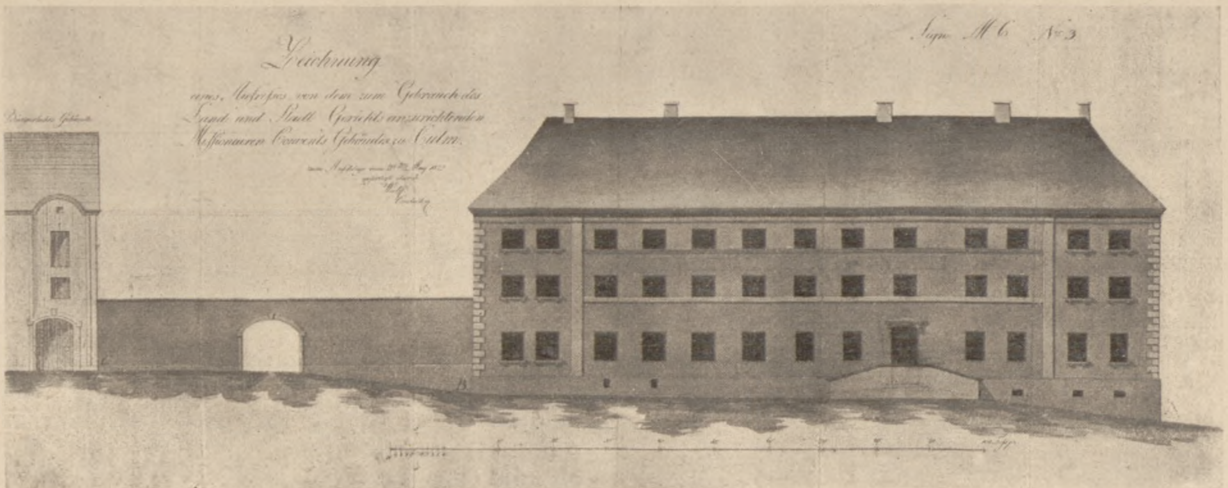
[3]) Diarium... str. 72—200.

[4]) Tamże str. 73—86.

padło ku zupełnemu zadowoleniu X. Biskupa. Następnie odbyła się procesja za zmarłych, a po niej skromny posiłek, w którym z obcych uczestniczył tylko kanclerz X. Biskupa, X. Stanisław Hozius. Dwór swój odesłał X. Biskup na obiad do pobliskiego Starogrodu. Po południu i w dniu następnym udzielał sakramentu bierzmowania. Szczegółowo badał akta poszczególnych fundacyj, przeglądał sprawozdania z ostatnich wizytacyj kanonicznych, wypytywał, jak powstał Dom Zgromadzenia, jaką metodą prowadzą Seminarjum, czego uczą i t. d. Zaprosił także do siebie przedstawicieli parafji, by z ich ust dowiedzieć się, czy są zadowoleni z swych duszpasterzy i widać, że wyrażali się bardzo pochlebnie, gdyż X. Biskup, wezwawszy Misjonarzy, chwalił w obecności tychże przedstawicieli ich gorliwość w pracy duszpasterskiej i wyraził swą radość, że parafjanie z nich bardzo zadowoleni i nic przeciwko nim nie mają.

Badając akta fundacyjne, zwrócił X. Biskup uwagę na zakaz Soboru Trydenckiego łączenia beneficjów z seminarjami i polecił, by postarano się o jak najprędsze zatwierdzenie dokonanych unij.

Misjonarze przedstawili ze swej strony zbyt szczupłe, jak na tak znakomite miejsce, uposażenie kościoła parafjalnego. Skarżyli się też na krzywdę, jaka się dzieje tak kościołowi parafjalnemu, jak i kościołom św. Ducha i św. Jerzego przez to, że grunta ich na podstawie kontraktu, zawartego za X. biskupa Kostki (1574 do 1595), dzierżawi wieczyście miasto za zbyt niskim czynszem, bo za pola wszystkich trzech kościołów daje proboszczowi tylko 250 florenów rocznie. Prosił więc X. Superjor o unieważnienie kontraktu i albo o zwrot dzierżawionych gruntów, albo też o podwyższenie czynszu, powołując się przytem na wizytacje X. biskupa Jana Małachowskiego i X. biskupa Kazimierza Opalińskiego, na których żądano za dzierżawę 150 florenów więcej. Zapytany w tej sprawie magistrat odpowiedział, że o uchwałach owych wizytacyj nic nie słyszał, że większego czynszu nigdy dotąd nie żądano i że gotów jest dopłacać 150 flor., a ponadto 100 flor. jeszcze, mianowicie 50 za drzewo, a 50 tytułem czynszu z Wymiar. Razem więc 500 flor. zobowiązany był wypłacać odtąd corocznie komornik miejski X. proboszczowi w dzień św. Marcina biskupa.


Lage M 6 No 3
Zeichnung
eines Aufrisses von dem zum Gebrauch des
Land und Stadt Gerichts anzurichtenden
Missionarien Convents Gebäudes zu Culm.

Chcąc zapobiec na przyszłość tłumaczeniu się magistratu i parafjan nieznajomością obowiązków względem Kościoła, prosił X. Superjor X. Biskupa, by po wizytacji ogłosił publicznie w kościele odnośne dekrety, co też w sposób uroczysty uczynił, każąc kanclerzowi odczytać je publicznie w swej obecności w kościele. Następnie sam zachęcał do wiernego ich przestrzegania, a Misjonarzom polecił, by kilkakrotnie w ciągu roku przypominali je wiernym.

O jedno jeszcze prosili Misjonarze. W myśl dekretu X. biskupa Opalińskiego miał magistrat dostarczać kościołowi parafjalnemu wina mszalnego i oliwy do lampy wiecznej, czego jednak nie czynił. Na prośbę Misjonarzy przypomniał X. Bisknp miastu ten dekret, nalegając na jego dokładne wypełnianie. Magistrat postanowił odtąd dostarczać corocznie 80 dzbanów wina mszalnego i oliwy, przeznaczając na pokrycie wydatków t. zw. „jatkowe“, podatek płacony przez zamiejscowych rzeźników.

Odżył także z okazji wizytacji kanonicznej zwyczaj, którego dopełnienia dotychczas tak ze strony miasta jak i misjonarzy niepilnowano, wedle którego miasto zobowiązane było trzy razy do roku, na Boże Narodzenie, Wielkanoc i Zielone Świątki dać dzban wina, zwanego „sekt“, na stół proboszczowski. X. Biskup zwyczaj ten magistratowi przypomniał i osobnym dekretem na przyszłość go umocnił, a kronikarz zwraca się do prokuratora domowego z upomnieniem, by odtąd lepiej pilnował jego wiernego zachowania, boć się ma do czynienia z ludźmi twardego karku.

Osobnym dekretem zabronił X. Biskup warzenia piwa w soboty i wigilje świąt, gdyż ku zgorszeniu inowierców piwo to i w najuroczystsze święta rozwożono po domach. Aby zaś uchronić proboszcza od przykrości, dyspenzę od tego dekretu sobie zastrzegł.

Po kościele parafjalnym wizytował X. Biskup kościoły filjalne, plebanję, szpital, szkołę.

Postarano się również na wizytacji o wznowienie dekretów, mocą których luteranie, zamieszkujący parafję, zobowiązani byli płacić proboszczowi katolickiemu t. zw. pogrzebowe, a nauczyciele protestantcy stawić się u niego przed objęciem urzędu. Dekret odrazu wprowadzono w czyn i na wezwanie przybyło na plebanję siedmiu uczących w obrębie parafji nauczycieli, w towarzystwie

dwóch członków rady miejskiej. Zabroniono im głoszenia błędów luterskich, prawienia lub czytania kazań luterskich, a przy pożegnaniu wręczono każdemu katechizm katolicki w języku niemieckim. W sprawie opłat pogrzebowych zgodzono się, by protestanci, których było w parafji około 500, na wzór parafji starogrodzkiej złożyli ryczałtowo 600 florenów, od których odsetki miał pobierać proboszcz.

Przy wizytacji seminarjum zwrócono uwagę X. Biskupowi, że z kapitału fundacyjnego X. biskupa Leszczyńskiego w kwocie 22 tysięcy złp. zdołano po uciążliwym procesie wydostać ledwie połowę, reszta zaginęła. Wielkie również trudności napotyka corocznie ściąganie czynszu z sumy ulokowanej na Gzinie Działyńskiego, co wszystko razem, wziąwszy jeszcze pod uwagę drożyznę utrzymania w mieście, sprawia, że dziesięciu tylko można wychowywać kleryków. Przedstawiona metoda wychowywania zyskała całkowitą aprobatę X. Biskupa.

Koniec wizytacji zamącony został smutnem wydarzeniem. Kleryk pewien, niższe tylko mając święcenia, odprawiał Mszę św., słuchał spowiedzi, głosił kazania. Pochwycony, stanął przed sądem biskupim w Starogrodzie, który go skazał na degradację. Dokonał jej publicznie sam X. biskup sufragan Tomasz Skotnicki, ubrany w czerwone szaty pontyfikalne, co wstrząsające wywarło wrażenie na widzach. Wydany następnie władzy świeckiej, skazany został według ówczesnych surowych praw na śmierć przez ścięcie. Wyrok wykonano nazajutrz poza miastem w pobliżu kościoła św. Jerzego, poczem ciało jego spalono [1]). Rok później zapadł w Chełmnie podobnie surowy wyrok na czterech żydów, którzy, jak na torturach zeznali, okradli 17 kościołów z naczyń świętych i przytem znieważyli Najśw. Sakrament. Mieli ponieść najokrutniejszą śmierć, lecz na prośby Misjonarzy skazani zostali na ucięcie prawej ręki i głowy. Wszyscy przyjęli przed egzekucją chrzest św. [2]).

Przełożeństwo X. Rochona przypada na czas drugiego najazdu Szwedów na Polskę, wywołanego polityką Augusta II [3]). Król

---

1) Diarium ... str. 86—87.

2) Tamże str. 110—113.

3) Por.: Michał Bobrzyński: Dzieje Polski w zarysie. T. II, str. 212—220.

szwedzki, Karol XII, prędko pobił sprzymierzone wojska rosyjsko-saskie i wspierających je nielicznych Polaków, zajął Warszawę, Kraków, zdobył Toruń. W październiku 1702 r. obsadzili Szwedzi Prusy, nakładając na dobra królewskie i duchowne ogromne kontrybucje [1]). Dochody seminarjum tak zmalały, że za zgodą X. Biskupa i Kapituły rozpuszczono na listopad i grudzień kleryków, aparaty zaś kościelne i co droższe sprzęty dla ochronienia ich przed grabieżą umieszczono w Gdańsku. Na szczęście był to rok niezwykle urodzajny tak, że mimo wojny i strasznych spustoszeń chleba nie zabrakło.

Z początkiem r. 1703 zajęły wojska saskie zpowrotem Prusy, dopuszczając się również niesłychanych zdzierstw i okrucieństw. Tymczasem Szwedzi, po zdobyciu Małopolski wrócili, Sasów przepędzili, zaczęli ze swej strony gnębić bezwzględnemi rekwizycjami zrozpaczoną ludność. Na szczęście dla Misjonarzy wielu Szwedów służyło niegdyś we wojsku francuskiem Ludwika XIV. Słysząc, że lud nazywa Misjonarzy Francuzami, zaczęli się do nich z sympatją odnosić i wielu chętnie przychodziło na pogawędkę z X. Godquinem, a nawet najbezwzględniejszy z nich, generalny komisarz do rekwizycyj, Adlerstein, który o sobie mówił, że Bóg go przysłał, żeby jak djabeł gnębił księży i szlachtę, zachowywał się podczas lustracji domu przyzwoicie, powstrzymując się od zwykłych gdzieindziej przekleństw i bluźnierstw.

Gorzej było, gdy na leże zimowe przyszło wojsko litewskie, sprzymierzone ze Szwedami, pod dowództwem Sapiehy, stolnika litewskiego. Dopuszczano się wówczas tak ciężkich grabieży i wymuszań, że Misjonarze, a zwłaszcza obdarzony szczególniejszym darem wymowy X. Bogdanowicz, zaczęli przeciwko temu występować z ambony. I Misjonarze musieli składać kontrybucje, tak z Uścia jak i z posiadłości swych miejskich. Wprawdzie ojciec stolnika, wielki przyjaciel Wileńskiego Domu Zgromadzenia, wstawiał się u syna za Misjonarzami chełmińskiemi, lecz ci jego pośrednictwa nie przyjęli, chcąc wspólnie z miastem dzielić twardy los i by przez umniejszenie im ciężarów, tem większe nie spadły na innych [2]).

[1]) Diarium... str. 113 i n.

[2]) Tamże str. 129.

Pod koniec r. 1704 wrócili Szwedzi z Warmji do Prus [1]). Zaczęły się niebawem nowe zdzierstwa. Misjonarze i tym razem doznali wiele życzliwości ze strony miejscowego komendanta szwedzkiego, majora Duderberga. Gdy gdzieindziej duchowieństwo, zwłaszcza w Toruniu i Grudziądzu prześladowano, za niepłacenie kontrybucji więziono, narażając na przykrości i szyderstwa ze strony swawolnego żołdactwa, Misjonarze chełmińscy wolni byli od szykan, szkoły były czynne, nabożeństwa odbywały się bez przeszkód. Żołnierzy, którzy znieważyli księdza na ulicy, natychmiast karano. Kiedy przez pół roku nie mogli Misjonarze uiścić nałożonej im z Uścia i Dziemian kontrybucji wojennej, wstawił się za nimi u generalnego komisarza, chroniąc przed represjami, a to wszystko czynił bezinteresownie, z czystej sympatji.

Zdarzyło się, że jeden z żołnierzy służących w armji szwedzkiej, zapragnął przed śmiercią przyjąć wiarę katolicką. Misjonarze znaleźli się w trudnem położeniu, gdyż nawracania zakazali Szwedzi pod karą śmierci. Wezwawszy pomocy Bożej, udali się do kapitana owego żołnierza, przedstawiając mu tegoż życzenie. Kapitan, człowiek zacny i religijny, chętnie pozwolenia udzielił, prosząc tylko, by się wstrzymano od wywierania jakiegokolwiek przymusu. Żołnierz wnet po przejściu na wiarę katolicką umarł. Wieść o jego nawróceniu doszła jednak do naczelnego dowódcy tamtejszych oddziałów szwedzkich, pułkownika Thaube, rezydującego w Grudziądzu, który natychmiast wysłał żołnierzy z nakazem jak najsurowszego ukarania sprawców. Misjonarze zwrócili się o pomoc do majora Duderberga, tłómacząc, że mieli pozwolenie kapitana. Złość Szwedów zwróciła się teraz przeciw kapitanowi. Groziła mu surowa kara, ale i tu zacny major wpływami swymi i zabiegami sprawił, że nic mu się nie stało [2]).

Ciągłe rekwizycje wojenne wyczerpały zupełnie zasoby miasta, to też zmuszone zaciągnąć pożyczkę pieniężną na płacenie nowej kontrybucji, nałożonej przez Szwedów, zwróciło się do Misjonarzy z prośbą, aby pod zastaw tejże pożyczki ofiarowali srebra kościelne. Otrzymawszy pozwolenie od X. Biskupa i X. Wizytatora, spełnili

[1]) Diarium... str. 131 i n.

[2]) Tamże str. 131 — 132.

prośbę miasta, zostawiając w kościele tylko to, co niezbędnem było do służby Bożej. Na zabezpieczenie sreber zapisało miasto kościołowi wieś Sosnówkę, której dochody w razie zaginięcia zastawu miały pójść na kościół i to tak długo, dopóki miasto kościołowi podobnych co do ilości i jakości sreber nie sprawiło [1]).

Na dobitek zaczęły grasować w mieście zaraźliwe choroby, przywleczone przez żołnierzy z Warmji. Zwłaszcza w pierwszych miesiącach 1705 r. wymarło wielu wybitnych obywateli Chełmna. Ludzie sąsiednich okolic unikali miasta bojąc się zarażenia. Zwrócono się o pomoc do Boga, urządzano kolejno po kościołach uroczyste nabożeństwa przebłagalne, z kazaniami wzywającemi do pokuty, zarządzono post w całem mieście. Nawet Szwedzi w obliczu strasznej klęski miękli i uczestniczyli w modlitwach. W kwietniu nastąpiło pewne uspokojenie [2]).

Trzynastego czerwca tegoż roku przybył do Chełmna generał Szteynbok, jeden z głównych dowódców wojska szwedzkiego, zaufany doradca króla, i zamieszkał z żoną, trojgiem dzieci i całą świtą, złożoną z osób obojga płci, u Misjonarzy. O wikt starało się miasto. Tak generał, jak i całe jego otoczenie zachowywało się wzorowo. Niewiasty szwedzkie przychodziły razem z domownikami do kaplicy, modląc się w kornej postawie, na klęczkach, z rękami pobożnie założonemi, budząc zachowaniem się ogólny podziw. Także generała zastał razu pewnego jeden z Misjonarzy modlącego się wczesnym rankiem na kolanach w kaplicy Matki Boskiej. Wogóle zachowanie się Szwedów odbijało korzystnie od postępowania żołnierzy innych narodowości, służących w wojsku szwedzkiem. Tak n. p. codziennie, o godzinie 8 rano, a 6 wieczorem gromadzili się na rynku na modlitwę, którą odmawiali klęcząc, z odkrytą głową, bez względu na zimno czy deszcz, czego nigdy nie czynili żołnierze z Pomorza niemieckiego, Saksonji, Rosji. Również o młodocianym królu szwedzkim krążyła jak najlepsza opinja. Mówiono, że pobożny, że jest bezwzględnym wrogiem pijaństwa i rozpusty, podziwiano jego prostotę obyczajów, roztropność, niezmordowaną pracowitość [3]).

---

1) Diarium... str. 133.

2) Tamże str. 133.

3) Tamże str. 126, 136 — 137.

Łagodne i pełne życzliwości traktowanie ze strony generała przypisywali Misjonarze chełmińscy także wstawiennictwu prymasa, X. kardynała Michała Radziejowskiego, wielkiego przyjaciela Zgromadzenia, zwłaszcza Domu Warszawskiego [1]), fundatora Domu Łowickiego, zmarłego 13 października w Gdańsku. Na wieść o jego śmierci urządzili uroczyste nabożeństwo żałobne za jego duszę, zapraszając na nie X. biskupa Szczukę, sufragana chełmińskiego, który celebrował Mszę św., i całe duchowieństwo świeckie i zakonne z dekanatu [2]).

Tymczasem zamęt w kraju rósł coraz bardziej. Czwartego października 1705 r. koronował się na króla Polski Stanisław Leszczyński, wojewoda Poznański, popierany przez Szwedów. Nie cały naród stanął po jego stronie. Powstały więc dwa zaciekłe zwalczające się obozy, jeden do Sasa, drugi do Lasa. Tworzą się bandy łupieżcze, przechodzące z jednego obozu do drugiego, a niszczące kraj na równi z wojskami saskiemi, szwedzkiemi i rosyjskiemi. Przywódcą jednej z takich band był starosta gnieźnieński, Adam Śmigielski. Z początku walczył przeciwko Szwedom, dając im się dobrze we znaki. Ludność chętnie go wspierała, widząc w nim obrońcę ojczyzny przed Szwedami, tem bardziej, że w oddziałach jego panowała zrazu wzorowa karność i nie dopuszczano się grabieży. Zczasem zmieniło się jednak zupełnie i kiedy po walkach na Kujawach i w Warmji przyszli w okolice Chełmna, niczem się już nie różnili od innych wojsk. Torturami wymuszali różne opłaty od wyniszczonych do ostateczności ciągłemi rekwizycjami mieszkańców. Tak n. p. w Niedźwiedziu wieszali ludzi i kołysali nimi jak dzwonami. Niedługo też potem Śmigielski, kiedy go wezwano, aby się poddał głównemu dowództwu wojsk polskich, nie posłuchał, przeszedł na stronę Szwedów, ażeby po pewnym czasie znów wrócić do Augusta II [3]).

Zkolei zjawił się pod Chełmnem sześciotysięczny oddział

---

[1]) Por.: Ks. Leopold Petrzyk, misjonarz: Kościół św. Krzyża w Warszawie. Str. 22, 27, Zgromadzenie wystawiło swemu „Ojcu i Opiekunowi", jak X. Prymasa nazywa Kronikarz, wspaniały grobowiec w kościele św. Krzyża, kosztem 24 tys. złp.

[2]) Diarium... str. 138.

[3]) Tamże str. 140—141.

wojska polskiego pod wodzą Potockiego, wojewody kijowskiego, i rozłożył się obozem na łąkach starogrodzkich między Wisłą a jeziorem Chełmianka, naprzeciw misjonarskiego Uścia. Nastąpiła nowa fala wojennych rekwizycyj, groziło zniszczenie laskowi, należącemu do Uścia. Niespodziewanie przyszedł ratunek. Po procesji Bożego Ciała, w której z licznym orszakiem wziął udział i wojewoda, poprosił tenże, by w przyszłą niedzielę takąż uroczystość. jak w mieście, urządzono i w jego obozie, bo taki był zawsze zwyczaj w obozach polskich. Misjonarze, zasięgnąwszy pozwolenia w Kurji biskupiej, zgodzili się i Msza św. uroczysta wraz z procesją do czterech ołtarzy, ustawionych w obrębie obozu, odbyła się z wielką paradą, wśród grzmotu dział i strzelb i dźwięków muzyki. Duchowieństwo tak świeckie jak zakonne zgromadziło się licznie na tę uroczystość, by przy tej sposobności poprosić o ulgę w rekwizycjach, co mu się też, zwłaszcza Misjonarzom, w części udało [1]).

Niedługo potem, w uroczystość św. Jana Chrzciciela, kiedy tak w obozie jak i na zamku w najlepsze się bawiono, zjawił się nagle i niespodziewanie Śmigielski gotowy do walki, ale cofnął się niebawem, straciwszy zaraz przy pierwszem starciu dowódcę rajtarji. Ofiarą jednak tego napadu stał się Starogród, który na rozkaz wojewody spalono, by w nim nieprzyjaciel nie znalazł oparcia. Ocalał tylko kościół. W święto Nawiedzenia Najśw. Marji Panny kazał wojewoda poświęcić nowe sztandary swych oddziałów, z którymi dnia następnego ruszył do Torunia [2]).

Z początkiem 1707 r. przybyło do Chełmna znów wojsko polskie z nakazem hetmana wielkiego wydobycia z miasta dziewięciu tysięcy złp. Zachowywało się tym razem nienagannie, bez nadużyć. Zajął się niem serdecznie i gorliwie X. Bogdanowicz, za co mu z wdzięczności złożyli w ofierze 150 złp. [3]).

W tymże roku, 13 marca, pojawili się po raz pierwszy Moskale w Chełmnie. Plądrowali i grabili całą okolicę, dwory, mniejsze miasta, jak Bydgoszcz, kościoły, zabierając, co się tylko dało, nawet ludzi do naga rozbierali. I im okrutniejsi byli, tem tchórzliw-

---

[1]) Diarium... str. 141—143.

[2]) Tamże str. 142.

[3]) Tamże str. 147.

szymi się okazywali — powiada kronika — gdy im jakikolwiek opór stawiano. To też miasta większe i obwarowane zostawiali w spokoju.

Dowódca Moskali zażądał od Chełmna żywności na trzy miesiące i to odrazu. By wyjednać jakąś ulgę, wybrali się do niego, do Torunia, Misjonarze. Przyjął ich grzecznie, a gdy miasto wręczyło mu jako honorarjum dwa tysiące tynfów całkiem złagodniał.

Razu pewnego, pijany żołnierz moskiewski, napastujący niewinnych ludzi, uderzony został kamieniem w głowę. Wywołało to ogromne wzburzenie u jego towarzyszy. Żądali wydania sprawcy, a gdy go nie można było wykryć, zabierali się do podpalenia miasta. Ledwie ich udobruchano błaganiem i darami. Z wdzięczności za ocalenie obiecało miasto co roku zamawiać Mszę św. śpiewaną ku czci Matki Najświętszej, w sobotę przed uroczystością św. Stanisława Biskupa [1]).

W październiku tegoż roku zajęli Moskale po raz czwarty Chełmno, grożąc spaleniem miasta i zniszczeniem całej diecezji chełmińskiej za to, że biskup chełmiński, Potocki, stanął po stronie Stanisława Leszczyńskiego. Skończyło się jednak na nowem spustoszeniu województwa chełmińskiego, nowem rabowaniu kościołów i dworów, z których zwłaszcza dwór w Nawrze bardzo ucierpiał.

Ciężkim był więc cały rok 1707, a nowy nie zapowiadał się lepiej. Wprawdzie Karol XII, po pokoju altranstadzkim, w którym zmusił Augusta II do zrzeczenia się polskiej korony, zwrócił się przeciw Rosji, która pokoju tego uznać nie chciała, ale przygotowania do tej wyprawy odbyły się znów kosztem Polski. Taką wprawę okazywali Szwedzi w wyszukiwaniu ukrytej po lasach i polach żywności, że — zdaniem kronikarza — chyba zły duch im w tem pomagał. Jeden z magazynów gromadzonej i grabionej zewsząd żywności znajdował się w domu misjonarskim [2]).

W roku tym, 1708, pojawiły się znów epidemje w Chełmnie i w okolicy, pochłaniając mnóstwo ofiar. Miasto, pamiętając, że przed trzydziestu laty, podczas podobnej klęski, doznało szczególniejszej opieki św. Rocha i św. Fabjana i Sebastjana, udało się

---

[1]) Diarium... str. 151—152.

[2]) Tamże str. 154.

i teraz do nich o pomoc, składając za ogólną zgodą, podczas wotywy ku czci św. Rocha, wobec Najśw. Sakramentu, ślub uroczysty, że odtąd corocznie po wieczne czasy obchodzić będzie, na wzór innych świąt, święto św. Rocha, z poprzedzającym jak najściślejszym postem, połączonym z postem, przypadającym na wigilję Wniebowzięcia Matki Najśw. Odpowiedni dokument, zawierający ten ślub, złożono w archiwum Domu misjonarskiego.

Jako zapowiedź morowego powietrza uważano fakt, że we wrześniu tego roku, niezwykle ciepłym, zakwitły w wielkiej ilości przepiękne róże po ogrodach.

Misjonarze, chcąc jak najlepiej przygotować parafjan na zbliżające się doświadczenie Boże, odprawili w mieście i po wioskach, należących do parafji, nabożeństwa misyjne, dając ludziom sposobność do pojednania się z Bogiem i przyjęcia Sakramentów św.

Celem zmniejszenia niebezpieczeństwa zarażania się, postanowiono za radą poważnych osób, po porozumieniu się z magistratem, grzebać zmarłych nie na cmentarzu kościoła parafjalnego, ale za miastem, przy kościele św. Jerzego.

Do posługi duchownej zarażonym ofiarował się dobrowolnie X. Paweł Kochański, zamieszkując osobno z chłopakiem do pomocy. Przy kościele zostało dwóch innych księży i jeden brat, inni zaś na rozporządzenie X. wizytatora Tarły schronili się na folwarczek Zgromadzenia zwany Łążek (?), skąd obsługiwali wioski, należące do parafji, tego roku zarazą nie dotknięte. Nabożeństwa w niedziele i święta odbywały się w kaplicy św. Wawrzyńca.

Wszystkie te klęski i utrapienia zwiększyła jeszcze nadzwyczaj ostra zima, jakiej oddawna już nie pamiętano. Od samego początku stycznia do 11-go lutego 1809 r. panowały niesłychanie ostre mrozy. Ginęli ludzie w drodze, żołnierze na wartach, zamarzały na śmierć ptaki, zwierzęta po stajniach i oborach. Wisła pokryła się lodem na pięć łokci grubym, wyginęły ryby po stawach, powymarzały zasiewy jesienne. Byłby więc niewątpliwie powstał głód — powiada kronikarz — gdyby P. Bóg nie był pobłogosławił zasiewom wiosennym, które bardzo obficie obrodziły [2]).

---

[1]) Diarium...... str. 156—158.

[2]) Tamże str. 158.

Z końcem stycznia zaczęła zaraza zanikać, tak, że na św. Kazimierza mogli misjonarze powrócić do miasta, ażeby w dniu tym razem z całem miastem na uroczystej wotywie podziękować Bogu za ocalenie. W uroczystość św. Józefa powtórzono nabożeństwa dziękczynne, urządzając procesję do wszystkich kościołów miasta [1]).

Ledwie jednak minęło jedno utrapienie, przychodziły drugie. W maju zjawia się w mieście pułk Rybińskiego pod dowództwem pułkownika Pollensa, wymuszając 30 tysięcy kontrybucji [2]).

W sierpniu nadeszła wieść o klęsce Szwedów pod Połtawą. Niedługo potem przybyli komisarze wracającego do Polski Augusta II. Zaczęły się nowe rekwizycje celem zgromadzenia jak największej ilości żywności w Toruniu, gdzie miał się odbyć zjazd Augusta z carem moskiewskim, który rzeczywiście przyszedł do skutku 8 października t. r. Toruń i całą okolicę po Chełmno zalały liczne wojska, żywione znów kosztem ludności, doprowadzonej już do ostatniej nędzy [3]).

Nadomiar złego zaczęły się szerzyć choroby zaraźliwe, przywleczone przez wojska saskie. W marcu następnego roku, 1710, wybuchła zaraza z większą gwałtownością w Nowej Wsi, wiosce, należącej do parafji chełmińskiej. W ciągu sześciu tygodni zmarło tam przeszło 30 osób. Z pomocą duchowną spieszył chorym przebywający stale na miejscu w czasie zarazy X. Lilienthal.

W kwietniu tego roku zaszły wypadki zasłabnięcia także w samem Chełmnie Odprawiano znów nabożeństwa i procesje błagalne, ale udział ludności nie był już tak liczny jak poprzednio. Ludzie zobojętnieli na wszystko i poddawali się biernie losowi. Tej obojętności przypisuje kronikarz, że zaraza przybrała tak straszne rozmiary, bo P. Bóg, który Niniwitom przebaczył, byłby się i nad nimi zmiłował. Nie pomagały lekarstwa, rozdzielane z wielką ofiarnością przez Siostry Miłosierdzia, ani ucieczka z miasta. Wcisnęła się zaraza i do klasztorów, w każdym zabierając po kilka ofiar. Padły ofiarą swego poświęcenia także trzy Siostry Miłosierdzia wraz z postulantką i kilku służącemi.

---

1) Diarium... str. 159—160.

2) Tamże str. 160.

3) Tamże str. 163.

4) Tamże str. 165.

Opiece nad chorymi zarażonymi poświęcił się znów dobrowolnie X. Kochański. Prócz niego zostało w mieście, jak w r. 1708, dwóch księży i brat do obsługi kościoła. Inni udali się, jak poprzednio, na wymieniony już folwarczek. I byliby się pozostali w mieście z pewnością ustrzegli zarazy, gdyż nie stykali się z chorymi, a żywność otrzymywali z folwarku, gdyby nie to, że pozwolili służbie chodzić po mieście, gdzie jeden z chłopaków się zaraził, a od niego br. Paweł. Obydwaj umarli [2]).

Zmarł także młody misjonarz, X. Kalinowski, dwa dni zaledwie zastępując chorego X. Kochańskiego [3]).

Przez całe trzy lata trwania zarazy nie zmarł ani jeden chory, o ile tylko o nim na czas doniesiono, bez zaopatrzenia. Chorymi w mieście zajmował się wspomniany X. Kochański, po wsiach inny misjonarz, X. Czecierski [4]).

Kronika podaje cały szereg przepisów i wskazówek, jak uniknąć albo przynajmniej zmniejszyć niebezpieczeństwo zarażenia się, Komunję św. podano chorym przy pomocy patyczka, owiniętego papierem, który chory sam palił. Ostatniego Olejem św. Namaszczenia zarażonym nie udzielano. Kapłan, usługujący chorym, by należycie spełnić swe wielkie i święte posłannictwo, powinien być jak najściślej złączony z Bogiem, całkiem się zdać na jego wolę, wyrzekłszy się zupełnie samego siebie, powinien mieć głębokie w sercu przekonanie, że spełnia najmilszy Bogu uczynek, za który od niego obfitą otrzyma nagrodę, czerpać coraz to nowe siły w codziennej Mszy św., wzywać często pomocy i opieki Matki Najśw., Anioła Stróża, św. Rocha i innych Patronów, starać się o pogodne i wesołe zawsze usposobienie, a przytem nigdy nie lekceważyć i najmniejszego niebezpieczeństwa. Nie powinien chodzić ani zbyt prędko, ani zbyt powoli. Przy zaopatrywaniu chorego należy stwierdzić, w którym kierunku wiatr wieje, i tak stanąć albo usiąść, ażeby wiał w stronę chorego. Nie wolno się chorego dotykać ani brać cośkolwiek gołą ręką, ani długo z nim przestawać. Ubranie, trzeba po powrocie do domu wywietrzyć

---

1) Diarium . . . str. 167.

2) Tamże str. 167—168.

3) Tamże str. 168.

4) Tamże str. 168.

i wykadzić dymem piołunowym lub jałowcowym, co czynić należy i przed wyjściem z domu. Zawsze trzeba mieć przy sobie lekarstwo i używać go w ilości przepisanej przez lekarzy, ale unikać należy takiego, co zbyt krew rozgrzewa. Powinno się natomiast używać wedle potrzeby wina ku wzmocnieniu sił i lepszemu trawieniu. Przedewszystkiem jednak trzeba polecić się Bogu, który jest najlepszym lekarzem i lekarstwem, a nie opuszcza tych, co zaufali jego Opatrzności.

Przytacza też kronikarz przepis, zalecany przez ówczesnych lekarzy, do którego sami ściśle się stosowali, zostawiając pielęgnowanie chorych duchowieństwu, zakonnikom i zakonnicom, ujęty krótko w następujący wierszyk [1])

Cito, longe, tarde — — cede, recede, redi.

a po polsku:

To troje zwykło w ludziach powietrze wytracać:
Wnet daleko wyjść, uchodzić i nierychło wracać [2])

Przez trzyletni okres trwania zarazy zmarło w Chełmnie kilka tysięcy osób. Z Misjonarzy zmarł wspomniany już X. Kalinowski. br. Paweł i znany już nam także X. Jerzy Lilienthal. Z największemi pochwałami wyraża się o nim kronikarz. Był to mąż prawdziwie boży, pełen gorliwości i innych cnót, ozdoba Zgromadzenia, a zwłaszcza Domu chełmińskiego, w którym kierował Seminarjum Zewnętrznem z wielkim pożytkiem dla diecezji. Szedł do każdej wyznaczonej sobie pracy z największem posłuszeństwem. Zastępując chorego X. Kochańskiego, zaraził się przy zaopatrywaniu pewnej protestantki i po dwumiesięcznej, pełnej poświęcenia i oddania się pracy odszedł po nagrodę, w uroczystość Narodzenia Najśw. Marji Panny [3]).

Spoczęli Misjonarze wraz z dwiema Siostrami Miłosierdzia,

---

[1]) Diarium . . . str. 168—170.

[2]) Tamże str. 170. Nadto: Zygmunt Gloger, Encyklopedja Staropolska Ilustrowana: Mór w Polsce, t. III, str. 234 i n.

[3]) X Jerzy Lilienthal, ur. 30 kwietnia 1672 r., w Resli, miasteczku na Warmji, przyjęty do Zgromadzenia 13 listopada 1691 r., złożył śluby święte 14 listopada 1693 r., wobec X. M. Ciboniego. Por.: Catalogue du personel de la Congrégation de la Mission. Paris str. 1911.

Polkami i tysiącami parafjan na cmentarzu św. Jerzego. Dwie inne Siostry Miłosierdzia, Francuski, pochowano, według ich życzenia na cmentarzu Franciszkanów [1]).

Wyszedł z życiem z niebezpieczeństwa, choć zapadał na zdrowiu, niestrudzony i nieustraszony opiekun zarażonych przez cały czas trwania epidemji, X. Kochański. Zamiast nagrody, czekała go za to przykra i bolesna niespodzianka. Oskarżono go przed X. Biskupem, że zmuszał umierających do zapisywania legatów na rzecz kościoła parafjalnego i rzadko kiedy zaopatrywał takich, którzy tego uczynić nie mogli, nic nie posiadając. Połowa miasta, domów, pól, dóbr ruchomych i nieruchomych, miała przejść w ten sposób na własność kościoła z wielką krzywdą miasta i spadkobierców. Dowiedziawszy się o tem z ust samego Biskupa, do żywego dotknięci tak niegodziwem oszczerstwem, prosili Misjonarze o podanie nazwisk oskarżycieli, a kiedy X. Biskup tego uczynić nie chciał, o wyznaczenie komisji, którahy sprawę na miejscu zbadała i wyświetliła. Zwrócili się też o wyjaśnienie do rady miejskiej. Wszyscy radni przeczyli, jakoby mieli coś wspólnego z tą sprawą, a dwaj, o których dworzanie X. Biskupa mówili, że to oni właśnie byli temi oszczerczymi donosicielami, gotowi byli nawet przysięgać, że o niczem nic nie wiedzą i nic nie słyszeli [2]).

Wspomnieć tu trzeba o jednym jeszcze Misjonarzu, który wprawdzie zmarł przed wybuchem epidemji, 21 marca 1708 r., lecz także wskutek zarażenia się przy zaopatrywaniu chorego, o wymienionym już dwukrotnie X. Kazimierzu Bogdanowiczu: Obdarzony niezwykłemi zdolnościami, a zwłaszcza nadzwyczajnym darem wymowy, jednaniu sobie serc i prowadzenia dusz, ściągał

---

[1]) Diarium... str. 170.

[2]) X. Paweł Jan Kochański, ur. w Kochaniu, diecezji Płockiej, w r. 1670, przyjęty do Zgromadzenia 1 września 1699 r., złożył śluby święte 2 września 1701 r. wobec X. M. Monmejen. Por.: Catalogue... str. 332. Podaje Księga Pamiątkowa str. 94, jakoby powodem oddania parafji chełmińskiej Misjonarzom było to, że w czasie zarazy inni księża opuścili parafję, a zostali tylko Misjonarze, którzy z konieczności musieli objąć i zawiadywać parafją, Nie ma o tem w Kronice żadnej wzmianki, a podane są całkiem inne powody, o których już była mowa, Por.: Roczniki obydwóch Zgromadzeń, str. 71, r. 1932.

zewsząd gromady ludzi do siebie. Szli do niego, powiada kronikarz, jakby do źródła miodopłynnego, odchodząc uspokojeni i podniesieni na duchu[1]).

Z początkiem 1711 r. zaczęła zanikać zaraza tak, że w lutym ostatnie już zaszły wypadki śmierci[2]).

Nie kończyły się za to rekwizycje wojenne. W sierpniu 1710 r. przeszedł przez Chełmno ośmiotysięczny oddział wojsk moskiewskich, potem przyszły wojska saskie, a za każdym razem nakładano ciężkie kontrybucje[3]).

W r. 1712 znów Moskale nakładają podatki wojenne, które ściągać mieli wyznaczeni do tego komisarze szlachty pruskiej. Misjonarze zapłacili z Uścia za styczeń 23 złp., za maj 82 tymfów, a z wioski Niedźwiedź 370, nie licząc wiktu za trzy miesiące. Po Moskalach przyszli żołnierze Rybińskiego, a we wrześniu wojska litewskie Ogińskiego, ścigającego Sapiehę, starostę bobrujskiego, zwolennika Szwedów[4]).

Rekwizycje powtarzały się i w następnych latach, a na domiar złego spadły jeszcze inne nieszczęścia. Przez cały prawie rok 1713 trwały ogromne wylewy Wisły. Ucierpiała bardzo wioska Niedźwiedź wskutek zrujnowania i zabrania przez wodę znacznego obszaru pól. Trzeciego marca tego roku, w nocy, zerwały fale wał ochronny parafji Fiszowskiej na przestrzeni 80 prętów długiej, niszcząc i zarzucając pola żwirem. Misjonarze udali się z prośbą o pomoc na zabezpieczenie Niedźwiedzia na sejmiki, zgromadzone w Kowalewie i Świeciu. Szlachta przyrzekła poprzeć prośbę na sejmie generalnym w Malborgu. Pojechał tam 23 maja X. Rochon, by pilnować sprawy i po czterotygodniowych zabiegach otrzymał trzy tysiące florenów. Ledwie naprawione szkody, znów zniszczyła wszystko powódź, jaką spowodowała odwilż w czasie świąt Bożego Narodzenia. Straszniejszą jeszcze była w marcu roku następnego. Przez trzy tygodnie żyli mieszkańcy

---

[1]) X. Kazimierz Bogdanowicz, ur. w Warszawie 31 stycznia 1676 r., wstąpił do Zgromadzenia 23 września 1694 r.

[2]) Diarium... str. 172.

[3]) Tamże str. 170, 175 182, 185, 192.

[4]) Tamże str. 181.

Fiszowa w ciągłem niebezpieczeństwie śmierci, a X. Komendatarjusz zamieszkać musiał na chórze kościelnym. Przytem rok ten, 1714, był bardzo nieurodzajny, a na bydło padła zaraza. Ludzie z głodu umierali, obawiano się wybuchu epidemij [1]).

Ciężkie więc były to czasy, w których wypadło X. Rochonowi sprawować urząd Superjora Domu chełmińskiego, i to przez lat siedemnaście przeszło (od października 1699 do 28 kwietnia 1718), a Superjor chełmiński był równocześnie rektorem Seminarjum proboszczem kościoła archiprezbiterjalnego, dziekanem dziekanatu chełmińskiego i przełożonym Szkoły chełmińskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



[1]) Diarium ... str. 191, 192.

„Ciche Ofiary".

Mówią, że lepiej później aniżeli nigdy. Stosujemy dziś te słowa, podając uwagi o dwóch Siostrach, zmarłych w 1927 r. w krótkich po sobie odstępach. Cz. Siostra Pałuska wyprzedziła kochaną Siostrę Jaroń zaledwie o dwa miesiące. Obie należą do grona Sióstr tej prowincji, której dawały zbudowanie przez długie lata. Cz. Siostra Pałuska wychowała całe zastępy Sióstr młodych i dała im pierwsze wskazówki jaką ma być w życiu Siostra Miłosierdzia, rzucając ziarno w te młode, powierzone Jej dusze.

S. Jaroń zaś urabiała te, które miały szczęście być posłane do „Pijar", jak to w utartej mowie zwykle nazywano — i uczyła je również swym przykładem, zajęć Córki Miłosierdzia w praktyce. Wiele, b. wiele możnaby o nich napisać i niezawodnie o niejednem tu przepomniano. Uwagi niektórych Sióstr były prawie zupełnie jednakowe, choć z innych domów nadesłane; to świadczy jedynie o ich prawdziwości, lecz z tego też powodu musiano je streścić, i te, które przyczyniły się do tych wspomnień, niezawodnie to łatwo wyrozumieją.

To pewne, że Ten, dla którego się poświęciły i który był ich jedynym ideałem i celem w życiu — każdą z tych ich cnót nagrodził już im sowicie, a one nie żałują, że dla Niego jedynie cierpiały i pracowały!

Uwagi o Siostrze Franciszce Pałuskiej, urodz. w Żytomierzu d. 8/X 1855 r., zmarłej 26/VIII 1927 r. w Domu Centralnym w Krakowie, licząc lat wieku 72, powołania 44.

Dziwnem się to zapewne wydaje, że choć się pisze uwagi, wspomnienia po śmierci wielu Sióstr, które życiem swojem zbudowanie dawały, to o ś. p. Siostrze Franciszce Pałuskiej, której Zgromadzenie całe tak wiele zawdzięcza, nikt jeszcze takich uwag do druku nie podał. Nie można tu nikogo posądzać, o brak wdzięcz-

ności dla Tej, która ogólnie tak bardzo kochaną była, wiele Sióstr znających Ją bliżej, przysłało różne budujące zapiski, ale każda wyraża zarazem to pragnienie, aby te uwagi innemi jeszcze były uzupełnione. Czekano więc długo, by móc nietylko opisać to, na co własnemi patrzyły oczyma, ale by i o pierwszych latach Jej życia zebrać jakieś szczegóły; to jednak okazało się daremnem.

O Jej młodości, tyle tylko można było się dowiedzieć, że bardzo młodo straciła matkę, a wychowaniem Jej zajęli się dziadkowie, ludzie bardzo pobożni. Mała Frania chodziła codziennie z babcią na Mszę św., czyniła to z wielkiem upodobaniem, a gdy podrosła, wszystkie wolne chwile spędzała u stóp utajonego w Przenajświętszym Sakramencie Boga. Mówił o niej pewien kapłan, który miał sposobność widywania Jej w tych chwilach, że jak Panna Pałuska się modli, to można armaty prowadzić przez kościół, a ona tego nie zauważy. Nie brakło zdaje się Frani ciężkich przejść w zaraniu życia, w nich nabierała hartu i zamiłowania cierpienia, jakiem się odznaczała przez całe życie. Ojciec Frani, którego kochała bardzo, był prawosławnym, ożenił się powtórnie, a ta druga żona jak i jej trzy córki, trzymały się zawzięcie cerkwi prawosławnej. To może było powodem, że Frania po stracie jedynego rodzonego brata, opuściła dom rodzinny i przyjęła posadę nauczycielki prywatnej. W rodzinie do której się dostała, była nadzwyczaj kochana i dużo dobrego zrobiła swojej uczenicy. Myśli jednak i pragnienia Panny Franciszki ulatywały wyżej, nawrócić ojca i jego rodzinę, choćby ceną największych ofiar, to zdaje się, było celem Jej życia i może poddało myśl wstąpienia do Zgromadzenia.

Wiele miała trudności do zwalczania, ale umiała je pokonać, jednak Bóg nie dał Jej szczęścia nawrócenia ojca, umarł w prawosławiu, był to najcięższy krzyż Jej życia i tem tylko się pocieszała, że między ostatniem tchnieniem człowieka a wiecznością, jest dosyć czasu dla Boga do zbawienia duszy. Wszelkie jest prawdopodobieństwo, że ufność Jej nie była zawiedziona. Siostry Jej przyrodnie złożyły wszystkie wyznanie wiary, a jedna poświęciła się Bogu. Gdy Panna Franciszka zapukała do furty SS. Miłosierdzia na Kleparzu i została przedstawiona nieodżałowanej pamięci Cz. Siostrze Wizytatorce Juhel, ta zapytała młodą aspirantkę, z jakiego przychodzi Zgromadzenia, tak Ją uderzyła postawa

skromna i skupiona Panny Pałuskiej. Przyjęta do Zgromadzenia w sierpniu w roku 1883, została po paru miesiącach Seminarjum wysłana na dokończenie tegoż do Paryża. Nie mamy bliższych szczegółów z tego czasu, jeden tylko utkwił nam w pamięci, że musiano tam liczyć na Jej sąd i zdanie, bo jak wymówiła się mimo woli, była zapytywana przez Cz. Siostrę Vérot. dyrektorkę Seminarjum, kiedy ta chciała się dowiedzieć, jak się seminarzystki zachowują, gdy zostają bez nadzoru? W r. 1884 młoda Siostra powróciła do Krakowa do Domu Centralnego, by w nim całe swoje przepędzić życie.

Każdy człowiek jak posiada jakąś główną charakteryzującą go wadę, tak i posiada również jakiś dodatni przymiot, który jest tłem jego charakteru. Św. Wincenty wiele posiadał cnót, ale historyk Jego życia mówi, iż główną było naśladowanie Jezusa Chrystusa, a cóż było tą główną charakterystyczną cnotą Siostry Pałuskiej? Za przykładem swego Błogosławionego Ojca, wpatrzona w Boski wzór Jezusa Chrystusa powiedziała za Nim: „Pokarmem moim pełnić wolę Twoją Ojcze", a że ta wola Boża dla każdej Córki Miłosierdzia streszcza się w tych słowach: „Jeżeli chcesz iść za mną, weź krzyż swój na każdy dzień" i nieść go ochotnie, pogodnie aż na szczyt Kalwarji, więc też Siostra Pałuska ujęła go oburącz, przycisnęła do serca i ukochała całą duszą. Zamiłowanie krzyża, cierpienia w cichości i milczeniu, to cnota charakterystyczna tej duszy wybranej. Żyjąc i pracując przez długie lata, mówi pewna Siostra obok Siostry Pałuskiej, miałam sposobność obserwować Ją zbliska, w chwilach bardzo ciężkich Jej życia, bo Bóg widząc szczerość Jej ofiary, nie szczędził Jej upokorzeń, obejścia, nieraz bardzo przykrego, od najmniej do tego powołanych; od takich, którzy jej wszystko w życiu zawdzięczali. Mówiono czasem, że ma charakter tak bierny, że nie odczuwa tych uderzeń, mylne to było zdanie, jaką toczyła wtedy walkę, można to było poznać po niezwykłym rumieńcu, jaki odmalowywał się na Jej obliczu, a oczy Jej przybierały wyraz zdziwienia, a czasem w nich i łza zabłysła, wyciśnięta nie żalem z doznanej krzywdy, czy zniewagi, ale myślą, że Bóg był obrażony. Nie pojmując wówczas wielkości heroizmu Jej cnoty, stawałam ostro w Jej obronie, nie kryjąc, że nie rozumiem Jej postępowania. Jedną zawsze usłyszałam odpowiedź, daj

im spokój Siostro, przecie chcą dobrze, czy ich wina, jeżeli się mylą, jesteśmy takiemi, jakiemi jesteśmy wobec Boga, Bóg kocha tych, którzy nam mimo woli źle robią i my ich kochajmy. To zamiłowanie cierpienia, krzyża, posunęła do ostatecznych granic, każda praca ciężka, wstrętna dla natury, której nikt podjąć nie chciał, czy nie mógł, stawała się Jej udziałem, nie spoczęła nigdy po nocach, spędzonych na czuwaniu, lub strawionych na znoszeniu cierpień nieznośnych, które sprawiały, że tygodniami do łóżka położyć się nie mogła, o tem nikt nie wiedział, bo o 4-tej była zawsze na swojem miejscu w kaplicy, gotowa po modlitwie znów do najcięższej pracy. Pożywienie Jej było tak niewystarczające, iż mówiono nieraz, że Siostra Dyrektorka cudem żyje. Dla Niej wszystko było dobre, a właściwie Ona nic nie potrzebowała, dyskusji nie było, żądza cierpienia i krzyża trawiła Ją, niszczyła przedwcześnie Jej siły, prośby nie pomagały, Boski Jej wzór cierpiał więcej, a prawdziwa Córka Miłosierdzia ma życiem cierpienia pozyskać palmę męczeństwa. O jak Jej palma była piękna, złożona z tylu upokorzeń i cierpień, o których wiedział tylko sam Boski Oblubieniec!

Ale czas powrócić do przerwanej historji Jej życia. Po powrocie ze Seminarjum, Siostra Pałuska była początkowo pod imieniem Siostry Wincenty umieszczona w urzędzie zakrystjanki. Urząd ten odpowiadał Jej pobożności, lubiła o nim wspominać, musiała go spełniać bardzo budująco, kiedy na Nią skierowali oczy Przełożeni Prowincji, gdy ciężko chorej dyrektorce Siostrze Starowiejskiej, trzeba było dać pomoc. W r. 1885 poszła więc Siostra Pałuska do Seminarjum jako poddyrektorka na to, by po śmierci Siostry Starowiejskiej, objąć urząd dyrektorki. Znowu Bóg tylko jeden wie, jak wielką to dla Niej było ofiarą; pokorna, niedowierzająca sobie, obawiała się wielkiej odpowiedzialności włożonej na Nią; sądziła nieśmiało, a sądzić trzeba było, i to też było źródłem udręczeń dla Jej duszy. Zrozumiawszy jednak, że w tym urzędzie, wola Boża dla Niej, całem oddała mu się sercem i to przez przeciąg lat 25-ciu. Siostra Pałuska nie miała daru wymowy, instrukcje Jej mozolnie opracowywane nie porywały, ale słuchano ich chętnie, bo wszystko co mówiła stwierdzała czynem, a przykład zastępował wymowę. Kochając Zgromadzenie nad życie, pragnęła

gorąco, by każda seminarzystka odpowiedziała świętości swego powołania. Nie ma jej bez ducha modlitwy, skupienia, milczenia, wierności Regule św., ciężka to nauka dla osoby przychodzącej ze świata, ale wzór Dyrektorki był tak wymowny, że się szło za nim mimo wstrętów natury. Widziały, jak Siostra Dyrektorka codziennie już przed 4-tą była na nogach, by dopilnować dzwonienia i budzenia, jak potem już w kilka minut wybiegała z dormitarza, by otworzyć wszystkie drzwi i w tem wyręczyć Siostry furtjanki, a zarazem być pierwszą w kaplicy. Tu, klęczała zawsze nie opierając się, nie kryjąc rąk pod chustkę nawet w czasie największych mrozów, to też biedne Jej ręce często wśród zimy ranami się pokrywały. Wierność Jej ćwiczeniom duchownym była nadzwyczajna, zawsze kierowana duchem wiary, stawiała się na każde wezwanie dzwonka, i nic Jej zatrzymać nie mogło.

Pobożność Siostry Dyrektorki była głęboka, gruntowna, ale prosta; Ewangelja, katechizm, prawdy wiary, wystarczyły Jej, i były źródłem, z którego czerpała pokarm duchowny tak dla siebie jak i dla drugich. Nie widziało się w Jej ręku tych książek, które rozbudzają tkliwą uczuciowość, rozniecają ogień słomiany, a nie posuwają duszy na drodze obowiązku i ofiary, tępiła je bez litości, mówiąc, że w tem nie znajdzie się ducha św. Wincentego. Siostra Dyrektorka nie przeciągnęła nigdy modlitwy o jedną minutę dłużej, jak zaleca reguła, przerwać ją w chwili, kiedy Pan Jezus spoczywa w duszy, a może i oczom ciała się odsłania, to ofiara wielka, korzystała z niej skwapliwie, ale za to, w dniach wielkich świąt, w czasie Wystawienia Przenajświętszego Sakramentu, kiedy obowiązek nie odwoływał Jej gdzieindziej, widywałyśmy Ją klęczącą nieruchomo, nietylko godziny całe, ale dnie całe. Wpatrzona w Hostję białą, widziała tam niebo i ta niema kontemplacja była Jej szczęściem. Jedno jeszcze rodzinne ukochała nabożeństwo, to nabożeństwo do Marji Niepokalanej; z jakąż gorliwością szerzyła Cudowny Medalik. Marja odpłacała Jej za to szczególną opieką nad seminarzystkami. Pewnego razu narzucono Siostrze Pałuskiej seminarzystkę, bardzo nieodpowiednią pod każdym względem, było to w oktawie Niepokalanego Poczęcia; młoda Siostra przyszła powiedzieć Siostrze Dyrektorce, że widocznie Najśw. Panna nie chce jej w Zgromadzeniu, bo ile razy wchodzi do kaplicy, tyle razy

figura Marji wyciąga rękę i drogę jej zagradza. Nie można twierdzić, by prawdziwie dział się taki cud, ale pewnem jest, że Marja sama ułatwiła sprawę wydalenia osoby, która swoją obecnością mogła Zgromadzeniu krzywdę wyrządzić.

Po modlitwie rannej, szła Siostra Dyrektorka do pracy, a jak wspomniałam, ciężka była to praca. Trzeba było codziennie przez długie lata przygotować dwie instrukcje, a w czasie małych rekolekcyj, tak nowych Sióstr, jak i tych, które się gotowały do I-szych ślubów, aż cztery; trzeba było przyjmować i pouczać każdą seminarzystkę z osobna, trzeba było prowadzić wiele urzędów w domu, powierzonych Siostrom z Seminarjum. Siostra Dyrektorka była wszędzie osobiście, nie dała żadnej pracy w ręce młodej Siostry, dopóty sama nie wypróbowała jej ciężaru, bo nikogo nie obarczała nad siły. Siostra Pałuska z równem staraniem uczyła seminarzystki, jak korytarz zamiatać, jak ścierkę wykręcić, jak jarzynę obierać, jak w piecu napalić, jak władać żelazkiem, jak to czyniła, gdy uczyła odprawiać ćwiczenia duchowne, bo w służbie Bożej nie ma nic małego [1]). W tych ciężkich domowych pracach, zostawiała dla siebie największą cząstkę, to też przykład Jej dziwnie pociągał i działał. Szłyśmy do pracy, jak żołnierz do boju, wyrywając jedna drugiej co cięższe, co trudniejsze, z tą tylko różnicą, że żołnierz lubi walczyć pod okiem wodza, a my w pracy unikałyśmy oka Siostry Dyrektorki, bośmy wiedziały, że gdy dojrzy nasze wysiłki, usunie nas zręcznie i sama zajmie nasze miejsce. Na nasz protest jedną zawsze miała odpowiedź: „niech Siostra już od-

---

[1]) Gdy było szorowanie w domu, zawsze uczestniczyła w tej pracy, ze szczotką w ręku, i doglądała wszędzie seminarzystek, czy wykonują to jak należy. Ileż to razy, korytarze nasze i izby w Domu Centralnym, począwszy od II piętra, aż do t. zw. szklanego korytarza, były tego świadkami jak i Siostry tamtędy przechodzące. Podczas 40-godzinnego Nabożeństwa wieczorem, gdy ludzie już opuścili kaplicę, Siostra Dyrektorka udawała się tam śpiesznie wraz ze seminarzystkami, aby umyć i oczyścić należycie posadzkę i ławki i tak na następny poranek, przyprowadzić znowu dom Boży do porządku. Gdy już została asystentką, udało się Jej czasem w wigilję większych Świąt, pomóc do szorowania w kaplicy, a że ten urząd do Niej należał, więc Siostry nie śmiały Jej się w tem sprzeciwiać. Siostry przybywające na rekolekcje do Domu Centralnego, kilka razy Ją przy tem zajęciu zastały i odnosiły stąd wielkie zbudowanie.

pocznie, bo zmęczona, ja to co innego, żelazne mam zdrowie i nic mnie nie męczy". Trudno było uwierzyć w to żelazne zdrowie, ale choć z bólem serca, a często i ze łzami ustąpić trzeba było Jej usilnym naleganiom, a nawet rozkazowi. O! bo Siostra Dyrektorka twardą była jedynie dla siebie, dla drugich miała tylko miłość i wyrozumienie. O Jej wielkiej miłości świadczą jednogłośnie wszystkie uwagi przysłane przez Siostry, na słabości i nędze ludzkie miała wyrozumienie bezgraniczne, trzciny nadłamanej nie dołamała, ale podniosła i wlała w zbolałą duszę to przekonanie, że jeszcze dobrą być może. Wiele też dusz zawdzięcza Jej miłości wytrwanie w powołaniu. Zarzucano Siostrze Pałuskiej zbytnią pobłażliwość, ale niesłusznie, złe zawsze złem nazwała i walczyła z niem odważnie, tylko, będąc sama bardzo dobrą, nie mogła długo uwierzyć w złość ludzką, na przekonanie Jej, trzeba było wielu dowodów. Często nam młodszym mówiła „nie sądźcie łatwo, bo łatwo pomylić się możecie, Bóg jeden jest Sędzią nieomylnym" i do Niego udawała się po światło. Raz przekonana, umiała być stanowczą a nawet surową.

Siostra Dyrektorka, która zawsze była zdrową, to znaczy, że nigdy o sobie i o swojem zdrowiu nie myślała, drugich otaczała troskliwością nadzwyczajną, wieleż nocy bezsennych spędziła przy łóżku swoich ukochanych seminarzystek, albo na infirmerji, przy Siostrach kornetowych, bo każda Siostra chorobą dotknięta, stawała się, jakby własnością Siostry Dyrektorki; pocieszać ją, pielęgnować, było potrzebą Jej prawdziwie macierzyńskiego serca. Umiała przemyśleć, czem może dogodzić, czem przyjemność sprawić, jak osłodzić gorycze cierpienia, nietylko zachętą do znoszenia go dla Boga, ale miała zawsze cały zasób słodyczy, które chowała dla chorych. Wieleż to razy sama mocno cierpiąca, potrafiła przejść parę pięter, by tej, lub tamtej kaszlącej Siostrze, zanieść cukierka. Sama, miłości pełna, nie znosiła, by kto ranił tę królowę cnót wszystkich i za św. Wincentym powtarzała nieraz, że Siostra, siejąca niezgodę, wykraczająca przeciw miłości, spełnia rolę szatana i na jej ukaranie piekła za mało. I w tem przykład Jej oddziaływał, Seminarjum całe jedną jakby duszą było ożywione, kochałyśmy się prawdziwie w Bogu i dla Boga, a jeżeli co ludzkiem jest, nieporozumienie jakie wcisnęło się między nas, to na wzór tej,

która nam przewodniczyła, chętnie się zniosło, przebaczyło, zapomniało. Jeżeli kogo otaczała miłością, to te Siostry, które Bóg Jej dawał do pomocy w pięknej Jej pracy. Jak bardzo byłyśmy szczęśliwe w Seminarjum, pisze jedna z nich, przejęte tem przekonaniem, że niema piękniejszego urzędu w Zgromadzeniu, bo niema drugiego, tyle wymagającego poświęcenia, zaparcia; nie tęskniłyśmy za dziełami, ofiarę z nich przekładając ponad wszystko. Czułyśmy się bardzo swobodnie, Siostra Dyrektorka opierała swą miłość na silnym fundamencie pokory; że pokorną była, to dowód najlepszy, iż znała swe braki i umiała w tem, czego Jej nie dostawało, dać się zastąpić. Nietylko to Jej nie raniło, ale szczęśliwą się czuła, gdy pomocnice Jej zdobywały miłość i zaufanie seminarzystek. Pozwalała nam działać, nie krępowała naszej inicjatywy: owszem podnosiła ją. Zebrane nieraz wieczorem w czasie rekreacji w Jej izdebce, mówiłyśmy sobie, czy właściwie zasłużymy na niebo, kiedy nam tak dobrze w Seminarjum jak w niebie. Miłością swą otaczała Siostra Dyrektorka nie tylko za życia, ale i przy śmierci, nie opuszczając nigdy Sióstr konających, modliła się przy nich do ostatniego tchnienia, a potem modliła się za ich dusze, oddając każdej osobiście ostatnie posługi. Czyniła to zawsze z wielkiem duchem wiary, szacunkiem i powagą. Sama ubierała Siostry zmarłe, sama układała je do trumny i czuwała na tem, by dniem i nocą modlono się przy nich. Każdą zmarłą odprowadzała do furty, ale rzadko szła na pogrzeb, bo z domu nie wydalała się nigdy, gdyż rozumiała to dobrze, że obowiązek Jej jedyny, to ciągła obecność przy seminarzystkach. Spełniała zawsze i ciągle ten obowiązek to też nie widziano nigdy Siostry Dyrektorki ani na żadnych imieninowych obiadach, czy podwieczorkach, czy to jubileuszowych, czy I-szych ślubów. Życzliwość, pamięć, okazała zawsze, ale poszła złożyć życzenia w godzinach rannych i zabawiwszy chwileczkę, prędko wracała do swoich zajęć.

Z pokorą i miłością łączyła wielkie zamiłowanie ubóstwa; nie widziano, by Siostra Dyrektorka włożyła coś nowego na siebie, w magazynie seminaryjskim nabywała swoje ubranie, to jest, brała rzeczy dobrze już podniszczone przez Seminarzystki, i tu znowu nie było dyskusji. Rzeczom tym przybywało na wadze, tyle dostawały sztuczek i łatek, ale wszystko było czyste i porządne.

Dla drugich miała wszystko i czuwała nad tem, by Siostry miały hojnie zaopatrzone wszystkie potrzeby, ale nie ponad zwyczaj. A te kochane zwyczaje Zgromadzenia, jakżeż je troskliwie przechowywała! Mówiła, że ubóstwo ma być zawsze zachowane w granicy przyjętych zwyczajów i dla tego kupowała najlepsze materjały, by nie tracić niepotrzebnie czasu, na ciągłe naprawki i materjał taki, jakiego używano w Domu Macierzystym, bo przypominała, że jednostajność dopomaga do zachowania ubóstwa. Nie wyrzuciła i skórki chleba, a trzeba było chować niedopałki zapałek, by niemi od jednej lampy zapalić wszystkie. Pilnowała, by światło było zgaszone na czas, sama codziennie schodziła z latarką do piwnic, by pozamykać wszystkie gazometry. Zamiłowanie ubóstwa posuwała tak daleko, że lata całe cierpiała bardzo na zęby, a nigdy nie poszła do dentysty, bo to kosztuje, a dla niej, szkoda wydatku. Po Jej śmierci, nic nie znalazłyśmy w Jej rzeczach, co można by było schować na pamiątkę, prócz paczki starych obrazków. Pięknego, drogiego, nikt od niej nie dostał przez całe życie i wiele razy przypominała to Siostrom czyniącym pierwsze śluby, by nie wydawały pieniędzy na kupowanie drogich obrazków, bo to się sprzeciwia ubóstwu. Jedna jeszcze cnota jaśniała w Siostrze Pałuskiej, to wielkie uszanowanie dla Władzy, które sprawiało, że ulegała zawsze bez krytyki cokolwiek ją to kosztowało i otaczała Władzę serdeczną życzliwością. Dla Siostry Wizytatorki Juhel, którą kochała jak matkę, była z poświęceniem bez granic, czego dała najlepszy dowód w ostatniej Jej chorobie. Siostra Dyrektorka noce całe spędzała przy umierającej, której nikt tak dogodzić nie umiał, jak Ona. Śmierć Siostry Juhel była ciężkim ciosem dla Siostry Dyrektorki, 21 lat przepędziła pod Jej kierownictwem i czerpała z zasobów Jej doświadczenia, obie oddane jedynie Bogu i obowiązkowi, rozumiały się dobrze i wspierały wspólnie. Od tej chwili, trzeba było iść w dalsze życie, o własnych siłach, a to, dla Siostry Dyrektorki ciężkim było krzyżem. Ale krzyż, im cięższy, tem droższy był dla tej miłośnicy cierpienia; zwróciła się z równą życzliwością i uległością do Siostry Zaleskiej, która zajęła miejsce zmarłej Wizytatorki. Zdaje się, że od tej chwili, Siostra Dyrektorka bardziej jeszcze jeżeli to możliwe, oddała się swemu urzędowi, może przeczuwała, iż wkrótce trzeba go będzie opuścić.

W marcu 1907 r. Siostra Pałuska została zamianowaną Asystentką Siostry Zaleskiej. Trudno sobie wyobrazić żalu młodych Sióstr, gdy posłyszały, że mają utracić swoją ukochaną Dyrektorkę. A ten żal powiększał się, widokiem Jej smutku. Pierwszy raz w życiu Siostra Dyrektorka nie mogła zapanować nad swemi uczuciami, przez kilka dni łzy nie przestały płynąć z Jej oczu, a nie chcąc, jak mówiła, dawać zgorszenia, zamknęła się w swojej izdebce i dopiero po heroicznej walce, jaką stoczyła sama ze sobą ukazała się swemu otoczeniu, spokojna i uśmiechnięta jak zwykle. Inne zupełnie życie zaczęło się od tej chwili dla Siostry Pałuskiej. Urząd Asystentki choć drugorzędny, ale wymaga wielkiego taktu, delikatności, poświęcenia, zaparcia się siebie. Wszystkie te przymioty posiadała Siostra Asystentka. Pełna uszanowania i poświęcenia dla Siostry Zaleskiej, robiła zawsze ofiarę ze swego zdania, a choć wielka znajomość Sióstr sprawiała, że wiedziała iż się czasem mylono, nigdy tego nie okazała i nie pozwalała, by się do Niej zwracano ze skargą. Chętnie podejmowała każdą misję trudną, nieprzyjemną, upakarzającą, by tylko oszczędzić trudu i przykrości Siostrze Wizytatorce, Z tego powodu często wyjeżdżała z Domu Centralnego. Każdy Jej wyjazd powodował wielki smutek. W domu, Siostry należące do Jej urzędu, a szczególniej Siostry Staruszki czuły się wówczas prawdziwie osierocone. Ale bo też Siostra Asystentka prawdziwie matką im była. Jakąż miłością, wyrozumieniem, otaczała schorzałe na ciele i na duszy nieraz Siostry, które po latach pracy i znoju, powracały do Domu Centralnego, by tam w ciszy i spokoju gotować się do przejścia do wieczności. Nic cierpliwości Siostry Asystentki z jaką je przyjmowała w każdej chwili, zachwiać nie potrafiło, a jeżeli, która z nas, chciała Jej czasem oszczędzić trudu i nie dopuścić, by Jej przeszkadzano, mówiła z wyrzutem; „Dajcie im spokój, przecież ja jestem na to, by im służyć i dogadzać, one takie biedne". Do Siostry Asystentki należał urząd kaplicy; z jakimże duchem wiary, z jaką radością nim się zajmowała! Codzień zaglądała wszędzie, czy wszystko w porządku. Sama wycinała komunikanty, a czyniła to z prawdziwą pobożnością. W żadnym zakątku kaplicy nie znalazło się najmniejszego pyłu, bo nie byłaby tego zniosła, wielka miłość Siostry Asystentki dla Jej Boskiego Mistrza, utajonego

w Przenajświętszym Sakramencie. Z miłości tego Boga tak upokorzonego i wyniszczonego, Siostra Asystentka nie przestawała sama wyniszczać się i upokarzać, a choć zdrowie Jej słabło widocznie, brała tak jak dawniej w Seminarjum, udział we wszystkich wspólnych pracach. W każdej wolnej chwili biegła do pralni, by pomagać Siostrom w prasowaniu. Od tego zajęcia oderwać Jej nie można było, chciała dać przykład i z upodobaniem wspominała, jak Jej ukochana Wizytatorka Siostra Juhel, mimo wieku i nawału pracy przynajmniej w rekreacje szła do pralni, by Siostrom dodać odwagi do tej pracy i pokazać, że i ona jeszcze prasować nie zapomniała. Zdarzało się, że Siostra Asystentka zemdlała, trzeba było odprowadzić do domu, ale nie na to, by choć chwilę spoczęła, a Siostrom, które się troszczyły o Jej zdrowie odpowiadała: „dajcie spokój, nie zajmujcie się mną, przecie to nie wypada z Asystentki robić chorą i brać rzeczy przesadnie". Siostra Asystentka miała polecone przyjmowanie postulantek; cieszyła się, gdy mogła dla Zgromadzenia zdobyć jaką dobrą duszę, a te często mówiły potem, jak już zostały Siostrami, że rozmowa z Siostrą Asystentką i Jej widok, utwierdził je w powołaniu. Myślały sobie, że jeżeli są Siostry w Zgromadzeniu, które robią takie wrażenie świętości, to warto do tego Zgromadzenia wstąpić. Kiedy wybuchła straszna wojna światowa, Siostra Asystentka mimo swoich zajęć, chciała osobiście usługiwać rannym, których umieszczano w Domu Centralnym. Jej znajomość języka rosyjskiego osładzała niewolę i cierpienia jeńców rosyjskich; cieszyli się, że mają Siostrę, która ich rozumie i dogadza, o ile to było możebne, bez obudzenia podejrzeń ze strony komendy austrjackiej. Cierpienia powodowane wojną nie były jedynemi, które wówczas przygniatały Siostrę Asystentkę. Czcigodna Siostra Zaleska coraz częściej zapadała na zdrowiu i lekarze orzekli, że serce Jej tak wyczerpane, iż każde wzruszenie lub zmartwienie może spowodować katastrofę. Od tej chwili Siostra Asystentka wszelkich dokładała starań, by od Siostry Wizytatorki oddalać wszystko, co Ją mogło dotknąć, z wielką delikatnością ostrzegała Siostry, które przychodziły do Siostry Wizytatorki, by nie wspominały o tem co przykre, co bolesne, by żadna nie potrzebowała sobie wyrzucać, że się stała choć mimowolnym powodem nieszczęścia. Wszystkie te

środki ostrożności daremnemi się okazały, bo 5 kwietnia 1916 r. Pan Jezus zupełnie niespodzianie powołał do siebie Siostrę Wizytatorkę. Siostra Pałuska choć spokojna i opanowana jak zwykle, podwójnie odczuła tę stratę, zdawała sobie sprawę, że choć chwilowo, cały ciężar odpowiedzialności spadnie na Jej barki, a choć tego obawiała się bardzo, to jednak Najczcigodniejszy Ojciec Słomiński, wobec zebranych wszystkich Sióstr Domu Centralnego, ogłosił Ją zastępczynią Wizytatorki. Ona kornie uchyliła głowę. Przez 4 miesiące, Siostra Pałuska stała na czele prowincji; obawy Jej topniały pomału, była tak kochana, że nikt przykrości Jej sprawić nie chciał, każda chętnie stosowała się do Jej zaleceń. Dobrze było nam z Nią bardzo, ale Ona w swojej pokorze, uznając się niegodną tak odpowiedzialnego stanowiska, błagała ciągle Boga, by przysłać raczył jak najprędzej tę, której miejsce zajmowała chwilowo. Z jakąż radością powitała nominację Siostry Wizytatorki Czarlińskiej, wszystko przygotować dla niej, a samej w cień się znów usunąć, było Jej jedyną troską. Teraz rozpoczął się dla Siostry Asystentki okres życia, w którym najwyższe, blisko niej stojącym, dała zbudowanie. Ona, która tak do gruntu znała prowincję i każdą Siostrę z osobna, bo każda przeszła przez Jej ręce, zastosowała się zupełnie do rozporządzeń nowej Wizytatorki, nigdy, choć była odmiennego zdania, nie okazała otoczeniu swemu choćby najmniejszego niezadowolenia. Rady swej udzielała chętnie, ale jak ta przyjętą nie była, Siostra Pałuska już więcej do sprawy nie wracała. Znając dobrze Jej zapatrywania, podziwialiśmy, jak umiała zaprzeć się swego sądu i zdania, a zawsze utrzymać powagę władzy. Ciężkie prace fizyczne, którym oddawała się zawsze, a cięższa jeszcze praca i walka wewnętrzna, w której nie ustawała nigdy ani na chwilę, wyczerpywały Jej siły i zdrowie, słabła z dnia na dzień, nie mogła spełniać niektórych obowiązków przywiązanych do Jej urzędu i to skłoniło Przełożonych Prowincji, do złożenia Jej z niego. Siostra Pałuska przyjęła tę decyzję ze zwykłem swojem poddaniem i spokojem, choć to odsunięcie od pracy, przy której pragnęła trwać do ostatniej chwili, ciężkiem było dla Niej doświadczeniem. Od tej chwili, przez lat parę Siostra Pałuska szła codzień, jak mówiła: „na zarobek“, to znaczy, że ofiarowywała się pokornie do pomocy w jakim urzędzie, w któ-

rym wiedziała, że pracy wiele. Wszędzie była witana radośnie, już nie ze względu na to, że pomoc niosła, ale razem zbudowanie wielkie. Nikt, patrząc na Siostrę Pałuską nie domyślał się, ze przez lat 35 pozostawała na najważniejszych stanowiskach w Zgromadzeniu, że była tak zżyta z prowincją i we wszystkie jej sprawy; nikt nigdy nie dowiedział się od Niej, że wie coś więcej, jak obecne jej otoczenie. A gdy Ją naglono pytaniami, odpowiadała zawsze; „nic nie wiem, nie pamiętam". I tak, umierała sobie z dniem każdym, w ciszy swego ukrycia, gotowa na usługi wszystkich, dla każdego zawsze znaleźć umiała dobre, pokrzepiające słowo i uśmiech, w którym odbijało się niebo.

Nieraz, kiedy jeszcze była dyrektorką, w poufnej rozmowie mówiła, iż pragnęłaby być zdeptana, zmiażdżona, upokorzona do ostatka, by odpokutować wszystko, a w chwili śmierci móc już na wieki ujrzeć Boga. Oczy Jej wówczas mówiły wymowniej aniżeli usta, widać było, jak cała Jej dusza wyrywa się do tej błogosławionej chwili połączenia się na wieki z Bogiem. Bóg wysłuchał Jej pragnienia: na dwa lata przed śmiercią zaczęła wskutek rozwijającej się sklerozy tracić pamięć; ciało Jej, tyloma umartwieniami zmożone, słabło coraz bardziej i niedołężniało; odczuwała to dobrze i cieszyła się, że Ją Bóg tak oczyszcza. Ona, która nigdy od nikogo najmniejszej nie przyjęła usługi, teraz stała się jak maleńkie dziecko, uległa każdemu skinieniu Sióstr, które Ją pielęgnowały. Za każdą usługę dziękowała i upokarzała się, że się Nią taką niepożyteczną i niepotrzebną nikomu, zajmowano. Dawna Jej surowość dla siebie znikła, pozwalała nam nazywać się pieszczotliwie „babunią", a babunia od wnuczek wszystko mile i ochotnie przyjmowała. W każdej wolnej chwili biegłyśmy też do niej, bo odczuwało się, że Ona już niedługo uleci z tego świata. Cieszyła się nami, odprowadzała aż do schodów i zapytywała, kiedy znów do niej przyjdziemy. Jak bylo wyżej wspomniane, z domu wychodzić nie lubiła, lecz gdy na 10 dni przed śmiercią, której nie można było spodziewać się tak prędko, czcigodna Siostra Asystentka spytała Ją, czyby nie chciała odwiedzić na Nowej Wsi dwu swoich ukochanych wnuczek, chętnie się zgodziła. Trudno opisać, jak radośnie Ją witano, a Babunia również czuła się szczę-

śliwa. Było to ostatnie Jej wyjście z domu. 25-go sierpnia rano wstała jak zwykle i do rachunku sumienia zajmowała się różnemi drobnemi zajęciami. Gdy zadzwoniono, poszła prosić S. Asystentkę, by Jej pozwoliła nie schodzić do refektarza, bo nie czuje się dobrze. W tej chwili zrobiło się Jej słabo, odprowadzono Ją do łóżka, ale nikt nie przypuszczał, że koniec tak bliski. Cały dzień zajmowała się drugiemi, a gdy chciano posłać do drugiego domu po Siostry, z któremi całe Ją łączyło życie, nie pozwoliła na to, bo deszcz padał, więc nie chciała, by się trudziły na taki brzydki czas. Wieczór nie zapowiadał żadnego niebezpieczeństwa, ale przez ostrożność jedna Siostra pozostała, by czuwać przy Babuni. Około godziny 12-tej zauważyła wielką zmianę na twarzy Chorej i zapytała, czyby nie chciała, aby posłano po księdza, by Jej udzielił ostatnich Sakramentów św. „Nie trzeba mu przeszkadzać teraz — odrzekła — niech przyjdzie o 4-tej“. Gdy zadzwoniono na 4-tą, Babunia powiedziała: „Proszę, niech ksiądz pośpieszy, bo potem będzie zapóźno“. Dano więc zaraz znać spowiednikowi Chorej, który przybył natychmiast. Przyjęła Sakramenta św. zupełnie przytomnie, ale widać było, że teraz już nieodwołalnie zbliża się chwila rozstania. „Zawezwana do Babuni — mówi Siostra, z którą długie lata w jednym spędziły urzędzie — śpieszyłam z bijącem sercem, czy Ją jeszcze przy życiu zastanę. Weszłam do Jej pokoju po godzinie 5-tej, leżała spokojnie z oczyma zamkniętemi. Uklękłam przy Jej łóżku i powiedziałam: „Babuniu, proszę otworzyć oczy i popatrzeć na mnie“. Z największym wysiłkiem podniosła powieki, które paraliż ubezwładniał, popatrzyła się przez chwilę, uśmiechając się do mnie i wyciągając ręce i to było ostatnie Jej spojrzenie; zawarła powieki, by ich już nie otworzyć więcej na tym biednym świecie“.

Izdebka naszej kochanej Babuni była ciągle napełniona Siostrami, które przychodziły gromadnie, by modlić się za Nią a zarazem by odebrać od Dyrektorki swojej ostatnią naukę jak po dobrem życiu dobrze umiera prawdziwa Córka Miłosierdzia. Do godziny 11-tej trwało to ciche, spokojne konanie; trudno było uchwycić Jej ostatnie tchnienie. Zdawało nam się, że żyje jeszcze, kiedy twarz Jej przybrała naraz dziwny wyraz swobody, radości, jakiś odblask szczęścia Ją opromienił. Zrozumiałyśmy, że dusza

Jej musiała już ujrzeć Boga, którego tak kochała, a ciało, tak wyniszczone cierpieniem i umartwieniami, brało w tej chwili jakby udział w radościach duszy, której przez te cierpienia dopomogło do osiągnięcia najwyższego szczęścia. Łzy nasze popłynęły obficie przy tem rozstaniu, ale były to łzy, które nie przygnębiały, lecz podnosiły duszę; czuło się, że odchodząc od nas, nie opuszcza nas, owszem, że zyskujemy nową orędowniczkę w niebie, która dobrze tam strzec będzie miejsc naszych i dopomagać nam, byśmy ich nie utraciły.

Przez trzy dni zwłoki Jej otaczane były przez liczne zastępy Sióstr, które przychodziły, by po raz ostatni popatrzeć na ukochaną Dyrektorkę; wszystkie odchodziły powtarzając: „Szczęśliwa, pewnie już z nieba spogląda na nas“. Trudno było pogodzić się z myślą, że ma nam już na zawsze z oczu zniknąć. Żegnając się z Nią, polecałyśmy Jej różne nasze potrzeby, różne sprawy do załatwienia w niebie i niejedna otrzymała wkrótce to, o co długie modliła się lata. Pogrzeb naszej „Babuni“ był jakby triumfalnym pochodem, choć ból serca ściskał na myśl rozstania, ale trudno nie było się cieszyć szczęściem naszej kochanej Dyrektorki, o którem nikt zdaje się nie wątpił.

Ufamy, że w niebie nie zapomina o nas i modli się za nas, abyśmy się kiedyś z nią połączyć mogły.

Uwagi o Czcigodnej ś. p. Siostrze Jadwidze Jaroń, zmarłej dnia 9 października 1927 r. w Domu Centralnym w Krakowie, w 70 roku życia, a 49 powołania.

Po ustąpieniu czcig. Siostry Chołoniewskiej z urzędu Siostry Służebnej, którego z powodu braku sił już sprawować nie mogła, przeznaczyli najczcig. Przełożeni na zastąpienie tej przezacnej Siostry w szpitalu powszechnym we Lwowie Siostrę Jadwigę Jaroń, S. Służebną, ze szpitala powszechnego w Husiatynie. Wiadomość ta mile była witaną, bo lat temu kilkanaście mieszkała w tym domu i bardzo dobre wspomnienia zostawiła po sobie, tak wpośród Sióstr, jako i lekarzy tego oddziału i służących. Tak nas zapewniała Siostra Franciszka Schneiberg, która wówczas jako pierwsza w urzędzie na tym oddziale miała do pomocy Siostrę Jaroń przez

kilka lat, a wyrażała się temi słowami; „O! To Siostra dobrego ducha!“. Zapewnienie to okazało się najzupełniej prawdziwem. W ciągu kilkuletniego Jej pobytu w szpitalu, ten rygor, jakby dalszy ciąg seminarjum, a który odziedziczyła po swojej poprzedniczce Siostrze Chołoniewskiej, utrzymała w całości. Z uwag, które nadesłano, widzimy, że Siostra Jaroń dlatego tak dobrze umiała kierować powierzonemi Jej dziełami w szpitalu i wprawiać towarzyszki swoje do należytego służenia ubogim, że czerpała światło i pomoc w gorącej modlitwie i nieustannem z Bogiem przestawaniu. To wewnętrzne skupienie nie przeszkadzało Jej jednak w pracy, w działaniu ze swobodą i wesołością, jak to zobaczymy w dalszym ciągu. Wierną była nadzwyczaj w zachowaniu św. Reguł i tę zaletę wszystkie Siostry jednogłośnie podnoszą. Często powtarzała, że nie jesteśmy najemnikami w służbie Bożej, lecz dobrowolnymi ochotnikami i dlatego to winniśmy Mu służyć z ochotą i nie zrażać się trudnościami, które po nas wymaga służba tak wielkiego Pana. „Cóż wart żołnierz, który ucieka z pola walki? Czyż nie hańbi się?“. Kochała bardzo wstawanie o godz. 4-tej i śpieszyła do Tego, „który — jak mawiała — jest naszą siłą i czeka na nas w Najśw. Sakramencie“. U stóp ołtarza przejawiała się u niej głęboka pobożność, połączona z dziecięcą ufnością w pomoc Bożą w trudnych chwilach, jakie wkładał na Nią obowiązek Jej urzędu. Kochała bardzo wszystkie powierzone Jej opiece Siostry, tak, że zdawało się każdej, że to ona jest właśnie przedmiotem szczególniejszej życzliwości ze strony Siostry starszej. Jednakże nie szczędziła upomnień i przestróg i mówiła nieraz: „Ponieważ Was kocham, muszę robić Wam uwagi, gdyż nie wypełniłabym mojego obowiązku w domu Bożym. Bóg zażąda odemnie za to ścisłego rachunku“. „Poznałam — pisze jedna z Sióstr, która z nią jeszcze mieszkała w Husiatynie — że jest wymagającą, ale sprawiedliwą i prawą, że nie przepuści najmniejszego przewinienia, ale dobre serce także okazać potrafi. Dłuższy czas trzymałam się zdaleka i nie zwierzałam się Jej ze swoich trudności. Po kilku latach pobytu czułam się jak w rodzinnym domu i powiedziałam S. Starszej, że Jej to, po Bogu, zawdzięczam łaskę powołania. Uczyła nas tak słowem, jako i własnym przykładem, że każda Córka Miłosierdzia winna wyrzec się swego „ja“, a z całem poświęceniem

pochodzącem z miłości Pana Jezusa, pracować powinna w każdym urzędzie, powierzonym Jej z woli Bożej. Często powtarzała, że z chwilą, kiedy zaczniemy zajmować się sobą, uważać, by się czasem nie przemęczyć, unikać najmniejszego upokorzenia i dogadzać we wszystkiem sobie, wnet pryśnie nasze szczęście i zadowolenie, a uczujemy tylko ciężkość naszych obowiązków. Przypominała nam, że Pan Jezus, dając nam łaskę powołania świętego, abyśmy dążyły wciąż do doskonałości, żąda tem samem od nas świętości, a tę czerpie się u stóp Tabernaculum i w ciągłem złączeniu z Jezusem, Oblubieńcem dusz naszych, którego tak często przyjmujemy do serc w Komunji świętej. Zachęcała nas także, abyśmy wspominały sobie, jak wielkie łaski od Boga otrzymałyśmy, jak hojnym On jest dla nas obecnie, a jak małem jest to, co my dla Jego miłości czynimy — choć w oczach ludzkich za heroizm często uchodzi! Jeśli spostrzegła najmniejsze zaniedbanie obowiązku pielęgnowania chorych, nie wahała się wtedy, nawet w dosadnych słowach, przywieść winną na właściwą drogę. Wobec lekarzy tłumaczyła nas i uniewinniała, a nawet przepraszała za nas, jeżeli było potrzeba. W podobny sposób postępowała wobec naszych chorych. Nic też dziwnego, że lekarze odnosili się do Niej zawsze z wielką czcią, uszanowaniem i życzliwością. Na rekreacji zawsze wesoła i swobodna, chciała, abyśmy wszystkie w niej udział brały. Nie pozwalała jednak nigdy zabawiać się kosztem bliźniego. Nic też dziwnego, że chwile te mijały szybko i były dla nas miłym odpoczynkiem, tak koniecznym w życiu wspólnem. Przyznać było można, że w domu naszym panowało życie prawdziwie rodzinne, którego duszą była czcigodna nasza Siostra Starsza, choć tak bardzo wymagająca, lecz mająca serce, które rozumiało trudności, odgadło cierpienie, potrafiło pocieszyć, doradzić, wytłumaczyć i obronić! Cieszyła się, gdy mogła Siostrom zrobić jaką przyjemność. To też w niedzielę, o ile pogoda sprzyjała, obejmowała dyżur w całym szpitalu w Husiatynie, a nas wysyłała do pobliskiego lasku, abyśmy odetchnęły choć trochę świeżem powietrzem.

Oto co pisze znów inna Siostra: „Uderzała szczególniej Jej prostota i szukanie we wszystkiem Boga“. Mniejsza o to, co mnie spotka za moją pracę, wszak Bóg wie najlepiej, czego pragnę. Pracowała wiele, starała się każdemu przysłużyć i dopomóc, o ile

było w Jej możności; chętnie szukano u Niej rady, a zdrowy Jej sąd i doświadczenie, a nadewszystko serdeczne przyjęcie, stały się skarbami dla towarzyszek, które udawały się do niej w chwilach ciężkiej próby. Była stanowcza, nieco surowa, a jednak pełna macierzyńskiej wyrozumiałości i miłości. Roztaczała ją na wszystkich, którzy się do niej zwracali i nikt nie odszedł bez pomocy, rady, lub słowa pociechy. Była serdecznie przywiązana do Zgromadzenia i jak dobre dziecko odczuwała wszystkie jego troski i bóle; a gdy która z towarzyszek chwiała się w powołaniu, nie szczędziła ani czasu, ani wszelkich możliwych sposobów, a przedewszystkiem serca, aby ją utrwalić, na dobrą znowu naprowadzić drogę i przywiązać do służby Bożej; dodać należy, że Jej starania odnosiły zawsze zwycięstwo. Kochałam Ją bardzo, nie dla względności i pobłażania, owszem, nie szczędziła mi nieraz gorzkiego słowa, upokarzała czasem publicznie, co dotkliwie urażało miłość własną, lecz wdzięczna jestem Bogu, że pozwolił mi szereg lat spędzić pod Jej troskliwem okiem.

„Ś. p. Siostra Jaroń — pisze w uwagach swoich Siostra, która spędziła u Niej 4 lata i uważa je za najszczęśliwsze w swojem powołaniu — żądała większego zaparcia się siebie i wymagała więcej od Sióstr, o których wiedziała, że pragną ćwiczyć się w cnocie, chciała też, aby zawsze dawały dobry przykład i były wzorem dla młodszych towarzyszek. Często w niedzielę, gdy miały chwilę wolniejszą, spotkać można było u niej Siostry, już dawniejsze w powołaniu, które udawały się tam po radę i wskazówki.

Ś. p. Siostra Jaroń ceniła sobie też bardzo łaskę św. powołania i pilnie jej strzegła w towarzyszkach swoich. Podczas mego pobytu we Lwowie — pisze jeszcze ta sama Siostra — rodzina często mnie odwiedzała i czcig. S. Starsza zauważyła, że mogło to być dla mnie z pewnym uszczerbkiem. Zaleciła mi więc, często a pobożnie odmawiać tę piękną naszą modlitwę: „Wierzę i wyznaje o Przenajśw. Panno!“, kładąc szczególny nacisk na zawartą w niej prośbę: „Święte wytrwanie w ukochanem powołaniu mojem!“, oddając je w opiekę Najśw. Dziewicy.

Bardzo bolała nad tem, gdy Siostry, spóźniwszy się, ukradkiem chowały się na chórek lub do zakrystji i tam Mszy św. słuchały. Siostra Starsza powiedziała na piątku: „Moje Siostry, ukry-

jecie się przed Siostrą Starszą, ale nie ukryjecie się przed Bogiem. Czy może wam się już Bóg sprzykrzył, to powiem wam, że wy sprzykrzyłyście się Bogu. Pamiętajcie, że ochotnego dawcę miłuje Bóg i ludzie“. Ś. p. Siostra Starsza bardzo gorliwą była o zachowanie św. reguł, zawsze wstawała o 4-tej i tak się prędko ubierała, aby pierwszą być w kaplicy i odebrać błogosławieństwo od Pana Jezusa. Modliła się zawsze z wielką gorącością ducha, a zawsze przejęta obecnością Bożą. Na pierwszy głos dzwonka opuszczała wszystko, aby iść do kaplicy, nieraz zdarzyło się, że Siostra parę minut przed dzwonkiem przyszła z interesem, a tu dzwonek uderzył. „Chodźmy do kaplicy, bo dzwonek, a potem załatwimy“. Chyba, że było coś bardzo pilnego, to wtenczas jedynie uwzględniła. Ś. p. S. Starszej wielką boleść sprawiało, jak się Siostry spaźniały na ćwiczenia duchowne, a wiedziała, że przyjść mogły. Jeżeli dostrzegła jakie zaniedbanie albo lekceważenie, to wtenczas ostro upomniała, że zapomniałyśmy, poco przyszłyśmy do Zgromadzenia; mówiła to z takim bólem i rozrzewnieniem, że może Siostrom przykro, że wciąż to powtarza, ale nie przestanie jednak, gdyż obawia się, aby w czyśccu nie cierpiała za to, że Sióstr nie upominała, a przy końcu przepraszała nas, że mówiła za ostro. Zaraz po śniadaniu, które bardzo prędziutko spożywała, poszła zmienić szary fartuch i wprost do kaplicy, tam się chwilkę pomodliła, a potem szła na oddziały; mówiła z chorymi pacierz, prześcielała łóżka, poprawiała poduszki, myła chorych, czesała i uczyła młode Siostry, jak mają im służyć. Raz miałam interes do Siostry Starszej, lecz ta już była przy pracy, szczęśliwa, zadowolona, myła nogi chorej, którą w nocy przywieziono i to zdarzało się bardzo często. Jeżeli zauważyła, że te czynności zlecano służbie, bardzo Ją to bolało i zachęcała Siostry, aby nie pozwoliły sobie odbierać zasług służbie, która ma robić to, czego Siostry robić nie mogą i co nie przystoi, aby robiły. Jeżeli dowiedziała się od chorych, że Siostra służy im dobrze i byli zadowoleni, dziękowała Bogu; radość malowała się na Jej twarzy i powtarzała: „Oby jak najwięcej takich było!“ Często na oddziałach byli księża albo zakonnice, to już codziennie ich odwiedzała, prosiła PP. Lekarzy, aby ich otaczali swoją opieką, a jeżeli umarł jaki ksiądz lub zakonnica, to w dyrekcji wszystko załatwiła, aby uwolnić od sekcji

co nieraz bardzo trudno Jej przychodziło, lecz nie ustąpiła, aż uzyskała to, o co prosiła, a żaden prymarjusz nie odmówił Siostrze Starszej. Czasem była zmuszona zabrać Siostrę z oddziału, która bardzo dobrze wywiązywała się z poleconych jej czynności z zadowoleniem profesora i lekarzy i wogóle wszystkich, lecz Przełożeni sobie tego życzyli. S. Starsza tak umiała przedstawić potrzeby Zgromadzenia, że się chętnie na ofiarę zgodzili, ale starała się potem dać odpowiednią siłę, którąby pierwszej odpowiedziała. Profesorowie zwykle mówili, że ze Siostrą Przełożoną w 10 minut można załatwić sprawę, którejby z p. Lipskim za dwie godziny nie załatwili. Siostra Starsza bardzo była wysoko ceniona i poważana tak od PP. Administratorów, jak i PP. Profesorów; wymownie, a pokornie i krótko załatwiała sprawy, nazywając się małą Siostrą Jadwigą. Jeżeli miała ważne rzeczy do załatwienia z Zarządem, zaraz zauważyłyśmy po Jej zachowaniu się w kaplicy, jaki gwałt zadawała Panu Jezusowi i Jego Niepokalanej Matce, a gdy się tak uzbroiła na modlitwie, szła śmiało i odważnie i broniła zwycięsko sprawy Zgromadzenia. Panowie byli zdumieni Jej wymową, a p. Lipski powiedział, że S. Przełożonej Jaroń nic odmówić nie można, ale dodajmy tu jeszcze: „lecz czoła uchylić przed Jej pokorą, stanowczością i wielką roztropnością“. W czasie wojny, kiedy nie można było odnosić się do najczcig. Przełożonych, Siostry Służebne ze wszystkich domów przychodziły po radę i pomoc, a żadnej nie odmówiła, czy to potrzeba było dać Siostrę na zastąpienie chorej, chętnie zawsze przychodziła z pomocą. SS. Franciszkanki i Benedyktynki skazane były na śmierć głodową, bo nic nie mogły kupić; sama ratowała czem mogła i przez inne osoby starała się przyjść im z pomocą przez kilka tygodni. W roku 1917 urządzono stację zborną na dworcu kolejowym dla wojska i proszono o Siostry. Siostra Starsza zachęciła Siostry do podjęcia więcej pracy, aby dwie mogły się tam udawać codziennie, a jak wracały i opowiadały, ile tam dobrego mogły zrobić, serdecznie się cieszyła i gdy pierwsze dwie zachorowały na tyfus, drugie dwie się ofiarowały i aż do końca na tem polu pracy wytrwały; jedna tylko umarła, zaraziwszy się tyfusem plamistym. Kiedy już Rosjanie zabrali swoich rannych, przywieziono pierwszych rannych

Polaków. Pan Dyrektor nie chciał przyjąć, że niema miejsca, choć jedna sala była próżna. Siostra Starsza powiedziała mu: „To dla Niemców i Moskali miejsce było, a dla naszych Polaków, którzy krew za nas przelewali, niema!“. A wyrzekła to z takiem świętem oburzeniem i bólem, że p. Dyrektor zaniemiał i zawstydzony kazał zaraz salę otworzyć i chorych przyjąć. Często czuwała przy chorych w nocy, jak widziała, że Siostra, na którą kolej przypadała, była zmęczona albo niechętnie czuwała. Powiedziała nam, że na czuwanie już są Siostry wyznaczone i po cichutku sama poszła, rozradowana, że się Jej udało. Dopiero przy budzeniu o 4-tej „Niech żyje Jezus!“ Siostry to zauważyły; potem przebrała się prędko i jak zwykle przewodniczyła w pacierzu. Dowiedziałyśmy się potem od chorych, że to Siostra Przełożona tej nocy czuwała i dla każdego chorego miała słówko pociechy. Bywało to nietylko, kiedy była w sile wieku, lecz już blisko siedmdziesiątki, a to tak skrycie czyniła, że rzadko kiedy udawało się towarzyszkom uprzedzić Ją w zabraniu kluczy od sal. Wieczorem po czuwaniu, zamiast iść spać, mówiła nam: „Przecież wieczór to wpół do ósmej“. Czasem Siostry przyniosły Jej trochę owoców; nigdy sama nie zjadła, lecz rozdała Siostrom lub zaniosła chorym na salę, a sobie nic nie zostawiła, mówiąc, że gdy Jej zrobiły przyjemność, to ona także chce ją zrobić drugim. Czasem zaszły małe nieporozumienia pomiędzy Siostrami; pierwsza, która pośpieszyła się z zażaleniem, nic nie uzyskała, aż się dowiedziała od drugiej, co i jak było. Obydwom wówczas udzieliła zbawiennej rady, a potem musiały się w Jej obecności przeprosić, uściskać i znów było dobrze. Często sama rzucała się pierwsza na kolana, aby przeprosić Siostrę, gdy zauważyła, że Ją obraziła upomnieniem. Tak samo czyniła ze służbą. Jeżeli się Siostry żaliły na służbę, kazała przysłać do siebie, pozwoliła się wytłumaczyć, potem upomniała życzliwie ale stanowczo, żeby się poprawiły i kazała Siostrę przeprosić, ale nie pozwoliła krzywdy robić służącym. Często mówiła: „Jeżeli Siostry będą szanować swoją służbę i okażą jej dobre serce, zyskają sobie wiernych przyjaciół i — dodawała — że same nie mogłyby dobrze służyć chorym bez ich pomocy“. Czasem PP. Lekarze zażądali natychmiastowego wydalenia jakiej służącej za nieodpowiednie zachowanie, a ta przyszła z płaczem do Siostry Przełożonej;

Wysłuchała, potem zapytała dlaczego? Jeżeli zaś zauważyła, że służąca zawiniła, surowo ją upomniała i kazała przeprosić lekarza i obiecać poprawę, ale, jeżeli lekarz zawinił, stanęła w obronie niewinnej. To też była kochana, a gdy Ją zobaczyli na kurytarzu idącą do kuchni czy pralni, to cała gromada służby Ją prowadziła i witała rozradowana. Bardzo kochała św. ubóstwo i przestrzegała, aby się z naszej winy nic nie zepsuło i zniszczyło przedwcześnie; często sama chodziła gasić światło, gdy zauważyła, że się niepotrzebnie świeciło, mówiąc, że to nie robi trudności zaświecić, gdy potrzeba, a zgasić, jak wychodzimy. Nosiła sama, czy to bieliznę, czy rzeczy do ubrania należące, które Siostry oddały, jako nie dające się już używać. Bolało Ją to bardzo, gdy przebierały w ubraniu lub jedzeniu. W czasie wojny Dom Centralny nie miał sukna na św. suknie dla Seminarzystek, Siostra Starsza dała swoją i zachęciła drugie Siostry do ofiary i tak posłała kilka sukien do Domu Centralnego. Często wspominała, że Dom Centralny tak bieduje, możnaby sobie coś odmówić, ażeby móc poratować, a co mówiła, to i czyniła, lecz chciała, żeby i Siostry miały w tem udział. Często mówiła: „Gdyby to nasi Panowie mieli to, co my mamy, jakby się czuli szczęśliwymi, jakby Bogu dziękowali".

Nigdy naprawdę nie widziałam przez dziewiętnaście lat, jakie miałam szczęście mieszkać ze Siostrą Starszą, aby choć chwilę zostawała bez zajęcia; czy to czekała na Siostrę, czy na kogokolwiek, zaraz brała robotę, szyła lub cerowała. Uważała także, aby Siostry były zawsze zajęte pracą; nie uszło nic Jej bystrego oka. Jedna z Sióstr, nie mając przygotowanej roboty, wzięła igłę i wciąż wkładała i wyjmowała, jakby szyła. Siostra Starsza dobrze to zauważyła i upomniała, kogo to oszukuje, gdyż Boga oszukać nie można. Siostra Starsza bardzo skrupulatnie przestrzegała poleceń najczcig. Przełożonych, nic nie uszło Jej uwagi. Gdy zostały postanowione małe zmiany w pacierzu, pilnowała, aby je zaprowadzić, wogóle bardzo wielką sprawiało Jej przykrość, gdy Siosty za prędko odmawiały modlitwy; musiały mówić pacierz powoli i z pobożnością, a do czytania rozmyślania wybierała Siostry, które wyraźnie i powoli czytały. Bardzo wysoko ceniła powtórzenie rozmyślania i nigdy nie dała się uprosić, aby opuścić ten punkt św. reguł. W ostatnich

latach, kiedy nasza duchowna rodzina bardzo się powiększyła, prosiła Najcz. Przełozonych, aby dwie Siostry co środę czyniły powtórzenie rozmyślania, a potem sama jakie wzniosłe, budujące i zachęcające do poświęcenia i ofiary myśli wyrażała, zdawało się wówczas, że tego Boga widzi na jawie i z Nim rozmawia, tak była zawsze przejęta obecnością Bożą, że nigdy próżnego słowa nie wymówiła, ale gdy chodziło o chwałę Bożą to była wymowna do podziwu. Bardzo też lubiła rekreację, często przychodziła pierwsza, i lubiła jak się Siostry prędko schodziły, a były wesołe; mawiała, że rekreacja jest tak samo punktem reguł, który obowiązuje; często opowiadała, jak to było wesoło w Pijarach, gdy tu mieszkała jako młoda Siostra; to też nie poszła nigdy wcześniej spać tylko wspólnie ze wszystkiemi. W 1927 r. miała Siostra Starsza złożyć Swój ciężki urząd przewodnictwa, z radością przygotowywała się na tę chwilę, i prosiła Najcz. Przełożonych, aby Jej pozwolili odprawić rekolekcje razem z towarzyszkami we Lwowie, lecz Przełożeni życzyli sobie, aby przybyła na rekolekcje Sióstr Służebnych, naco chętnie się zgodziła. Dzień przed odjazdem zwiedziła wszystkie urzędy Sióstr i trochę się zmęczyła, ale już widocznie była chora, tylko się nie przyznała; w dzień odjazdu wstała jak zwykle o 4-tej, po Mszy św. pożegnała się z Siostrami i prosiła, żeby każda jaknajlepiej starała się swój urząd wypełnić, a ona będzie się modlić za nas. Pana Dyrektora prosiła, żeby nie robił Siostrom kłopotu, ale ułatwiał im wszystko do Jej powrotu, a jeżeli nie wróci, to Ją tam pochowają jak szeregowca! Udała się szybko na kolej, lecz zajechawszy do Krakowa poszła prosto do łóżka. Wywiązało się ciężkie zapalenie płuc, a gdy Siostry Służebne zakończyły rekolekcje, Jej piękna dusza uleciała do Swego Boskiego Oblubieńca po nagrodę o tej godzinie, o której przez lat 49 zawsze wierną była na pierwszy głos dzwonka, i Pan Jezus nagrodził Jej ostatni akt posłuszeństwa Najcz. Przełożonym. Co się nam działo na wiadomość o śmierci ś. p. Czcigodnej Siostry Starszej trudno opisać. Żałoba w szpitalu była powszechna, a p. Dyrektor płakał jak dziecko; kazał wywiesić chorągiew czarną na szpitalu, a na drugi dzień odbyło się żałobne nabożeństwo w kaplicy w Pijarach, na które Sam porozsyłał zaproszenia na wszystkie oddziały do profesorów i lekarzy.

Co do mnie, pisze na zakończenie Siostra, której w większej części zawdzięczamy te uwagi, nie zapomnę nigdy Jej przykładu i zachęty, której od niej otrzymałam. Można chyba dodać do tych słów: „Oby liczba tych, które z nich miały sposobność korzystać, ale i w czyn wprowadzić, była jak największa, i przyczyniła się do pomnożenia nagrody wiecznej, tej prawdziwej sługi ubogich“.



Z naszych misyj w Ameryce Północnej.

Misja w Scranton, Pa.

W połowie listopada 1931 r., rozpoczęliśmy misję w Scranton, w parafji Najśw. Serc Jezusa i Marji. Miasto wielkie i rozległe, uchodzi powszechnie za stolicę węgla twardego. Liczne kopalnie rozsiane po okolicznych miastach i miasteczkach, grupują się dokoła tego głównego centrum węglowego. Według ostatniego spisu. liczba mieszkańców przekracza 143 tysiące.

Polacy zaczęli osiedlać się tutaj na stałe od roku 1870. Ponieważ nie mogli odrazu zdobyć się na własny kościół, przeto aż do roku 1875, należeli do parafji niemieckiej Najśw. Marji Panny. Parafję polską, która należy do najstarszych w diecezji, zorganizował pierwszy proboszcz X. Adolf Śnigurski. Liczba Polaków w tym czasie, wynosiła zaledwie 110 rodzin. Wspólnemi ofiarami pobudowano drewniany kościółek, pod wezwaniem Najśw. Serc Jezusa i Marji. Za następnych proboszczów, X. R. Austa i X. B. Dembińskiego, postawiono plebanię i szkołę. Powiększono również kościół, który okazał się stanowczo za mały, z powodu ciągłego rozrostu i przypływu ludności polskiej.

W roku 1898, kierownictwo parafji objął X. prał. A. Żychowicz. Czcigodny ten kapłan urodził się w Małopolsce 16 września 1865 r., w miasteczku Korczynie, nad którem górują w oddali ruiny unieśmiertelnionego w literaturze zamku odrzykońskiego. Po ukończeniu gimnajum w Przemyślu, przybył do Stanów Zjednoczonych. Tutaj, kształcił się naprzód w Kollegjum OO. Jezuitów w Detroit, Michigan, następnie przyjęty do diecezji scrantońskiej, ukończył z odznaczeniem studja teologiczne, w Seminarjum św.

Wincentego w Beaty, Pa. W roku 1890, otrzymał w zarząd nowozałożoną parafję św. Wojciecha w Glen Lyon, Pa. Jako pierwszy proboszcz, przez 8 lat borykał się z trudnościami, jednak pozostawił po sobie chlubne wspomnienie. Kościół, plebanja i urządzenie całego gospodarstwa parafjalnego, świadczą najwymowniej o jego szlachetnych wysiłkach. Objąwszy stanowisko proboszcza w parafji Najśw. Serc Jezusa i Marji w Scranton, spotkał się z nowemi kłopotami. Niezrażony niczem, przystąpił z odwagą do pracy. Przy końcu 1904 roku, rozpoczął budowę nowego kościoła, który w ciągu 4 lat całkowicie wykończono. Wzniesiony w stylu romańskim z domieszką renesansu, należy bezwątpienia do najpiękniejszych nietylko w diecezji, lecz wogóle na wychodźtwie. Dla zapewnienia zupełnego bezpieczeństwa wspaniałej budowli parafja wykupiła węgiel pod całą własnością kościelną. Ponadto wmurowano głęboko w ziemię 10 potężnych filarów kamiennych, które wykluczają wszelką możliwość zapadnięcia się. Stary kościół przerobiono na szkołę, którą w roku 1919 zniszczył pożar. W rok później wymurowano nową, obszerną, która pod względem praktyczności i urządzenia, należy do najlepszych w tej okolicy. Oprócz tych pięknych dzieł, X. Prałat po kilkunastu latach duszpasterstwa, spłacił stare długi, rozszerzył cmentarz, nabył kilka realności i zaprowadził rozmaite ulepszenia w budynkach parafjalnych. Całą własność kościelną ocenia się dzisiaj na 400.000 dolarów. Zaciągnięte długi są nieznaczne i w razie poprawy stosunków zarobkowania, można je spłacić w krótkim czasie. Liczba Polaków należących do parafji, przekracza 800 rodzin. Trzeba dodać, że z powodu ustawicznego zwiększania się Polonji, z parafji Najśw. Serc Jezusa i Marji wydzielono trzy nowe, mianowicie w Minooka, West Scranton i Providence.

Polacy tutejsi są bardzo ruchliwi na polu narodowem i społecznem. Skupiają się w 19 towarzystwach, które grupują się przy kościele. Mężczyźni pracują przeważnie w kopalniach węgla, kobiety i dziewczęta w rozmaitych fabrykach rozsianych po całem mieście. Pracy stałej brakuje jak wszędzie i liczba bezrobotnych znaczna.

Misję św. zaczęliśmy w niedzielę 15 listopada, zwyczajnym porządkiem. Wieczorem zgromadziła się ogromna liczba niewiast

z parafji i całej sąsiedniej okolicy. Obszerny kościół był przepełniony. Przypuszczaliśmy, że to pierwszy zapał, jednak w następne dni rzesza uczestniczek stale się zwiększała. Od wtorku z rana rozpoczęła się spowiedź. Odtąd dzień w dzień przed godz. 10·30 nie wychodziliśmy z konfesjonałów, chyba na czas Mszy św. i kazania. Podobnie wieczorem kończyliśmy spowiadać o godz. 10·30. Kazania głosiliśmy po nabożeństwie, które zaczynało się o godzinie 7·30. Odmawialiśmy cząstkę Różańca św., poczem śpiewano litanję do Najśw. Marji Panny. Od środy odprawiała się Msza św. o godz. 5, dla pracujących niewiast i dziewcząt, by mogly przystąpić do Stołu Pańskiego i zdążyć na czas do obowiązków. W piątek wygłosiliśmy kazania stanowe. X. Sup. M. Sadowski tłumaczył obowiązki mężatkom w kościele górnym, ja natomiast w dolnym omawiałem podobny temat z dziewczętami. Oba kościoły były zapełnione. Kazania stanowe cieszą się bowiem największem wzięciem wśród ludu polskiego w Stanach Zjednoczonych i ściągają uczestników z najdalszych stron. W sobotę zakończyliśmy pierwszą serję misyjną i przyjęliśmy gromadę niewiast do Cudownego Medalika.

W niedzielę wieczorem, zaczęła się misja dla mężczyzn i młodzieńców. Porządek nabożeństw zachowaliśmy z pierwszego tygodnia. Miły był widok świątyni zapełnionej szczelnie kobietami, jednak mimo wszystko, morze głów męskich ujęte w ramy kościoła, przedstawiało wrażenie naprawdę imponujące. Tak było tutaj od pierwszej chwili aż do końca. Nic dziwnego, że kazania mówiliśmy z zapałem i przyjemnością, bo człowiek widział przed sobą mrowie słuchaczy skupionych i zainteresowanych. Po ogłoszeniu spowiedzi, odrazu całe gromady rozpoczęły oblężenie konfesjonałów. Spowiadaliśmy ustawicznie rano i wieczorem. Wydawało się, że nie zdążymy wysłuchać wszystkich przed zakończeniem misji.

W ostatnie trzy dni drugiego tygodnia, przypadało w parafji nabożeństwo czterdziestogodzinne. Rano jak zwyczajnie odprawiała się suma o godz. 9 z kazaniem dla wszystkich wiernych. Wieczorem w nabożeństwie mogły brać udział i niewiasty, jednak bez szkody dla mężczyzn. Tak miały zapowiedziane, ze względu na dalszy ciąg misji męskiej. Przychodziły dosyć licznie, lecz po błogosławieństwie Najśw. Sakramentem, rade nie rade musiały opu-

ścić kościół, ponieważ zaczynało się kazanie misyjne dla mężczyzn i młodzieńców. Z widocznym niesmakiem zabierały się do wyjścia. Natomiast meżczyźni widząc tę niewieścią ewakuację, strzygli wąsami z zadowolenia, że przynajmniej raz stali się panami sytuacji. Podobało się im takie rozporządzenie Misjonarzy. Oczywiście w czasie czterdziestki, pobożne niewiasty ruszyły się ławą do spowiedzi po raz drugi, bez uwagi na chłopów, którzy także chcieli się wysłuchać. Ponieważ z natury chłop jest milczący, że chociaż w łeb dostanie, to odda a nic nie powie, przeto czekali z cierpliwością i patrzeli zrezygnowani, jak ich kobiety wyprzedzały i odsuwały od konfesjonałów. A trzeba przyznać, że naprawdę były dokuczliwe. Nawet wieczorem, w czasie kazania do mężczyzn nie pozwoliły Misjonarzom chwili odpocząć. Po błogosławieństwie zamiast do domu, przechodziły do dolnego kościoła. Stamtąd przysyłały ministrantów do zakrystji, aby misjonarz, który odprawił nabożeństwo przyszedł je wyspowiadać, bo ma czas wolny, a na dole jest także konfesjonał.

W każdym razie dzięki Bogu wyspowiadaliśmy wszystkich wiernych, przy wydatnej pomocy księży, z sąsiednich parafij polskich. W sobotę wieczorem ukończyliśmy misję męską i znowu bardzo wielu mężczyzn i młodzieńców przyjęło Cudowny Medalik.

Dzieci szkolne w liczbie 460 brały gorliwy udział w misji, przez pierwsze dziesięć dni. Codziennie o godz. 2 30 po południu, ciągnęły szeregami do kościoła na naukę misyjną, pod przewodnictwem SS. Nazaretanek. Wychowane przez pełne poświęcenia Siostry nauczycielki, zachowywały się wzorowo pod każdym względem. Kazań słuchały z nadzwyczajną uwagą i pobożnie gotowały się do spowiedzi, którą odprawiły w ósmym dniu misji. Poza kościołem, odnosiły się do nas i wogóle do wszystkich ludzi starszych, z uszanowaniem i grzecznością. Podziwiać trzeba katolickie wychowanie w szkołach parafjalnych. Siostrom zakonnym należy się zasłużona cześć i uznanie, za ich przepiękną pracę nad wykształceniem i urobieniem charakteru młodzieży. W ostatnim dniu misji udzieliliśmy dzieciom błogosławieństwa misyjnego i przyjęliśmy wszystkich do Cudownego Medalika.

Pamiętaliśmy również o niemowlętach i o dzieciach przedszkolnych. W drugą niedzielę misji, rodzice poznosili i przyprowa-

dzili ten drobiazg z całej parafji. Kościół był zapełniony. X. Sup. Sadowski odprawiał błogosławieństwo, przy wtórze donośnych zawodzeń, ja w zakrystji zatykałem uszy i narzekałem na pogodę, która tak skwasiła humory najmłodszego pokolenia. Na zakończenie włożyliśmy wszystkim medalik Matki Bożej Niepokalanie Poczętej.

We wtorek drugiego tygodnia, poświęciliśmy wodę św. Wincentego dla chorych, którą wierni skrzętnie zabierali do domów. Trzy wielkie naczynia wypróżniono w jednej chwili. Musieliśmy święcić następne trzy, gdyż każdy chciał wziąć jak najwięcej, aby mu wystarczyło do przyszłej misji, która odbywa się w parafji co pięć lat.

Odwiedzaliśmy także chorych i starych parafjan ze spowiedzią i Komunją św., aby im dodać otuchy i pocieszyć w doświadczeniu Bożem. Było ich blisko 20 osób. W czasie takich odwiedzin, miałem ciekawy i niecodzienny wypadek. Jako mężczyzna wstydzę się przyznać, jednak jako kapłan powiem otwarcie: „baba mnie pobiła!“. Cała rzecz przedstawia się dosyć zajmująco, więc opowiem wszystko dokładnie. W piątym dniu misji zgłosił się do kancelarji pewien parafjanin z prośbą, ażeby jeden z Misjonarzy przybył ze spowiedzią i Komunją św. do jego chorej żony. Po ukończeniu obowiązków w kościele, wybrałem się z tą duchowną posługą. X. Prałat wspominał przy odjeździe, że od kilku miesięcy niewiasta ta zdradza czasem lekkie objawy choroby umysłowej, zupełnie zresztą nieszkodliwe dla otoczenia. W progu domu przywitał mnie mąż i poprosił na górę do chorej. Pochwaliłem P. Boga i zabrałem się do wysłuchania spowiedzi. Wyspowiadała się szczerze, rozumnie, jak osoba najzdrowsza w świecie. Dopiero w czasie Komunji św., zaczęła krzyczeć na cały głos: „To nie nasz ksiądz! To niezależny! Bierz komunję i wynoś się ze swoją psią wiarą“! Próbowałem się wytłumaczyć, lecz nie pozwoliła mi przyjść do słowa. Wyskoczyła z łóżka i dalej mnie popychać ku schodom. W pierwszej chwili, całą uwagę skupiłem, by schować Najśw. Sakrament i uchronić przed zniewagą. Nie przywiązywałem większej wagi do babskich hałasów i stałem prawie na jednem miejscu. Dopiero po schowaniu Komunji św., zacząłem wycofywać się z zajętej pozycji. Oczywiście, moja dobrowolna kapitulacja,

dodała niewieście lwiej odwagi. Rzuciła się z pięściami i wali mnie pod żebra, abym przypadkiem nie zbaczał z drogi wiodącej wprost na ulicę. „Lepiej się stało, że nie zdjąłem płaszcza“ — pomyślałem w tym fatalnym odwrocie. Wyprowadzony tak grzecznie na pierwsze schody, ryknąłem na męża, który zapodział się gdzieś chwilowo: „Gospodorzu! chodźcie do góry, bo tu źle! Wasza żona mnie zamłóci“! W jednej chwili poczciwina znalazł się obok, chwycił za bary rycerską białogłowę i grzmotnął w łóżko, aż podskoczyła kilka razy. Widząc, że niebezpieczeństwo minęło, zwróciłem się do niej, by sprostować uporczywe zaliczanie mnie do sekty Hodura. Tłumaczę, że jestem księdzem Misjonarzem, którego sobie życzyła i daję misję w parafji Najśw. Serc Jezusa i Marji. „Nie kłam — powiada — bo nie uwierzę. Jesteś Hodurów i pamiętaj, że moja wiara rzymsko katolicka jest tak twarda, jak te zaciśnięte pięści„! „Wiem o tem — odparłem — przekonałem się zupełnie wystarczająco, jednak jesteś kobieto w wielkim błędzie“. Ch ąc p stawić na swojem, poleciłem zmartwionemu mężowi poprosić X. Prałata, aby dał świadectwo prawdzie. „Dobrze, dobrze! — cieszy się chora — niech przyjedzie proboszcz! We dwoje jeszcze prędzej wykurzymy sekciarskiego natręta“! Po chwili milczenia odzywa się znowu: „Zresztą, jeżeli jesteś dobrym księdzem i Misjonarzem, gdzie masz długą, czarną suknię, wielki krzyż na szyi i brodę“. „Sutanna w domu, wisi w szafie, gdyż w Ameryce chodzi się do chorych prywatnie, krzyż mam w kieszeni, a broda mi dopiero rośnie“ — odpowiedziałem spokojnie. Usiadłem na krześle i dalej dowodzę swojej prawowierności. „Jakaś ty dziwna niewiasto! Przecież mąż twój sprowadził mnie i nawet jemu nie wierzysz“? „Nie wierzę, bo on tam może byle kogo przyłapać na ulicy i przyprowadzić do chałupy“. Modliłem się po łacinie, jak porządny kapłan. „Ho, ho! moja córka też umie po łacinie, bo chodzi do „high schooll“! Poprzekręcać każdy potrafi, to nie sztuka“. „Pleciesz bzdury, ja nic nie przekręcałem, tu jest książeczka, z której odmawiałem modlitwy“. Popatrzyła z politowaniem na starą książkę do chorych i mówi: „Wygrzebał skądś starego dziada i chce wmówić, że to naszego proboszcza, który napewno ma nowe książki“. „Z plebanji ją zabrałem“! „Z plebanji, ale z której? od Hodura, czy nie tak? Widząc, że sobie

drwi ze mnie i trudno z nią mówić rozumnie, chwytam się jeszcze ostatniego ratunku. „Znieważyłaś Najśw. Sakrament i kapłana katolickiego! Czy rozumiesz co to znaczy“? „Rozumiem! Jeżeli to był nasz Pan Jezus, odpokutuję, jak był Hodura, to biech tam. Taksamo z księdzem. Jeżeli jest naprawdę nasz, przeproszę, jeżeli niezależny to żałuję, że go jeszcze za mało natłukłam“. Bardzo mądrze gadasz, ale zaczekajmy do końca. Skoro przyjedzie X. Prałat będziemy mówić dalej“. zakończyłem bezowocną rozmowę. Po pewnym czasie zjawił się X. Proboszcz i dowiedziawszy się o całem zajściu, roztrząsnął kobiecie sumienie, że odrazu zaniemówiła. Byłem zwycięzcą na całej linji. Poprosiła o naznaczenie pokuty, za wyrządzoną zniewagę Panu Bogu i księdzu. Za karę nie otrzymała już w tym dniu Komunji św. Przy odejściu, wyskoczyła z pod kołdry i całuje mnie po rękach, abym jej nie pamiętał, tej mimowolnej krzywdy. W drodze X. Prałat powiada z uśmiechem: „Widzi ksiądz, jaka silna wiara u naszych ludzi. Jeżeli ci, którym coś niecoś brakuje w głowie tak jej bronią, to co dopiero mówić o zdrowych“.

Na usprawiedliwienie biednej kobieciny trzeba dodać, że w sąsiedztwie parafji Najśw. Serca Jezusa i Marji, koncentruje się cały ruch polskiego kościoła niezależnego. Na przeciwnym rogu krzyżujących się ulic, odszczepieńcy, którzy oderwali się od parafji za czasów drugiego proboszcza, wybudowali kościół, gdzie rezyduje sam Hodur. Przykry widok w niedziele i święta. Jedni zdążają do kościoła polskiego rzymsko-katolickiego, drudzy otumanieni do niezależnego. Oczywiście gromadka heretyków nie może iść w porównanie z rzeszą katolików, jednak zawsze trzeba boleć nad ogłupieniem naszych braci. W początkach ruchu niezależnego, przychodziło nieraz do ostrych starć i zatargów, gdyż katolicy nie mogli ścierpieć obelg i oszczerstw, któremi zuchwali sekciarze zionęli na kościół i duchowieństwo. Dzisiaj, nastał zupełny spokój. Nasi ludzie nie zwracają uwagi na nieszczęśliwych zaślepieńców. Trzymają się twardo wiary św., lgną całem sercem do kościoła i swego kochanego duszpasterza.

Misja św. dobiegała końca. Dwa tygodnie przeszły szybko, dzięki miłej pracy w kościele i serdeczności, z którą spotkaliśmy się w czasie pobytu na plebanji. Tłumy przesuwające się przez kościół

codziennie rano i wieczorem, napełniały nas radością, że trudna praca misyjna wydaje plon i nie idzie na marne. Do Komunji św. przystąpiło zgórą 4.000 osób, nie wliczając wiernych z sąsiednich parafij, którzy również brali gorliwy udział w misji. X. Prałat podejmował nas z prawdziwą staropolską gościnnością. Miły w obejściu, pełen wrodzonego, szczerego humoru, od pierwszego dnia zaskarbił sobie serca nasze. Chwile wolne od obowiązków, uprzyjemniał nam opowiadaniem zajmujących wspomnień osobistych z dawnych czasów. Jako gorliwy kapłan i prawy Polak, przeszedł wiele zmiennych kolei, tak w Ojczyźnie jakoteż na emigracji. Głębokie doświadczenie życiowe, ojcowska troska o lud i wzniosła działalność na niwie patrjotyczno - społecznej, zjednała mu ogromne wzięcie u duchowieństwa i całej tutejszej Polonji. Szlachetna praca X. prałata A. Żychowicza nie ogranicza się jedynie do powierzonej mu owczarni. Widząc niedolę opuszczonych dzieci polskich, podaje inicjatywę założenia sierocińca. Tę wielką myśl poparli inni księża w diecezji W r. 1918, wzniesiono w Sheatown obok Nanticoke, Pa., Zakład dla sierot im. św. Stanisława. Urząd prezesa tej dobroczynnej instytucji, sprawuje X. Prałat.

W niedzielę 30 listopada przypadło zakończenie misji i 40-godzinnego nabożeństwa. Podczas uroczystej sumy, oddaliśmy całą parafję opiece Matki Najświętszej, Królowej Korony Polskiej. Po południu poświęcaliśmy jeszcze pamiątki misyjne, które wierni chętnie nabywali aż do końca misji. Wieczorem o godz. 7·30 rozpoczęło się ostatnie nabożeństwo. Naprzód odbyły się uroczyste nieszpory z asystą, poczem licznie zebrani księża polscy odśpiewali Litanję do Wszystkich Świętych i nastąpiła procesja z Najśw. Sakramentem. Cały kościół tak był zatłoczony ludem, że procesja z trudnością mogła się rozwinąć. Bezpośrednio po zakończeniu czterdziestki, poświęciliśmy uroczyście krzyż misyjny. Po ostatniem kazaniu, które wypowiedzial X. sup. M. Sadowski, przezacny X. Prałat przemówił kilka pięknych słów od ołtarza. Podziękował misjonarzom za ofiarną pracę apostolską, którą wykonują z prawdziwem poświęceniem, naśladując swego wielkiego założyciela, św. Wincentego a Paulo. Gorąco zachęcił parafjan, by trudy misjonarzy nie zmarniały, ale wydały stokrotny owoc, objawiający się w życiu religijnem, przejętem prawdziwym duchem Chrystusowym. Nastąpiła adoracja

krzyża, która przeciągnęła się do późnej nocy. Lud pojednany z Bogiem i wzruszony do głębi cisnął się gromadnie, by ucałować pobożnie drogocenną pamiątkę misyjną.

Z tem nabożeństwem zakończyliśmy naszą pracę w parafji Najśw. Serc Jezusa i Marji. Ponieważ nazajutrz zaczynaliśmy gdzieindziej głoszenie słowa Bożego, byliśmy zmuszeni odjechać tej samej nocy. Pożegnawszy serdecznie gościnnego X. Prałata, wyruszyliśmy na dworzec kolejowy. W jakiś czas później, pospieszny pociąg nocny, uniósł nas daleko z uroczej stolicy czarnego diamentu.

Misja w Derby.

W parafji św. Michała Archanioła
(od 18/X do 1/XI 1931).

W drugiej połowie października b. r. wyjechaliśmy z X. J. Czaplą na misję do Derby, Conn. Miasto o charakterze wybitnie przemysłowym, leży u spływu rzek, Housatonic i Naugatuck River. Od Nowego Jorku dzieli je odległość 70 mil, od New Haven 9, a 166 od Bostonu. Ludności posiada około 10,000, a w promieniu 2 mil 30 tysięcy. Trzeba bowiem zauważyć, że kilkadziesiąt lat temu, był w tej miejscowości jeden wielki ośrodek fabryczny pod nazwą Birmingham. Ze wzrostem ludności podzielono Birmingham dla względów praktycznych na trzy miasta, mianowicie Shelton, Derby i Ansonję. Jeżeli weźmiemy pod uwagę przemysł i handel, Derby może iść w porównanie z najlepszemi miastami tego rodzaju, w stanach Nowej Anglji. Ze względu na dogodne położenie, różnorodność produkcji i świetne położenie z wielkiemi ogniskami przemysłowemi, bardzo łatwo mogłoby stać się w przyszłości olbrzymiem centrum fabrycznem. Jednak obecne przesilenie gospodarcze w Stanach Zjednoczonych, odbiło się silnie i na tutejszym przemyśle. Z braku odpowiedniego zapotrzebowania, ograniczono wytwórczość do minimum. Wiele fabryk zupełnie zamkniętych, niektóre uruchomione, lecz z przerwami zatrudniają robotników. Najlepiej stosunkowo funkcjonuje olbrzymia fabryka jedwabiu, aksamitu i pluszu „Sidney Blumenthal & Co"., w sąsiedniem mieście Shelton. Zatrudnia znaczną część mieszkańców obydwu miast. W ostatnich jednak czasach, z braku dostatecznych zamówień, coraz więcej ogranicza dawną, masową produkcję.

Początek i rozwój parafji polskiej w Derby, przedstawia się podobnie, jak we wszystkich środowiskach naszego wychodźtwa w St. Zjednoczonych. Polacy, po osiedleniu się w tej miejscowości, należeli najpierw do parafji irlandzkiej, Najświętszej Marji Panny. Ówczesny proboszcz, X. J. Mc Elroy, kapłan bardzo zacny, starał się, by nasi rodacy mieli nabożeństwo w języku ojczystym. W tym celu sprowadzał z pobliskiego New Haven księdza polskiego, który miał dla nich osobną Mszę św. z kazaniem. Kiedy liczba rodzin polskich wzrosła, założono w 1896 r. Towarzystwo św. Michała Archanioła. Wszyscy członkowie dążyli usilnie do utworzenia własnej parafji. Zczasem towarzystwo zakupiło ziemię pod kościół i przedstawiło gorącą prośbę biskupowi w Hartford, aby pozwolił na założenie parafji polskiej. X. prob. Mc Elroy rozumiejąc szlachetne dążności Polaków, przyczynił się swem wstawiennictwem do uzyskania odnośnego pozwolenia. Opiekę duszpasterską nad przyszłą parafją oddał biskup XX. Misjonarzom, którzy podówczas pracowali już w New Haven, a od kilku lat obsługiwali Polonję derbijską. Parafję zorganizował ś. p. X. J. Głogowski. W dniu 16 lipca 1905 r. ogłosił jej istnienie jako fakt dokonany. Do parafji mieli należeć Polacy zamieszkali w Derby, Shelton, Ansonji i Seymour. Wszystkich rodzin razem wziąwszy, mogło być wówczas około 300. Nabożeństwa nowej parafji polskiej, odbywały się w dalszym ciągu w kościele irlandzkim. Dopiero od października przeniesiono się do obszernej hali drewnianej, którą wynajęto i urządzono na tymczasową kaplicę. X. proboszcz zamieszkał w małym domku, który przygotowano na zakupionej ziemi parafjalnej.

Od listopada 1905 r. do maja 1906 r., zarząd parafji sprawował X. St. Konieczny, jako pierwszy mianowany proboszcz. W maju, stanowisko to objął ś. p. X. P. Waszko, który pozostał tutaj aż do roku 1923. Pierwszą jego troską, było wzniesienie odpowiedniego kościoła. To też z całą gorliwością poświęcił się temu zadaniu, przy wiernej współpracy wszystkich parafjan. W niedzielę 24 września 1906 r., X. bp. Tierney dokonał poświęcenia kamienia węgielnego, przy współudziale licznych księży i 5 000 rzeszy wiernych. Pasterka w tym roku, odprawiła się już w ukończonym dolnym kościele. Odtąd, wszystkie nabożeństwa odbywały się w tej części świątyni Pańskiej. Dalsza budowa, posuwała się

szybkiem tempem. Dnia 4 lipca 1907 r. nastąpiło uroczyste poświęcenie nowego kościoła, pod wezwaniem św. Michała Archanioła.

Kościół wymurowano z czerwonej cegły. Zewnątrz zwyczajny, bez żadnego specjalnego stylu. Natomiast wewnętrzne rozłożenie, przedstawia się bardzo pięknie i symetrycznie. Obok nawy głównej są dwie boczne, oddzielone 8 smukłemi kolumnami. Oprócz wielkiego ołtarza św. Michała, jest jeszcze ołtarz Najsł. Serca Pana Jezusa i Matki Bożej Niepokalanie Poczętej. Nadto w ostatnich latach, umieszczono czwarty ołtarz św. Teresy od Dzieciątka Jezus, między pierwszem a drugiem oknem, po prawej stronie. Malowanie farbami wodnemi tak zwane „klejowe", jest utrzymane w jaskrawym stylu łowickim. Obrazy, można powiedzieć bez przesady, są bardzo dobrze wykonane. Inne ornamentacje z powodu silnych kolorów, nie przedstawiają się nadzwyczajnie. Miejsc dla siedzących w ławkach, jest przeszło 700. Koszta całej budowy wynosiły 40 tysięcy dolarów. Fakt, że parafja, istniejąca zaledwie dwa lata, zdobyła się na wzniesienie okazałego kościoła, świadczy najwymowniej, jakim jest duch wiary i ofiarności w naszych rodakach na emigracji. Szczegół ten zasługuje na tem większe podkreślenie, że wszyscy parafjanie zaliczają się do ludu roboczego. Zarobki zaś w owym czasie były naprawdę małe, skoro wynagrodzenie pracy dziennej nie przekraczało $ 1·50.

Po ukończeniu kościoła, zaczęto myśleć o szkole i innych zabudowaniach parafjalnych. Z biegiem czasu, dzięki niesłabnącej ofiarności ludu, urzeczywistniono to śmiałe przedsięwzięcie. Dzisiaj parafja św. Michała Archanioła posiada doskonałe zagospodarowanie. Kościół, plebanja, szkoła i dom sióstr nauczycielek przedstawiają się okazale pod każdym względem. Wszystko obok siebie na jednej własności, wybudowane z pierwszorzędnej cegły.

Następny proboszcz X. J. Studziński, obecny rektor Kolegjum św. Jana Kantego w Erie, Pa., nie miał już kłopotu z budową. Pozostały jednak inne troski, mianowicie spłacanie zaciągniętej pożyczki. Temu zadaniu poświęcił się z całym zapałem, przez cały swój pobyt w Derby. Z roku na rok długi topniały coraz więcej.

Obecny duszpasterz, a następnie wizytator XX. Misjonarzy w Ameryce Północnej, X. St. Konieczny, spłaca już resztki zobowiązań. Ponadto zajmuje się utrzymaniem i ulepszaniem poszcze-

gólnych budynków parafjalnych. Rok temu sprawił nowy organ za 5.000 dolarów. Koszta tego cennego nabytku w bardzo krótkim czasie pokryto w zupełności.

Oprócz proboszcza, prawie od początku przebywa przy parafji wikarjusz. W ostatnich dwóch latach X. Koniecznemu dopomaga w pracy duszpasterskiej X. Juljan Pustelnik, kapłan bardzo gorliwy i pełen ducha Bożego.

W roku 1925, z powodu ciągłego rozrostu rodzin polskich, utworzono w Ansonji samodzielną parafję pod wezwaniem św. Józefa. Fakt ten świadczy najlepiej o pomyślnym rozwoju parafji św. Michała Archanioła.

Polonja w Derby, z sąsiedniem miastem Shelton, liczy obecnie około 450 rodzin. Większość pracuje w fabryce Blumenthal'a, reszta w rozmaitych innych wytwórniach. Kilkanaście rodzin prowadzi gospodarstwo na farmach. Ponieważ narazie praca jeszcze idzie, nie słychać tak dalece narzekania na powszechną biedę.

Misję św. rozpoczęliśmy jak zwyczajnie, w niedzielę na sumie. Ostatnia misja odbyła się tutaj 6 lat temu, więc lud z upragnieniem oczekiwał zapowiadanych ćwiczeń duchownych. Stąd, od pierwszego nabożeństwa aż do ostatniego, zawsze mieliśmy kościół przepełniony wiernymi.

W pierwszym tygodniu wieczorami, brały udział w misji niewiasty i dziewczęta, w drugim mężczyźni i młodzieńcy. Rano, na sumę z kazaniem o godzinie 9-tej, przychodzili wszyscy wolni od pracy. Po południu, o 2·30 prowadziliśmy misję z dziatwą szkolną. Spowiedź św. w obydwu serjach zaczęła się od wtorku rano.

Zaraz w niedzielę wieczór, rzesza kobiet zapełniła szczelnie świątynię Pańską. Całe gromady śpieszyły na misje nietylko z Derby i Shelton, lecz także z Ansonji i innych odległych miejscowości. Ponieważ do parafji należy około 30 rodzin słowackich i morawskich, więc tak Słowaczki jak i Morawianki wiernie uczęszczały na wszystkie nabożeństwa misyjne. Ze względu na silne spokrewnienie językowe, nie miały oczywiście najmniejszej trudności przy spowiedzi ani w słuchaniu słowa Bożego. Nabożeństwo wieczorne rozpoczynało się o godzinie 7·30. Odmawialiśmy zawsze cząstkę Różańca św. i litanję do Najśw. M. Panny. Po błogosławieństwie następowało kazanie, później modlitwy wieczorne i spowiedź. Do

spowiedzi zostawały przeważnie niewiasty i dziewczęta pracujące. Aby mogły zdążyć do swoich obowiązków, odprawialiśmy dla nich Mszę św. o godz. 5·30. Rano rozpoczynaliśmy spowiadać o 7-mej. Zazwyczaj ludzie odkładają spowiedź na wieczór, tutaj sprawa miała się zupełnie przeciwnie. Wieczorem spowiadaliśmy do 10·30, rano natomiast od 7 do 9 bez przerwy. Konfesjonały były oblężone. Nawet w czasie sumy jeden ksiądz słuchał spowiedzi i mimo to nie zdążył ukończyć przed zaczęciem kazania. Przezacny X. superjor J. Janowski, chociaż ustawicznie zajmuje się upiększeniem własności kościelnej w Ansonji, zawsze znalazł czas wolny i przez całe dwa tygodnie pomagał nam słuchać spowiedzi wieczorami. Podobnie XX. Misjonarze z New Haven przyjeżdżali z wydatną pomocą. W sobotę zakończyliśmy serję żeńską błogosławieństwem papieskiem i udzieleniem odpustu zupełnego.

Wypada dodać, że niewiasty i dziewczęta derbijskie dumne były z misji, odbywającej się w ich parafji. Kobiety z innych miejscowości mogły przychodzić na nabożeństwa i kazania, lecz bez okazywania jakichkolwiek niezadowoleń lub wstrętów, chociażby najsłuszniejszych. Pewnej niewieście z Ansonji przeszkadzały w skupieniu dwie dziewczyny, które rozmawiały w kościele za jej plecami. W świętem oburzeniu zwraca im uwagę: „Pamiętajcie, że jeśt misja św. Przykładnie się zachowujcie!“. Uwaga ta, zamiast poskutkować, rozgoryczyła jeszcze niesforne derbianki. Z widoczną urazą rzucają Jej niedelikatne pytanie: „A kto was tu, na misję prosił? Czyby się bez was nie odbyła?“.

W niedzielę 25 października o godz. 3-ej po południu odbyło się błogosławieństwo dla niemowląt. Matki i ojcowie poznosili drobiazg z całej parafji. Była tego spora liczba, gdyż kościół zapełnił się całkowicie. Po uroczystem nabożeństwie z wystawieniem Najśw. Sakramentu, udzieliliśmy dziatkom błogosławieństwa misyjnego i włożyliśmy im Cudowny Medalik. Przez cały czas niemowlęta derbijskie zachowywały się poprawnie. Nie objawiały donośnego niezadowolenia, że im nielitościwie przerwano poobiednią drzemkę.

Wieczorem rozpoczęła się misja męska. Z tłumnego udziału kobiet wnioskowaliśmy, że z pewnością i mężczyźni nie pozwolą się zawstydzić. Jednak liczba ich na każdej misji jest stosunkowo mniejsza, nawet w najlepszym wypadku. W grę wchodzi ta zwy-

czajna przyczyna, że z poza obrębu parafji (pomijając już inne idealne pobudki), nawet żona uzbrojona w miotłę lub wałek nie potrafi wypchać chłopa do kościoła. W Derby pod tym względem spotkało nas miłe rozczarowanie. Na wezwanie dzwonu całe zastępy mężczyzn i młodzieńców zbierały się przed kościołem. Nadciągali z parafji i z sąsiednich miejscowości, nieraz bardzo odległych. Dzień w dzień punktualnie o godz 7·30, świątynia Boża zapełniała się do ostatniego miejsca. Po wspólnym śpiewie i rozmaitych uwagach rozpoczynaliśmy nabożeństwo różańcowe. Następnie głosiliśmy kazania misyjne, których zawsze słuchano z głębokiem przejęciem i zainteresowaniem. Około 9-tej, po modlitwach wieczornych. rozpoczynała się spowiedź. Dla pracujących mieliśmy Mszę św. o 5·30, podobnie, jak w poprzednim tygodniu. Jeżeli chodzi o spowiedź spotkaliśmy się z tym samym objawem, co w serji żeńskiej. Wieczorami zostawało niewielu, najwyżej setka. Zato już od 6 30 rano gromady chłopstwa śpieszyły do kościoła i szczelnie otaczały konfesjonały. Spowiadaliśmy bezustannie od 7-mej aż do kazania, które zaczynało się o 9·30. Nawet po kazaniu musieliśmy jeszcze wysłuchać sporą liczbę mężczyzn. Naprawdę miło było patrzeć, jak chętnie i pobożnie garnęli się do Sakramentów św. Nie zauważyliśmy najmniejszego ociągania. Także Słowacy i Morawcy gorliwie przychodzili na misję. Uczęszczali prawie wszyscy, nawet ci, którzy wcale nie należeli do parafji św. Michała. Na poważne przejęcie się misją podziałały w pewnej mierze wypadki nagłych zgonów, które tutaj zaszły W pierwszym tygodniu misji zmarło czterech mężczyzn, w tem trzech nagłą śmiercią. Chociaż P. Bóg zabierał ludzi dobrych, jednak wrażenie było ogromne. Jestem przekonany, że kobiety należycie wykorzystały ów „męski pomór“ i pomagały misjonarzom kruszyć chłopskie serca. Zwłaszcza, jeżeli która miała jakiegoś zatwardzialca z pewnością nie omieszkała go nabrać, aby się miał na baczności W sobotę wieczorem udzieliliśmy wszystkim odpustu zupełnego i błogosławieństwa papieskiego. W ten sposób ukończyliśmy serję męską, która naprawdę napełniła nas radością. Mężczyźni nietylko nie pozwolili zawstydzić się niewiastom, lecz kto wie, czy nawet nie górowali jeszcze większem garnięciem się na misję.

W ostatnich dniach misji męskiej, byłem świadkiem ciekawego zdarzenia. W czasie nabożeństwa różańcowego zauważyłem, że jakiś wierny nie harmonizuje z całością. Każdą „Zdrowaśkę“ przyśpieszał albo opóźniał. Trochę kulejąco odmówiliśmy koronkę i zaczęliśmy litanję Loretańską. Tu jednak okazało się, że wyróżnianie to trzeba koniecznie usunąć, gdyż wprowadzało już ogólne zamieszanie. Zwróciłem uwagę, aby wszyscy odmawiali razem, jednozgodnie. Skutek był taki, że powstało jeszcze większe bałamucenie. Przy „Baranku Boży...“ ów wierny jak huknął z pewnem opóźnieniem; „módl się za nami!“, tak wykoleił i mnie i wszystkich w kościele. Tłumaczyłem sobie, że to oczywiście musiał być jakiś człowiek głuchy. Tymczasem na drugi dzień dowiaduję się, że osobnik ten nie był całkiem głuchy, tylko prawie całkiem „zawiany“. Przyszedł do kościoła, bo dla takiej „błahostki“ nie wypadało mu opuszczać misji. Nic dziwnego, że pozbawiony nieco zasadniczej równowagi, jak mógł, tak dawał upust swej rozmarzonej pobożności. Jeden z mężczyzn zwracał mu uwagę, aby się nie wydzierał, na co jednak otrzymał zwięzłe zapytanie: „Tyś tu bas?“. Koniec końcem, po wyjściu z kościoła otoczyli go mężczyźni i roztrząsali mu sumienie, aby im przecie nie robił wstydu. „Wszystko możliwe, bo człowiek grzeszny i jego wina, ale na misji trzeba się trochę przykrócić. Jeżeli się dowiedzą kobiety, będzie w domu nieustanny jazgot i pomstowanie, żeśmy wszyscy jednacy. Poco więc cierpieć za jednego i znosić niepotrzebnie babskie prześladowania“. Skąd był ów człowiek, nie pytałem. W każdym razie mężczyźni z Derby jednozgodnie twierdzili: „To nie z naszej parafji!“.

Codziennie po południu o godz. 2·30 zbierały się na naukę dzieci szkolne, pod przewodnictwem 10 ciu SS. Nazaretanek. Liczba ich wynosiła okrągło 530. Kazań słuchały z zaciekawieniem i pożnie przygotowywały się do misyjnej spowiedzi i Komunji św. W poniedziałek 26 października przystąpiły do Sakramentu Pokuty, a w następny dzień na Mszy św. o godz. 8 miały wspólną Komunję św. We środę 28 października urządziliśmy na zakończenie specjalne błogosławieństwo misyjne z wystawieniem Najśw. Sakramentu i przyjęcie do Cudownego Medalika. Wypada podkreślić rzadki objaw, który po raz pierwszy spotkałem w Ameryce.

Parafja polska w Derby nie ma dzieci w szkole publicznej. Wprawdzie 30 dzieci farmerskich uczęszcza do szkoły publicznej, lecz z konieczności, ze względu na wielkie oddalenie od szkoły polskiej.

Niedzielę 1 listopada wypełniły nam same uroczystości. Na sumie mieliśmy podniosłe ofiarowanie się całej parafji opiece Matki Bożej. Po południu o 3·30 urządziliśmy ogólne zakończenie, połączone z poświęceniem i adoracją krzyża misyjnego. Wieczorem o 7·30 odbyły się uroczyste nieszpory żałobne z kazaniem za dusze wszystkich zmarłych. Śmiało można powiedzieć, że kościół, dosyć stosunkowo pojemny, w tym dniu ledwie zdołał pomieścić tłumy wiernych. Nie dziwił nas głęboki nastrój ludu, bo rzeczywiście każde z tych nabożeństw ma swój specjalny, rozrzewniający i pociągający urok.

W Dzień Zaduszny o godz. 9-tej odbyła się uroczysta Msza święta żałobna z wigiljami, za zmarłych parafjan. Z tem nabożeństwem zakończyliśmy misję w kościele św. Michała Archanioła.

Dwa tygodnie przeszło niespostrzeżenie. Widok ludu, który z taką serdeczną pobożnością garnął się do Boga, cieszył nas ogromnie i podnosił słabnące siły nasze. Pobyt na plebanji musimy zaliczyć do chwil najprzyjemniejszych. Byliśmy u naszych i w każdym kątku czuł się człowiek u siebie w domu. X. Wizytator dogadzał we wszystkiem, abyśmy nie ustali w robocie. X. superjor Janowski odwiedzał nas w każdy wieczór. Po ukończeniu obowiązków kościelnych opowiadał zajmujące szczegóły swojej kampanji wojennej w Polsce. Wtajemniczał nas również w dzieje ustawicznej dyplomacji z chłopami w Ansonji, mocą której pracują bezpłatnie przy kościele, aż trzeszczy. Trzeba bowiem zaznaczyć, że chciałby urządzić jak najpiękniej zabudowania i ogród młodej parafji św. Józefa. Ponieważ parafja znajduje się w krytycznem położeniu z powodu długów, więc jako doświadczony gospodarz jak może, tak wiąże koniec z końcem. Goni chłopów wieczorami do pracy i przychodzą nieraz po dwudziestu i więcej, gdyż rozumią szlachetne zamiary lubianego duszpasterza. Wyrównywują ogród, zasypują nieprawdopodobne doły i wąwozy. Cała własność parafjalna, górująca wysoko ponad miastem, przedstawia się już dzisiaj jak istne cacko.

Ilekroć zajechali na plebanję nasi księża z New Haven

z X. St. Włodarczykiem, tyle razy radość nasza była pełną. Nieoceniony O. Stanisław genjalnie potrafi zaciekawić i zabawić wszystkich. Niewyczerpany w pomysłach, omawia najrozmaitsze kwestje żywotne swoim potoczystym i kwiecistym stylem. Zapewniam uroczyście, że dla posłuchania chociażby jednej z tych prelekcyj, sowicie opłaci się przyjechać do Stanów Zjednoczonych.

Po ukończeniu misji w Dniu Zadusznym otrzymaliśmy zaproszenie na obiad do Ansonji. Wybraliśmy się z X. Wizytatorem i X. Pustelnikiem. X. sup. Janowski przyjął nas serdecznie i ugościł naprawdę po rodzinnemu. Po mile spędzonych dwu godzinach powróciliśmy do Derby. Ponieważ słońce chyliło się ku zachodowi, trzeba było pomyśleć o odjeździe do domu. Pozbierawszy skromne manatki misjonarskie, pożegnaliśmy czcig. XX. Konfratrów. Dziękując Bogu za doznane błogosławieństwo w pracy apostolskiej, zadowoleni odjechaliśmy do Nowego Jorku.

X. Fr. Wójciak, C. M.





Proces beatyfikacyjny Wielebnej Siostry Katarzyny Labouré w jego historycznym rozwoju.

Sława o świętości pokornej Siostry Miłosierdzia Katarzyny Labouré stawała się coraz głośniejszą po jej śmierci i wzrastała w miarę rozszerzania się Cudownego Medalika. To skłoniło przełożonych duchownych rodzin św. Wincentego a Paulo do zajęcia się bliżej Uprzywilejowaną Niepokalanie Poczętej. Pierwszy z głównych promotorów beatyfikacji Błog. Ludwiki de Marillac, współzałożycielki Siostr Miłosierdzia, Mons. Rafał Virili, biskup tyt. Troady, był także głównym promotorem, kiedy chodziło o Siostrę Katarzynę. Nietylko, że sam rozpoczął proces, ale aż do swojej śmierci gorliwie zajmował się sprawą.

W r. 1896 kurja biskupia w Paryżu rozpoczęła dwa procesy biskupie: proces iuformacyjny co do świętości, życia, cnót i cudów oraz: że nie oddano Siostrze Katarzynie żadnego kultu, zgodnie z dekretem papieża Urbana VIII, który zakazuje oddawać w Kościele kultu publicznego osobom nie beatyfikowanym.

W toku procesu paryskiego postulator zwrócił się z apelem do wiernych, a zwłaszcza dostojników duchownych, a także i świeckich, aby prośbami skierowanemi do Stolicy św. wyjednali łaskę beatyfikacji pokornej Siostry Miłosierdzia. Nadeszło 400 listów tak zwanych „Litterae postulatoriae", wśród których widnieją imiona 4 rodzin królewskich, 15 kardynałów, ponad 300 patryarchów, arcybiskupów i biskupów.

Zdawało się, że po nadejściu do Rzymu w r. 1900 procesu informacyjnego kurji biskupiej paryskiej, św. Kongregacja nie rozpocznie sprawy aż dopiero po upływie 10 lat, lecz wielki papież Pius X. chętnie uczynił wyjątek co do Siostry Katarzyny Labouré.

W r. 1907 odbył się sąd o procesie informacyjnym, a 11 grudnia kardynał ponens przedkładając sprawę stawił pytanie: An signanda sit Commissio introductionis causae, wszyscy kardynałowi dali wyrok pomyślny. Ojciec św. podpisał polecenie wprowadzenia sprawy dnia 12 grudnia 1907 r.

Od tego dnia przysługiwał Siostrze Katarzynie tytuł Wielebnej. Było to przed ogłoszeniem nowego kodeksu prawa kanonicznego. W obecnym trybie tytuł ten przysługuje dopiero po ogłoszeniu dekretu o heroiczności cnót danego Sługi Bożego.

Po potwierdzeniu wyroku ordynarjusza paryskiego, że słudze Bożej nie oddawano kultu, już w r. 1908 postulator wyjednał od Ojca św. pismo upoważniające (litterae remissoriales) do rozpoczęcia procesu papieskiego co do sławy świętości in genere oraz uzyskał nominację X. Misermonta C. M. na wicepostulatora, a to w tym celu, aby ten ostatni mógł w Paryżu doprowadzić do rychlejszego sporządzania aktów procesu. Już w roku 1911 mógł Rzym wydać (na podstawie prac wicepostulatora) dekret o ważności procesów.

Teraz rozpoczął się proces apostolski w całej pełni: Czy jest rzeczą pewną, że cnoty teologiczne: wiara nadzieja i miłość względem Boga i bliźniego jako też kardynalne: roztropność, sprawiedliwość, wstrzemięźliwość i męstwo wraz z cnotami z niemi złączonemi mają stopień heroiczny w wypadku i w celu, o jaki chodzi. Dekret o ważności tego procesu wydano w lipcu 1916 r.

Poczem nastąpiła zwłoka, raz, że rozszalała wielka wojna, a zwłaszcza, że wszystkim zależało na rychlejszem doprowadzeniu do końca sprawy beatyfikacji Błog. Ludwiki de Marillac. A tymczasem śmierć czyniąc nowe spustoszenia wciąż zabierała nowe ofiary. Zmarł X. biskup Rafał Virili, który tak gorąco popierał sprawę. Jego następcą został prokurator generalny Zgromadzenia przy Stolicy św. Po śmierci kardynała Ferraty został ponensem JE. X. kardynał Vanutelli. Następcą zmarłego adwokata Mons. Fryderyka Virili został Mons. Jan della Cioppa.

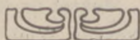
Teraz Dzieci Marji postanowiły prosić Ojca św. Setki tysięcy tych wybranych dusz zrzeszonych pod sztandarem Cudownego Medalika tak piękny urządziły plebiscyt, że Ojciec św. rozrzewniony złożył u stóp krzyża na biurku swoim ten dowód dziecięcej czci

i przywiązania i obiecał się sprawą zająć. W r. 1927 wznowiono sprawę. Już dnia 3 czerwca 1927 r. Mons. Karol Salotti podał swoje spostrzeżenia — animadversiones — adwokatowi, który nadspodziewanie szybko, bo już 17 czerwca 1927 r. przygotował swoje odpowiedzi.

O stopniu bohaterskim cnót rozprawa toczy się na trzech kongregacjach: przedprzygotowawczej, przyg. i generalnej. Pierwsza miała miejsce u Kardynała ponesa 2 sierpnia 1927 r. z wynikiem pozytywnym. Zdawało się, że rok jubileuszowy Cudownego Medalika 1930 ujrzy Siostrę Katarzynę na ołtarzach, tymczasem miał on posłużyć do lepszego zapoznania wszystkich dzieci kościoła św. z Cudownym Medalikiem, albo też Najświętsza Panna, która przez anioła stróża przywezwała Siostrę Katarzynę do odebrania tego zadatku zbawienia, sama chciała się zająć swoją uprzywilejowaną córką. W marcu 1931 odbyła się kongregacja przygotowawcza, a niedługo potem miała miejsce kongregacja generalna. W dniu 19 lipca 1932 r. Ojciec św. polecił odczytać dekret o heroiczności cnót Wielebnej Sługi Bożej Katarzyny Labouré i sam zamknął rok wielkiego jubileuszu. Dekret w przepiękuych słowach przywodzi nam postać i cnoty Siostry Katarzyny [1]).

W międzyczasie uzyskano pismo upoważniające do odbycia procesów o cudach zdziałanych za przyczyną Wielebnej Siostry Katarzyny Labouré. Procesy były ukończone w r. 1929, także i lekarze już byli wydali orzeczenia pozytywne. Dnia 10 maja 1932 miała miejsce kongregacja przygotowawcza co do cudów, konsultowie wypowiedzieli się wszyscy za sprawą. Kongregacja przygowawcza odbyła się w ciągu oktawy Niepokalanego Poczęcia w dniu 12 grudnia 1932 r.

Módlmy się, aby Niepokalenie Poczęta doprowadziła swoją uprzywilejowaną córkę do chwały, a przyszłoroczny maj przyniósł nam Jej orędownictwo!



[1]) Cudowny Medalik — studjum historyczne. wyd. II — Siostra Katarzyna Labouré i Cudowny Medalik.



Nasze sprawy.

1. Dnia 17 stycznia 1931 r. wydano dekret zezwalający na rozpoczęcie procesu biskupiego o męczeństwie XX. Misjonarzy i Sióstr Miłosierdzia w Tienstsin (Chiny). Ponensem sprawy był zmarły kardy ał prefekt propagandy van Rossum

2. Dnia 21 stycznia 1931 r.... dekret mianujący JE. X. kardynała Kajetana Bisleti ponensem sprawy Sługi Bożego Jana le Vacher, męczennika.

3. Dnia 29 stycznia 1931 r.... dekret na rozpoczęcie procesu apostolskiego dla sprawy Sługi Bożej Ludwiki Borgiotti, współzałożycielki Sióstr Nazaretu.

4. Dnia 31 stycznia 1931 r.... dekret na rozpoczęcie procesu apostolskiego Sługi Bożej Małgorzaty Rutan, męczenniczki z czasów komuny.

5. Dnia 7 lutego 1931 r.... dekret na rozpoczęcie procesu biskupiego Sługi Bożego X. Marcantioniego Durando, wizytatora XX. Misjonarzy turyńskiej prowincji i założyciela Sióstr Nazaretu.

6. Dnia 7 lutego 1931 r.... dekret celem badania pism Sługi Bożego X. Marcantioniego Durando.

7. Dnia 10 kwietnia 1931 r.... dekret na rozpoczęcie procesu apostolskiego celem zbadania cudu zdziałanego w Palermo, za przyczyną Błogosławionej Ludwiki de Marillac, współzałożycielki Sióstr Miłosierdzia.

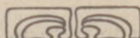
8. Dnia 22 kwietnia 1931 r.... dekrety mianujące X. kardynała Karola Rossi ponensem sprawy X. Durando i Borgiotti.

9. Dnia 24 maja 1931 r.... dekret de non cultu Sługi Bożego Piotra Rogue, umęczonego za wiarę św. podczas wielkiej rewolucji.

10. Dnia 2 czerwca 1931 r.... dekret na rozpoczęcie procesu apostolskiego de miraculis, zdziałanych w San Fele za przyczyną sługi Bożego Justyna de Jacobis.

11. Dnia 3 czerwca 1931 r.... dekret mianujący X. kardynała van Rossum ponensem sprawy męczenników chińskich.

12. Dnia 23 lipca 1931 r.... dekret na rozpoczęcie procesu apostolskiego de miraculis, zdziałanych za przyczyną Wielebnej Siostry Katarzyny Labouré w Turynie i w Tuluzie.





Akta Stolicy św.

Festum B. V. M. Omnium Gratiarum Mediatricis

Vevmus D. nus Franciscus Verdier, Superior Generalis Congregationis Missionis et Instituti Puellarum Caritatis, Sanctissimum Dominum Nostrum Pium Papam XI, humilime rogavit, ut ad fovendam in utraque familia sibi concredita devotionem erga Beatissimam Virginem Mariam, in omnibus Ecclesiis et Oratoriis tam Congregationis Missionis quam Instituti Puellarum Caritatis, quotannis recoli valeat festum B. V. M. Omnium Gratiarum Mediatricis.

Sacra porro Rituum Cogregatio, vigore facultatum sibi spevialiter ab Ipso Sanctissimo Domino Nostro tributarum benigne annuit pro gratia juxta preces, designata ad idem festum recollendum die trigesima prima mensis Maii, sub ritu duplici majori et cum Officio ac Missa propriis et approbatis. Servatis de cetero servandis. Quibuscumque contrariis non obstantibus.

Die 21 novembris 1931.

C. Card. Laurenti, S. R. C Praefectus.
A. Carinci, S. R C. Secr.

Concessio indulgentiarum Societati Matronarum Caritatis. (Pań Miłosierdzia).

Beatissime Pater!

Praeses Generalis Societatis Matronarum Caritatis, cuius praecipua sedes in ciuitate archiepiscopali Parisiensi exstat, ad pedes Sanctitatis Vestrae provolutus, humiliter petit in favorem memoratae Societatis sequentes Indulgentias: I. Plenariam, suetis conditionibus a sodalibus lucrandam die annui recessus, si unam saltem concionem audierint, s. Missae Sacrificio adstiterint ad ad s. Synaxim accesserint. II. Partialem, septem annorum, a consociatis saltem corde contrito acquirendam quoties adstiterint sessionibus extraordinariis a Consiliis generalibus vel partialibus indictis praeter consilia quae iuxta statuta bis in anno haberi solent. Et Deus, etc.

Die 4 aprilis 1932

Sacra Poenitentiaria Apostolica benigne annuit pro gratia iuxta preces, dummodo accedat expressus Rmi Ordinarii loci consensus. Praesenti in perpetuum valituro absque ulla Brevis expeditione.

S. Luzio, S. P. R.
S. de Angelis, subst.

300 dierum Indulgentia pro recitatione incocat. „O Maria, sine labe concepta etc.".

Beatissime Pater!

Procurator Generalis Congregationis Missionis, ad pedes Sanctitatis Vestrae provolutus, humiliter petit ut omnes christifideles, qui invocationem „O Maria sine labe concepta, ora pro nobis, qui ad Te recurrimus" recitaverint, Indulgentiam partialem CCC dierum, saltem corde contrito acquirere valeant, loco Indulgentiae C dierum, per rescriptum Apostolicum diei 15 martii 1884 concessae. Et Deus, etc.

SSmus D. N. Pius div. Prov. Papa XI, in audientia D. Cardinali Poenitentiario Majori concessa, benigne annuit pro gratia iuxta preces in perpetuum absque ulla Brevis expeditione. Contrariis quibuscunque non obstantibus.

S. Luzio, S. P. R.
S. de Angelis, subst

Circa functiones et ceremonias Candelarum, S. Cineris et in hebdomanda S.

Sacra Rituum Congregatio, utendo facultatibus sibi specialiter a Sanctissimo Domino Nostro Pio Papae XI tributis, preces remisit prudenti arbitrio Rmi Ordinarii locorum, ut nomine et auctoritate Sanctae Sedis, permittant ad proximum quiennium sacras suprascriptas functiones in oratoriis Puellarum Caritatis peragi iuxta Memoriale Rituum s. m. Benedicti Papae XIII iussu editum anno 1725 pro Ecclesiis minoribus; dummodo tamen certo constet in dictis oratoriis decori et reverentiae sacrorum mysteriorum satis esse consultum. Contrariis non obstantibus quibuscunque.

Die 11 aprilis 1932.

C. Card. Laurenti, S. R. C. Praefectus.
A. Carinci, S. R. C. Secretarius.

Circa Lectiones I. Nocturni Off. in Translatione Reliquiarum S. Vincentii a Paulo.

Sacra Rituum Congregatio ex congressu diei 12 junii 1931 respondit: „Serventur Rubricae, et lectiones sumantur ex Scriptura occurrente cum suis responsoriis".

A. Carinci, S. R. C. Secretarius.

Permissio celebrandi Missam in mari.

... In Congressu diei 19 decembris 1931.

Vigore specialium facultatum a SSmo Domino Nostro concessarum Sacra Congregatio Negotiis Religiosorum Sodalium praeposita, attentis expositis, Revmo Superiori Generali benigne commisit, ut pro suo arbitrio et conscientia petitam concedat gratiam prorogationis ad alius quinquennium; servata forma et tenore praecedentis concessionis.

Contrariis quibuscumque non obstantibus.

Datum Romae, die 30 decembris 1931.

Fr. Al. H. M. Card. Lepicier, O. S.
Praefectus.

Facultates S. Poenitentiariae.

In data 13 aprilis 1932 confirmatae sunt ad novum triennium facultates S. Poenitentiariae.

Facultas imponendi Scapulare Passionis Dni Nostri Jesu Chr.

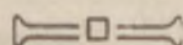
Die 14 aprilis 1932 renovata est ad novum decennium facultas imponendi scapulare Passionis multis personis simul sub una formula.

Facultas accordata Rmo. Superiori Generali prolongandi quibusdam superioribus triennium ad aliud et etiam usque ad tertium et non ultra.

... In congressu diei 16 aprilis 1932.

Vigore facultuum a SSmo Domino Nostro concessarum, Sacra Congregatio Negotiis Religiosorum Sodalium praeposita, attentis expositis, Rev. mo Superiori Generali orato i benigne adnuit: ad 1. mum pro gratia prorogationis ad quinquenninm servata forma et tenore praecedentis concessionis (de die 15 januarii 1927) ad 2 num pro gratia iuxta preces, proviso ut concessio inseratur in Constitutiones. Contrariis quibuscumque non obstantibus.

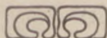
Datum Romae, die 28 aprilis 1932.



Kronika Zgromadzenia.

1. Najprzewielebniejszy Ojciec Generał zamianował w miejsce X. Patryka Mac Hale, drugiego asystenta Zgromadzenia Misji, po wysłuchaniu rady XX. Wizytatorów, X. Karola Souvay, dotychczasowego superjora seminarjum św. Henryka w St. Louis (Stany Zjednoczone Ameryki Północnej). X. Mac Hale opuścił zajmowane stanowisko dla przyczyn zdrowotnych.

2. Wizytatorką Warszawskiej Prowincji Sióstr Miłosierdzia zamianowana została Najprzewielebniejsza Siostra Miłosierdzia Eufemja Kakowska.





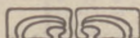
Zmarli.

				Lat: życia	pow.
1.	X. Cano Melchiad	28/XI 1931	Valdemoro	79	61
2.	X. Fr. Monangaan	17/XII „	St. Louis	62	40
3.	X. St. Moreda	26/XII „	Madryt	68	50
4.	X. Jul. Yu	25/XII „	Sin-tsuo	44	22
5.	X. Józef Ruiz	1/I 1932	Cali	64	43
6.	X. Patryk Lynch	4/I „	Mill Hill	67	44
7.	Br. Antoni Cerkowiak	19/I „	Milatyn Nowy	59	33
8.	Kl. Tomasz Boné	24/I „	Villafranca	21	4
9.	Kl. Henryk Sanz	25/I „	Villafranca	20	3
10.	Br. Konrad Hofer	10/X 1931	Grac	42	4
11.	X. Ludwik Tubeuf	4/II 1932	Paryż	77	58
12.	X. Ludwik Alpi	27/II „	Rzym	71	42
13.	Br. Kasper Prelc	24/II „	Ljubljana	76	42
14.	X. Noel Barbagli	14/III „	Florencja	72	57
15.	X. Łukasz Thomas	17/III „	Niederprüm	60	43
16.	Br. Antoni Pombo	18/III „	Matanzas	77	56
17.	Br. Maciej Barrera	26/III „	Valdemoro	72	48
18.	Br. Maciej Korochez	3/IV „	Cavalla	77	56
19.	Br. Winc. Colin-Conroy	24/III „	Denver	46	23
20.	X. Jan Maye	3/IV „	Brooklyn	62	41
21.	X. Jakób Mac Nelis	5/IV „	Filadelfja	73	46
22.	X. Jeremjasz Hartnett	6/IV „	Filadelfja	82	61
23.	X. Gedeon Marécaux	16/IV „	Loos	47	27
24.	X. Piotr Casolati	20/IV „	Scarnafigi	68	50
25.	X. Jan Tonello	23/IV „	Turyn	71	54
26.	X. Jan Lee	11/IV „	Filadelfja	58	40
27.	X. Benigny Blanco	24/IV „	Saragosa	67	46
28.	X. Józef Quintas	26/IV „	Cuenca	67	45
29.	Br. Jan Savio	2/V „	Como	54	30
30.	Br. Ramos Elmouzana	6/V „	Antura	72	46
31.	X. Wawrzyniec Laffan	11/V „	Blackrock	50	29
32.	X. Sebastjan Saiz	13/V „	Potters Bar	24	8
33.	X. Vicelomini	21/V „	Catana	56	39
34.	Br. Maciej Sobocan	25/V „	Celje	52	29
35.	Kl. Robert Dejardin	10/VI „	Quito	23	3
36.	Br. Dominik Llamas	9/VII „	Dighi	30	13
37.	X. Wilhelm Rutten	13/VI „	Bejrut	50	28

				Lat: życia	pow.
38.	X. Ryszard Gonzalez	14/V 1932	Valdemoro	44	27
39.	X. Rajmond Gleizes	3/VII „	Paryż	85	60
40.	X. Antoni Pupau	3/VII „	Figueras	62	44
41.	X. Jan Moretti	12/VII „	Genua	53	26
42.	X. Piotr Byrne	15/VII „	Perryville	86	67
43.	X. Józef Pandel	20 VII „	Szangaj	44	25
44.	Br. Józef Obreza	22/VII „	Tulear	47	3
45.	X. Antoni Fernandez	22/VII „	Maceda	36	18
46.	X. Gav. Bravo	23/VI „	Potters Bac	25	9
47.	X. Ambroży Wang	6/VIII „	Pekin	26	6
48.	X. Klaudyn Coello Marquez	28/VII „	Surada	34	17
49.	X. Maurycy Horcajada	19/VIII „	Madryt	69	52
50.	X. Eugenjusz Antill	24/VIII „	Los Angelos	64	47
51.	Br. Jan Smith	3/IX „	Blackrock	80	57
52.	X. Wilhelm Paus	2/IX „	Essen	57	38

Siostry Miłosierdzia:

	Lat: życia	pow.
Antonina Latkiewicz, Kraków	37	17
Marjanna Lisiecka, Płock	69	49
Weronika Pelc, Kraków	22	2
Helena Wichmann, Warszawa	37	18
Antonina Łabendzińska, Kraków	84	64
Wiktorja Warchał	57	36
Joanna Cichańska, Chełmno	49	20
Antonina Grobelna, Warszawa	23	4
Wiktorja Marek, Rohatyn	61	41
Stanisława Wilkosz, Łobzów	43	19
Marja Jagalska, Chełmno	62	43
Marta Binka, Złoczów	56	34
Helena Zubrzycka, Warszawa	84	60
Teresa Słońska, Kraków	22	2
Anna Basińska, Warszawa	69	47
Adela Jędrzejowska	63	43
Róża Okęcka, Warszawa	54	32
Marjanna Zarzycka. Warszawa	61	40
Antonina Romanowicz, Jasło	54	34
Albina Wojciega, Wągrowiec	77	60
Bronisława Poruczek, Przeworsk	27	2
Gertruda Stenzel, Poznań	22	2
Anna Cygan, Poznań	71	48





X. Biskup Felicjan Szaniawski
Biskup Krakowski
Książę Siewierski
Dobrodziej Zgromadzenia XX. Misjonarzy.
† 1732.



JUBILANTIBUS.

(Z okazji 250-lecia kościoła św. Krzyża w Warszawie, Przewielelebnym Księżom Misjonarzom, Jego Em. X. Kardynałowi Kakowskiemu i Jego Eks. X. Nuncjuszowi Marmaggi'emu).

Juvante benigno Domino coeli,
Uberes suos donante thesauros,
Boni, zelosi Patres Missionum
Inserviunt templo Sanctae hic Crucis
Lustra per integra iam quiquaginta:
Adest Varsavia gratulans omnis,
Noster praecipue hic Cardinalis,
Totus amabilis Papae Legatus —
Impigri filii Vincentii sancti,
Bona ferentes coelestia nobis,
Ubique onusti fructibus pulchris
Semper pro patria sitis, vos cara.

P. Anicetus, O. M. Cap.

TREŚĆ.

Listy Misjonarzy i Sióstr Miłosierdzia.

Redagował X. Pius Pawellek ze Zgromadzenia XX. Misjonarzy.

